

MARIAN IDZIAK

WSPOMNIENIA ZE STRACONEJ MŁODOŚCI

PIEŃSK 1984/1985

WSPOMNIENIA - ROGOWO ŻNIŃSKIE

ROZDZIAŁ I. GORAĆE, LETNIE DNI

Lato tego roku było bardzo upalne i suche toteż wszędzie było pełno owadów i robactwa wszelkiego rodzaju, które dawały się we znaki ludziom i zwierzętom. W mieście muchy natrętne atakowały wszystko co mogło im służyć za pożywienie, nad jeziorami i w gęszczeniu nadwodnych szuwarów gnieździły się niezliczone chmary komarów, zaś w domostwach - szczególnie starego budownictwa mrowie „prusaków”, zwanych w tym regionie Polski (Pałuki) „szwabami”.

Starzy ludzie twierdzili wówczas, że zjawiska te nic dobrego nie wróżą i zapowiadali bardzo ciężkie czasy, a być może nawet wojnę i niewolę pruską której oni doświadczyli na własnej skórze przed pierwszą wojną światową a o zjawiskach tych słyszeli od poprzednich pokoleń.

Był to właśnie rok 1939, rok pełen napięć politycznych i niepokoju, w szczególności w środkowej części Europy. Wcześniej już dojście do władzy Hitlera doprowadziło do zmian niemieckiej polityki wobec sąsiadujących z nimi krajów, a okres ten był okresem wielu zabiegów dyplomatycznych polityków angielskich, francuskich, a przede wszystkim polityków polskich, w celu utrzymania pokoju na naszym kontynencie. Hitler dochodził wówczas do szczytu swej sławy i po podboju Austrii i Czechosłowacji już nie liczył się z nikim i „ostrzył sobie zęby” na nasz kraj - na Polskę, która co dopiero przed kilkunastoma laty odzyskała niepodległość po ponad 120 latach niewoli zaczęła rozwijać wszystkie dziedziny życia: gospodarcze i ekonomiczne, kulturalne i naukowe oraz polityczne kraju. Naziści niemieccy szaleli na ulicach swych miast i miasteczek, organizując bojówki faszystowskie, które grasowały bijąc i znęcając się nad swymi współrodakami, ale innego pochodzenia i niszczyły ich dobytek. Prześladowali również rdzennych Niemców jedynie dlatego, że wyrażali inny pogląd na politykę prowadzoną przez Hitlera lub dlatego, że nie głosili pochwał dla „wielkiego wodza”. Przeciwnicy zaś „Führera” nie mieli racji bytu w tym kraju, bowiem niszczone ich całkowicie poprzez: wybijanie szyb w oknach, demolowanie sklepów i warsztatów pracy, a niektórych mordowano lub wsadzano do obozów zagłady.

Czyż więc współczesny czytelnik młodego pokolenia może wyobrazić sobie co działo się ze społeczeństwem w podbitych przez Hitlera krajach ! Zjawiskiem normalnym było bicie i kopanie przechodniów ulicznych, nierzadko do utraty przytomności li tylko dlatego, że byli oni innej narodowości od nich, chociaż byli w „swoim własnym domu”. Dokonywali aresztowań w mieszkaniach, w organizowanych łapankach ulicznych, wywozili na roboty przymusowe ludzi starszych młodzież, mężczyzn i kobiety, zabierali do obozów zagłady, odbierali rodzicom dzieci, pacyfikowali całe wsie i osiedla, wieszali lub żywcem palili ludzi bez względu na ich wiek.

Ja miałem wówczas niespełna trzynaście lat i mieszkałem w niewielkim miasteczku, bo liczącym około trzy tysiące ludności Rogowie Żnińskim na Pałukach, leżącym przy trasie Bydgoszcz - Żnin - Gniezno na 20-tym kilometrze od Gniezna. Jako prawie trzynastoletni chłopiec rozumiałem już wiele spraw związanych z toczącą się w świecie polityką i sytuacją w kraju oraz dostrzegałem zagrożenia istniejące dla Polski i naszego narodu. Będąc jednak gorącym patriotą swej ojczyzny ufałem propagandzie głoszącej, że jesteśmy krajem „silnym, zwartym, gotowym”, a zarazem zdolnym do odparcia każdej agresji zewnętrznej na nasz kraj i armia nasza potrafi zadać decydujący cios każdemu napastnikowi.

Różne krążyły wieści o przygotowaniach do wojny i one sprawiały, że środowisko w którym żyłem uaktywniło swą działalność w organizacjach społecznych na rzecz obronności kraju, szczególnie w takich organizacjach jak: „Związek Weteranów Polskich”, „Związek Harcerstwa Polskiego”, „Związek Strzelecki”, „Związek Sokołów Polskich”, „Liga Obrony Powietrznej Państwowej”, „Związek Powstańców Wielkopolskich” i innych, oraz niezorganizowana młodzież szkolna. Wszystkie te stowarzyszenia i związki ogłaszały spotkania i zbiórki, urządzały odczyty i pogadanki, przeprowadzały szkolenia, a niektóre z nich ćwiczenia o charakterze obronnym. Szczególnie wyróżniającym się organizatorem tych działań okazał się miejscowy nauczyciel Szkoły Powszechnej, a zarazem opiekun harcerstwa w Rogowie pan Marian Pietras, który skupił wokół siebie całą młodzież szkolną i pozaszkolną ale również osoby starsze- czcigodnych obywateli tego miasta. Organizował on spotkania, zebrania, dyskusje i odczyty, wiece i masówki oraz capstrzyki, na których informował zebranych o wydarzeniach w kraju, w Europie i na świecie, jak również o aktualnej polityce prowadzonej przez poszczególne rządy i ich posunięcia dyplomatyczne. Umiał on również komentować każde wydarzenie i logicznie wyciągać z nich wnioski, które przedstawiał zebranych.

Pamiętam atmosferę jaką wywołał On na jednym z takich spotkań, na którym przedstawił nam obraz codziennego życia mieszkańców w wolnym mieście Gdańsku. Los ludzi żyjących w tym mieście nie był do pozazdroszczenia, szczególnie Polaków sprawujących w tym okresie funkcje państwowe lub administracyjne. Wieści o prześladowaniach obywateli polskich mieszkających w Gdańsku, o niszczeniu budynków polskich instytucji, o biciu i napadach na polskich urzędników państwowych, o wyrzucaniu lokatorów polskich przez niemieckich właścicieli, a wszystko to za sprawą i pod naciskiem bezkarnie grasujących bojówek hitlerowskich.. Przedstawił nam również reporterskie zdjęcia zamieszczone w czasopiśmie, uwidaczniające napisy na murach polskich domów i urzędów oraz sklepów, plugawych hasła jak np. „POLAK, ŻYD I PIES TO JEDNA WIARA” itp. Wiadomości te wywarły ogromne wrażenie i wywołały wzburzenie zebranych uczestników spotkania nikt już nie zdołał uspokoić ich, co spowodowało konieczność zakończenia obrad. Uczestnicy tego wiecu nie rozeszli się jednak do swych domów lecz uformowali pochód manifestacyjny przez miasto ze śpiewem pieśni patriotycznych. Z każdą chwilą liczba osób manifestujących rosła, a śpiewy stawały się donośniejsze i przez otaczające miasto jeziora dochodziły hen daleko na odległość wielu kilometrów - śpiewano "Marsz, marsz Polonia" lub „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". Pochód kierował się w dzielnice zamieszkiwane przez niemieckich kolonistów, których ciekawość wywiodła przed swe domostwa i posesje, aby zobaczyć co się dzieje. Wówczas to pochód zatrzymał się i uczestnicy wznosili okrzyki: „PRECZ Z NIEMIECKIMI KOLONISTAMI, PRECZ". Jednym z takich przystanków pochodu była również posesja niemieckiego ogrodnika Ottona Pfeiffer, przy której oprócz okrzyków: "PRECZ Z NIEMIECKIMI OGÓRKAMI, KAPUSTĄ, POMIDORAMI, PRECZ" polecał również kamień w szklarnię tłukąc szybę, chociaż w zamiarze tej manifestacji tego incydentu nie przewidywano. Oczywiście pochód na tym zakończono, ale mimo tego interweniowała jeszcze Policja polska, a niektórzy poważni obywatele - uczestnicy pochodu znaleźli się w Komisarzacie Policji mając duże kłopoty i nieprzyjemności.

Nie zniechęciło to jednak organizatorów wieców, bowiem już kilka dni później, a było to w dniu 17 sierpnia 1939 roku, na obszernym rynku jaki miasto posiadało zorganizowano wiec z racji obchodów 20-tej rocznicy wybuchu I-go Powstania Śląskiego z udziałem weteranów powstań wielkopolskich i śląskich. Wśród mówców na zaimprovizowanej

trybunie - mównicy ze stołu kuchennego - znalazł się również nasz duchowy przywódca i opiekun, a zarazem nauczyciel Marian Pietras, który swą patetyczną mową ożywił zebrany tłum i rozgrzał serca patriotycznym ciepłem. Pietras zakończył swą „kwiecistą” mowę okrzykami: „WARA NIEMCOM OD POLSKIEGO GDAŃSKA”, „WARA CZECHOM OD POLSKIEGO ŚLĄSKA”, (mając na myśli Śląsk Cieszyński, „WARA LITWINOM OD POLSKIEGO WILNA” i tym akcentem zakończył swoje wystąpienie. Sprawa jego wystąpienia na tym się jednak nie zakończyła, bowiem Pietras musiał „wiać” przed wkroczeniem do Rogowa Żnińskiego wojsk hitlerowskich i przez cały okres okupacji niemieckiej ukrywać się. Był on poszukiwany listem gończym przez Gestapo i wyznaczono nagrodę za jego ujęcie lub wskazanie miejsca pobytu. Niemcy dysponowali jego zdjęciem stojącego na mównicy zrobionym w czasie przemówienia, oraz pełnym tekstem przemówienia, który nie był pochlebny dla nich.

O dalszych losach tego nauczyciela, gorącego patrioty polskiego nic nie wiem i więcej go nie spotkałem, chociaż zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej krążyła wieść, że widziano Pana Pietrasa w Szczecinie i niebawem miał wrócić do Rogowa - ale nie wrócił.

ROZDZIAŁ II. MOBILIZACJA

Czas biegnie jednak dalej, miesiąc sierpień 1939 roku zbliża się ku końcowi, a w Polsce ogłoszono powszechną mobilizację, która oczywiście nie ominęła naszego miasteczka i gminy. Od wczesnego ranka w dniu tym panował wielki ruch, na ulicach zbierały się grupki osób żywo dyskutujących, a przed budynkiem Magistratu tłum gapiów wyczekujących (jak „stado sępów na żer”) na wieści mobilizacyjne. Dość duża część tłumu to gońcy wyznaczeni dla doręczania kart mobilizacyjnych adresatom powołanym do armii. Byli to mężczyźni piesi i z rowerami, motocykliści i z zaprzęgiem konnym, a na poboczu ulicy stały dwa samochody - taksówki, bo tylko dwie w miasteczku były. Wreszcie przed samym południem drzwi magistratu na oścież się otwarły a na progu ukazał się urzędnik z dużym plikiem kopert z tak zwanymi „POWIASTKAMI" (wezwaniami do wojska) prosząc zabranych o zachowanie spokoju, bo wrzawa się podniosła. Wyczytał nazwiska posłańców wręczając im pakiety kopert w celu doręczenia adresatom. Po krótkiej chwili ciszy i skupienia znowu zawrzało i ciszę przerwał ryk zapalanych silników motocyklowych i aut, a gońcy rozjechali się we wszystkich kierunkach; tylko nieliczni posłańcy zadań nie otrzymali, oczekując dalej na swą kolej. Na ulicach jednocześnie wzmógł się ruch pieszych i rowerzystów, każdy spieszył się do jakiegoś celu. Tu i ówdzie widać było gromadki kobiet otaczających mężczyznę zmobilizowanego. Były to matki, żony lub siostry, a nierzadko dzieci odprowadzające go na przystanek autobusowy.

W mojej rodzinie również zapanował nastrój smutny i ponury, bowiem brat średni Edward, zawodowy podoficer 18-go Pułku Ułanów w Grudziądzu nie otrzymał dawno już zapowiadanego urlopu i nie było już żadnych szans, choćby zobaczyć się z nami przed wybuchem wojny. Drugi brat, najstarszy Kazimierz otrzymał „powiastkę" i wyjechał prosto z pracy do macierzystego Pułku Piechoty w Toruniu bez pożegnania się z najbliższą rodziną (żoną dziećmi), zabrany przez przypadkowo przejeżdżający samochód wojskowy z jego jednostki. Na domiar złego najstarsza z siostr osiemnastoletnia Salomea nie wróciła z posady, którą przed rokiem objęła w Gdyni-Orłowo, a tam zagrożenie wojenne było największe. Toteż ojciec mój, chociaż człowiek doświadczony, twardy i odporny na różne niepowodzenia życiowe, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej z 1903 -1905 r., dwukrotny emigrant na roboty do Ameryki, teraz był bliski załamania psychicznego. Stał się człowiekiem milczącym i ponurym oraz całkowicie zamkniętym w sobie. Mama moja jeszcze bardziej przeżywała tę sytuację jak się wytworzyła, była przygnębiona, unikała rozmów z nami dziećmi, chowała się w zakamarkach mieszkania i skrycie popłakiwała. Smutek ten udzielił się również nam dzieciom - mnie oraz dwóm siostronom trochę starszym ode mnie, które stały się w stosunku do mnie zgryźliwe. Następane dni również nie przyniosły pocieszających wieści, wręcz przeciwnie. Urzędy państwowe i instytucje wraz z Policją opuszczają miasteczko, bowiem zostają ewakuowane na wschodnie tereny Polski, opuszczają również swe domostwa zamożni obywatele. Miasto zostaje porzucone przez władze państwowe i administracyjne na łaskę losu, bez opieki i niemal bez środków do życia, a w nim pozostaje biedota i pospólstwo. Pozostawiony naród nie poddaje się jednak samemu losowi i nie rozpacza, organizując własną władzę, tak zwany Komitet Straży Obywatelskiej dla utrzymania przede wszystkim ładu i porządku w mieście i gminie i kierowania życiem społecznym, a zarazem ochraniać przed rabunkiem, gwałtem i dywersją. Komendantem miasta i straży obywatelskiej wybrano Pana Tucholskiego,

powszechnie szanowanego obywatela, dotychczasowego komendanta Ochotniczej Straży Pożarnej, na jego zastępcę Pana Ratajczaka Franciszka, dotychczas robotnika zatrudnionego w Spółce Wymiany Zbożowej. Burmistrzem został zaś Pan Bernard Michał, właściciel niewielkiego przedsiębiorstwa „Handel końmi i bydłem oraz skup trzody bekonowej”. Funkcję sekretarza KSO powierzono Panu Ćwiklak Zygmuntowi, który dotychczas pełnił tę samą funkcję w Urzędzie Miasta i Gminy (Magistracie), a który odmówił wzięcia udziału w ewakuacji pozostając na miejscu. Komitet ów działalność swą rozpoczął bezzwłocznie i miał pełne ręce roboty: uruchomił Placówkę PCK, która opiekowała się ludźmi chorymi, biednymi i niedołączonymi oraz bezdomnymi, potrzebującymi medycznej pomocy, a głównie zajmowała się opieką nad uciekinierami znad zachodniej granicy Polski. Siostra moja średnia - Joanna, która tuż przed wojną ukończyła kurs PCK trzeciego stopnia sanitariuszek, została również skierowana do tej placówki do pracy społecznej.

Zarządzono obowiązkową mobilizację wszystkich mężczyzn od 18-tu lat bez wyznaczania górnej granicy wieku, do pełnienia służb patrolowych i wartowniczych w mieście i gminie przez całą dobę. Dla uzbrojenia tej „obywatelskiej armii” zebrano wszelką broń znajdującą się w domach mieszkańców na naszym terenie, obojętnie czy amunicja do niej była, czy też nie.

Komitet Straży Obywatelskiej w czasie swej działalności zlikwidował poprzez te służby dwie grupy bojówek hitlerowskich działających w ramach tak zwanej „piątej kolumny” na naszym terenie; jedną w miejscowości Dziadkowo odległej od Rogowa o ok. 4 km na zachód, a drugą w miejscowości Wiewiórczyn na północny zachód, odległej o 5 lub 6 km od miasta. Aresztowani bojówkarze okazali się synami kolonistów niemieckich od lat lub od urodzenia zamieszkałymi na tych terenach, a oprócz nich w każdej grupie był osobnik nieznan, ale dobrze przeszkolony w działalności dywersyjnej. Wśród aresztantów znanych byli: syn niemieckiego stolarza z Rogowa o nazwisku Pechtold, synowie gospodarzy niemieckich Jenó Gebauer z Dziadkowa, Knechtl z Wiewiórczyna oraz jeszcze dwóch czy trzech, których nazwisk nie pamiętam. Bandy te były dobrze uzbrojone w broń automatyczną i maszynową ale mimo to ujęci zostali bez jej użycia, bowiem zostały one zaskoczone. Członkowie band hitlerowskich ujęci przez Straż Obywatelską przekazani zostali do jednostki wojskowej, tak zw. „Obrona Narodowa” utworzonej z rezerwistów starszego pokolenia, ale wojska regularne, działające w okolicy Bydgoszczy jako jednostki obwodowe. Zostali oni na mocy wyroku sądu wojennego prawdopodobnie rozstrzelani za działalność dywersyjną. Istotnie wieść o nich od tej chwili zaginęła, a niemieckie rodziny tych bojówkarzy później mściły się w czasie okupacji na Polakach, nawet na tych, którzy w niczym udziału nie brali.

Miasteczko nasze Rogowo Żnińskie od zachodniej strony otoczone było w formie półkola łańcuchem z czterech jezior morenowych połączonych niewielką rzeczką Wełna, które sięgały daleko poza teren gminy. Jeziora: „Dziadkowskie” około 2 km długie i 1 km szerokie, a na środku jeziora wyspa o średnicy 150 m, „Małe” lub „Gojno”, „Ziolo” - największe, z wyspą na której jest 100-hektarowe gospodarstwo rolne oraz „Izdebskie”. Z tej przyczyny dojazd do miasta od zachodniej strony możliwy był poprzez most na rzece Wełna, toteż gdy armia hitlerowska zbliżała się do zachodnich granic Polski przez ten most ciągnęła się bezustanna kolumna wozów konnych z uciekinierami znad granicy. Razem z karawaną wozów pędzono ogromne stada bydła, z których część pozostawiono na naszym terenie ze względu na brak paszy i uciążliwość bydła w ucieczce, którą zwierzęta te opóźniały. Komitet Straży Obywatelskiej miał więc dodatkowe trudne zadanie, bo nie tylko zajmował się ładem

i bezpieczeństwem miejscowej ludności, ale i uciekinierami i ich zwierzętami. Bydło było zmęczone, głodne i spragnione, ale co już najgorsze od kilku dni nie dojone, stąd też z bólu, głodu i pragnienia pokładało się na ulicach, chodnikach i gdzie popadło, tamując wszelki ruch. Z tej to przyczyny powstało trudne do opanowania zamieszanie: uliczne korki, krzyki ludzi przerażonych lub zdenerwowanych, nawoływania zaginionych dzieci uciekinierów, rżenie koni, ryk bydła i innej zwierzyny, ujadanie lub wycie psów przywiązanych przy wozach, a grozy temu zjawisku dodawał ryk silników samolotów lecących bardzo wysoko w głąb Polski.

Obok kolumn jadących wozów do miasta czasem wjeżdżały niewielkie oddziały wojskowe, na rowerach, ubrane w polskie mundury, które dziwnie się zachowywały, wzbudzając podejrzenia. Zatrzymywały się one na krótki postój w centrum rynku miasta nie odstępując swych rowerów i nie wdając się z nikim w rozmowę, z bądź co bądź ciekawską ludnością. Czasem niektórzy z nich tylko z konieczności zdawkowo odpowiadali na natarczywe pytania niewiast, zaś kilku sprawiających wrażenie bardziej odważnych zaczęło wypytywać kobiety o sytuację panującą w mieście i okolicy, albo wprost o najbliższą jednostkę wojskową, z którą rzekomo muszą nawiązać kontakt. Zbyt słabe były siły Straży Obywatelskiej i jej uzbrojenie, aby można było podjąć próby zidentyfikowania takiego nieźle uzbrojonego pododdziału. Po krótkim odpoczynku i po zaopatrzeniu się w papierosy i inne drobiazgi w czynnych jeszcze niektórych sklepach pododdział wracał w kierunku skąd przybył, czyli na zachód bez kontaktowania się z polską jednostką wojskową.

Zdarzały się również przypadki zatrzymania przez patrol SO pojedynczego żołnierza polskiego, który miał wszystkie niezbędne dokumenty i uzasadnienie powodu znajdowania się tu, a mimo to widziano w nim szpiega i wykonano na nim wyrok. Pozbawiono życia moim zdaniem niewinnego człowieka, choć błagał łaski, przysięgał o niewinności i udowadniał posiadanymi dokumentami cel przybycia w tę okolicę.

Jak już wcześniej wspominałem na ulicach, chodnikach, placach i targowiskach było pełno bydła od bardzo wielu godzin nie dojonego. Komitet SO nakazał wszystkim kobietom przystąpić niezwłocznie do tego zadania pod groźbą kary dla niesubordynowanych niewiast. Od obowiązku tego nie było żadnych uników ani wymówek nieumiejętnością dojenia, bowiem przy każdej grupie spędzonego bydła była odpowiednia instruktorka lub instruktor, którzy nauczyli doić każdą osobę. Rekompensatą za dojenie bydła było mleko, które każda kobieta w całości uzyskiwała, a w tym czasie mleko było bardzo cennym artykułem spożywczym.

Wydojone krowy pędzono na pobliskie łąki torfowe, których w tych okolicach nie brakowało i bydło mogło się do syta najeść. Do pilnowania zaś pasącego się bydła powołano bardzo liczne zespoły pasterskie składające się z młodzieży i osób starszych. Zespoły te zostały wyposażone w specjalne pószorki, które służyły do wyciągania bydła z wody basenów torfowych jeżeli wpadła lub która z pragnienia wskoczyła. Przewidywania były słuszne, bo przygnane na łąki bydło na widok wody pędem ładowało się do basenów torfowych, z których samodzielnie wyjść nie było w stanie.

Baseny torfowe były bardzo głębokie, bo od trzech do pięciu metrów, a różnica poziomów między lustrem wody o poziomem łąki wynosiła około 60 cm, więc nie mając gruntu pod nogami bydło samodzielnie wydostać się z wody nie mogło.

Tu mała dygresja: otóż miesiąc sierpień i wrzesień tego wspomnianego roku były bardzo upalne, a noce ciepłe, toteż krowy nawet po ugaszeniu pragnienia do wody wskakiwały aby się ochłodzić, stąd stado było pod stałą obserwacją aby nie potopiło się. Funkcje obserwacji powierzono młodzieży, a osobom starszym wyciąganie krów z basenów.

W jednym z takich zespołów pasterskich ja również uczestniczyłem, a który znajdował się na łąkach przyległych do szosy prowadzącej z Rogowa do Gniezna. Starsi mężczyźni dla zabicia czasu grali sobie w karty w rowie przyległym, a my młodzież musieliśmy kolejno obchodzić rozległe łąki bacząc, czy w którymś basenie nie pływa krowa. W czasie jednego takiego obchodu, który na mnie przypadł kolega mój - Jurek Kędziński zaproponował mi objazd terenu rowerem w celu przyspieszenia mojej rundy. Chętnie z oferty skorzystałem i jadąc zauważyłem krowę pasącą się blisko basenu, toteż w celu odpędzenia jej wjechałem pomiędzy basen a pasące się zwierzę i lekko ręką uderzyłem ją po grzbiecie. Krowa odstępując od basenu zarzuciła swym zadem wpychając mnie wraz z rowerem do wody. Wywinąłem w powietrzu salto lądując na grzbiecie w wodzie, a na mnie kołami do góry rower, co oczywiście nie uszło uwadze znajdującym się przy szosie członkom zespołu pasterskiego, cała więc ta wataha ruszyła biegiem ku mnie. Kiedy wszyscy dotarli do mnie przebiegając około 200 m odległości ja już zdążyłem wyjść z wody i rozpocząłem zdejmowanie ubioru z siebie dla ułatwienia pływania. Nic wokół siebie nie widziałem, tylko wydostające się z wody pęcherzyki powietrza ulatujące z ram roweru i słyszałem lament Jurka nad jego utratą oraz żądanie ode mnie 45 zł rekompensaty za stracony rower. Wokół mnie, trzynastoletniego chłopca utworzył się gęsty pierścień gapiów, mężczyzn i chłopców oczekujących jakie podejmę dalsze działanie, ale nikt z zebranych osób nie zabierał się do pomocy. Stałem w napięciu na burcie łąki tuż nad wodą wpatrzony w miejsce jeszcze wydobywających się pęcherzyków powietrza i głowa w dół „dałem szczupaka” do wody, w której szybowałem w dół jak mi się wydawało całe wieki. Wreszcie ręką dotknąłem koła roweru i mocno pochwyciłem swą zdobycz, aby już jej nie wypuścić. Od dna basenu lekko odbiłem ze swym łupem, ale ponad lustro wody wydostać się nie mogłem, zdołałem tylko wystawić w górę podniesioną rękę. Jak się okazało w zupełności to wystarczyło, aby któryś z mężczyzn pochwycił ją i wyciągnął mnie wraz z rowerem z basenu na łąkę.

Finał tej wyprawy podwodnej był bardzo pomyślny, spowodował dużo radości kolegom, a dla mnie satysfakcję i uznanie dorosłych.

Minęło kilka dni od tych wydarzeń, a do miasteczka przybył niewielki pododdział żołnierzy polskich, których zakwaterowano w budynku magistratu. Jak się później okazało byli to saperzy, ponieważ po dwóch dniach ich pobytu, w nocy z 31 sierpnia na 1 września most wyleciał w powietrze, a oni byli tego sprawcami. Żołnierze polscy po wysadzeniu mostu jeszcze tej nocy miasto opuścili i nikt ich już więcej nie widział. Dla nas pozostających w miasteczku mieszkańców był to sygnał, że armia hitlerowska zbliża się i pora miasto opuścić, gdyż niebawem rozpocznie się tu bitwa. Jeszcze tej nocy kto mógł i miał czym uciekał wraz ze swą częścią dobytku w kierunku wschodniej części Polski. Ojciec mój również taką decyzję podjął, budząc nas dzieci ze snu nakazał nam oraz naszej mamie pakować do drogi to co do życia było niezbędne i co było w rodzinie najcenniejsze. Sam zaś udał się do niemieckiego kolonisty o nazwisku Henke Oskar rekwirując mu wóz i jednego konia, którym mieliśmy się ewakuować. Ojciec mój wyjaśnił przy tym Henkemu, że wypożycza tylko na pewien czas i wkrótce wszystko mu zwróci; oczywiście można było

przypuszczać, że w obietnicę tę ani mój ojciec ani też Niemiec nie wierzyli, bo gdzie podczas zawieruchy wojennej będą się poszukiwali, ale pozory zostały zachowane.

Po ubiciu niewielkiego prosiaka, którego mama uchowała i załadowaniu na wóz naszego dobytku ruszyliśmy w drogę, w kierunku południowo-wschodnim kraju. Nad ranem zatrzymaliśmy się na skraju lasu pod miejscowością Gościeszyn odległą od domu o około 15 km. W lesie rozbiliśmy obóz jak cyganie, ojciec przygotował palenisko z kamieni, a mama obfite śniadanie ze świeżego mięsa z ubitego „świniaka”. Będąc pół dnia w lesie zdziwił nas fakt zupełnej ciszy jaka wokół panowała, nie było słychać odgłosów ewentualnej bitwy, która jak wynikało z zerwania mostu powinna się tam w okolicy Rogowa toczyć, a jej odgłosy do nas docierać. Nic jednak z tego, ciszę jedynie zakłócał od czasu do czasu warkot bardzo wysoko lecących kluczy samolotów w kierunku centrum Polski. Około południa ojciec mój udał się na naradę do biwakujących w lesie sąsiadów, którzy również tej nocy miasteczko nasze opuścili i po niedługiej chwili, wraz z dwoma towarzyszami obozu leśnego udali się rowerami w kierunku swych domów w mieście.

Po powrocie z drogi, w czasie której „zwiadowcy” ci stwierdzili panujący w mieście spokój i zupełną ciszę oraz brak oznak bitwy ani ruchu wojsk, postanowili wracać z dobytkiem do domów i tak też się stało. W godzinach popołudniowych znaleźliśmy się wszyscy już w domu. Przed wieczorem ojciec nasz odprowadził wóz i konia właścicielowi dziękując, jak się wyraził, za grzeczność i wypożyczenie transportu, a dla „pro formy” spytał się o należność za to, ale Niemiec słysząc o zapłacie nie chciał i tak w najlepszej zgodzie się rozeszli. Po powrocie do domu ojciec wobec nas i mamy oświadczył, że bez względu na okoliczność jak może się wydarzyć, my już uciekać nie będziemy i dobrze, że z drogi wróciliśmy.

W mieście panowała cisza, ale brak było również światła, bowiem zatrzymano pracę młyna, który przy pomocy turbiny wytwarzał prąd stały dla oświetlania ulic i dla mieszkań w mieście.

W międzyczasie od zachodniej strony miasta przed zwalony most na rzece Wełna zajechała niewielka kolumna zmechanizowana wojsk hitlerowskich, ale do miasta dostać się nie mogła. Po krótkim postoju rozpoczęli oni huraganowy ogień z broni maszynowej skierowany na miasto. Dom, w którym ja wraz z rodziną mieszkałem był zlokalizowany przy rynku od zachodniej strony i był jednym z wyższych w mieście, toteż stał się głównym celem niemieckich ataków. Wszyscy mieszkańcy tego bloku mieszkalnego stali przed nim na rynku jak i osoby przechodzące w tym czasie obok wbiegli natychmiast do środka, aby ukryć się przed śmiercią w piwnicy. Spodziewaliśmy się, że po tym ataku hitlerowcy wkroczą do miasta i rozpocznie się rzeź, o której słyszeliśmy od uciekinierów znad zachodniej granicy, którzy jeszcze wciąż do nas przybywali i byli jej świadkami. W piwnicy więc nakazano bezwzględną ciszę, aby hitlerowscy szperacze nas tam nie wykryli; ale było to niemożliwe, ciszy nie udało się zachować.

W piwnicznych pomieszczeniach znajdowali się mężczyźni i kobiety, młodzież i dzieci a nawet niemowlęta na rękach swych matek, a w niej panowała całkowita ciemność. Strach przed ewentualną śmiercią oraz ciemność wywoływały płacz małych dzieci i niemowląt oraz jęki kobiet i młodzieży i trudności zachowania ciszy. Kiedy nad stropem piwnicy usłyszano energiczne kroki przechodniów nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że były to kroki

niemieckich żołnierzy szukających mieszkańców. Wówczas dopiero zapanowała panika i wzajemne uciszanie się:

- *ci...cho, ci...sz...a,*

strach, pisk dzieci, popychanie starszych i upadki na posadzkę. Ktoś z obecnych nerwowo nie wytrzymał i półgłosem szepnął:

– *podusić dzieci, bo nasz pobyt zdradzą i się nie uratujemy*

wówczas dopiero tumult powstał. Zawsze jednak w takich beznadziejnych sytuacjach znajdzie się ktoś odważniejszy lub trzeźwiej myślący i nie traci głowy, który cichaczem z piwnicy się wysunął i stwierdził, że Niemców jeszcze w ogóle nie ma i nic nikomu nie grozi.

Wyjście z piwnicy sprawiło nam wszystkim wielką ulgę, ale dopiero wywołało awanturę o propozycję, która w piwnicy padła z ust jakiegoś mężczyzny. Mamy szukały „dusiciela” ,więc atakowały każdego mężczyznę wywołując przez to awantury. Trudno było się tym mamom dziwić, aby nie stanęły w obronie swych pociech przed tchórzem, któremu nic nie groziło, a on chciał takie głupstwo popełnić.

Noc następna minęła spokojnie, ranek zaś cichy i ciepły, choć bez słońca, które skryło się za „welon” mgły, która utrzymywała się do obiadu. Spokój i normalna praca domowa społeczeństwa wcale nie wskazywała, że gdzieś w kraju toczy się wojna lub jakaś bitwa. Ojciec mój wyprowadził przed dom swój rower i zapowiedział mi wyjazd z nim na działkę w celu wykopania posadzonych na niej ziemniaków. Obaj na jednym rowerze po śniadaniu udaliśmy się do miejscowości Łaziska na działkę odległą od domu o 2 kilometry. Kiedy wjechaliśmy do niewielkiego lasu przez który droga prowadziła, ojciec spostrzegł w nim kopczyki, których tam dotąd nie było. Po zatrzymaniu się i odkryciu z mchu kopczyka wyłonił się worek jutowy, a w nim cukier. Chwila zastanowienia się ojca, po której zdecydował, że rezygnujemy z kopania ziemniaków i zabieramy worek na ramę roweru wracając do domu. Doszliśmy z ojcem do wniosku, że dnia poprzedniego wieczorem, w czasie piątkowej strzelaniny w Rogowie worki z cukrem zostały porzucone i mchem przykryte. Stanowiły zapewne łup z rozbitych magazynów cukrowni żnińskiej i dotąd dowieszone przed atakiem Niemców. W drodze powrotnej do domu poprzez mgłę doszedł do naszych uszów ciężki, ale dość jeszcze odległy warkot silników spalinowych, co przekonało nas, że zbliża jakaś duża kolumna zmotoryzowanych jednostek wojskowych. Zmobilizowało nas to do przyspieszenia kroków i wywołało chęci znalezienia się jak najszybciej w domu.

ROZDZIAŁ III. OKUPACJA

Droga do domu , pomimo dużego przyśpieszenia wydawała się mnie i ojcu jakby była wydłużona, ale wkrótce znaleźliśmy się obaj na ulicy Żnińskiej prowadzącej do rynku i do naszego domu. Pozostało nam jeszcze do przebycia 300 lub 400 metrów, kiedy rozpętała się niesamowita strzelanina z broni ręcznej, automatycznej i maszynowej, i świst kul nam wydający się tuż, tuż nad głowami. Wpadliśmy więc w najbliższą bramę za budynek, aby odczekać trwający około 10 minut atak, po którym ostrożnie ruszyliśmy z łupem do domu. Do kamienicy dostaliśmy się tylną bramą przez podwórze omijając rynek, na którym było już pełno hitlerowskiego wojska.

Po rozładowaniu i ukryciu cukru w szopie na drewno opałowe ojciec poszedł do mieszkania a ja do frontowej bramy kamienicznej, gdzie jeszcze przez uchylone drzwi ujrzałem szpaler niemieckich żołdaków stojących w rozkroku i otaczających część miejskiego rynku, a w środku tego szpaleru dość liczną grupę mężczyzn i chłopców stojących z rękoma założonymi na szyi. Spostrzegłem również hitlerowskich oprawców wyciągających z bram kamienic grupki następnymi mężczyzn, popychających ich kolbami karabinów w stronę tego szpaleru, a niektórzy z „brańców” byli już zalani krwią na skroniach i twarzach. Ohydny to był widok dla mnie, który odepchnął mnie od bramy i szybkim biegiem udałem się do drewniaka, aby ukryć się, by nie spotkał mnie los chłopców stojących na rynku. Okazało się później, że spęd ten nie był jeszcze tragedią bo wszystkich pojmanych żołdacy popędzili do odgruzowywania zerwanego mostu. Zadaniem ich było odgruzowanie rzeki w celu uniknięcia zalania terenu, toteż wszyscy musieli wchodzić po pas do wody i wydobywać bryły betonu, a dzień ich pracy trwał od świtu do zmroku nie wyłączając niedziel i świąt.

Któregoś dnia po pierwszej niedzieli okupacji w mieszkaniu naszym zjawił się niemiecki żandarm po mnie, abym wyszedł przed blok na rynek. Mama moja lament podniosła błagając „szwaba”, aby mnie oszczędził i nie zabierał, bom jeszcze dzieckiem trzynastoletnim, a z drugiej strony jedynym pozostałym z trzech synów. Żandarm ten był z miejscowych Niemców - kolonistów o nazwisku Kruger, który bardzo dobrze znał język polski i tym językiem się u nas w domu posługiwał. Uśmiechnął się i mamę uspokoił, że jeszcze przed zmrokiem do domu wrócę, tylko wykonam niewielką pracę, mówiąc:

– *niech się pani o nic nie martwi.*

W drodze do rynku przez bardzo długi korytarz dodał jeszcze do tego co w mieszkaniu mówił, mianowicie że będzie nas więcej i będziemy książki z banku wnosić. Po wyjściu przed blok mieszkalny na rynku ujrzałem stojących już trzech kolegów i dwóch żandarmów, którzy jak gdyby ich pilnowali. Koledzy moi na rynku to dwaj bracia Klockowscy Marian i Tadeusz oraz Strzelecki Feliks, którzy stali wystraszeni, bladzi jak opłatek, a miny mieli okropne, jakby miano ich mordować. Na widok mojej spokojnej i uśmiechniętej miny koledzy jakby ożyli i wstąpiła w nich nadzieja; dochodząc do równowagi któryś z nich szeptem spytał „co z nami?”, mruknąłem, że w porządku. Istotnie Kruger nie kłamał bowiem zaprowadzili na do stojącego obok budynku Banku Rolnego, w którym znajdowała się Biblioteka Narodowa z ogromnym zbiorem książek polskich i tam nas wprowadzili. Niemcy postanowili w budynku tym urządzić gestapo i żandarmom tym zlecieli usunąć polskie książki. Bank frontem skierowany był ku rynkowi, gdzie było główne wejście, a strona boczna

budynku przystawała do bardzo krótkiej uliczki a dalej była droga polna prowadząca do jeziora znajdującego się o 350 m od banku. W połowie tej drogi w niewielkiej od niej odległości znajdował się bardzo stary cmentarz żydowski tak zwany „Kirkof”. Było to właśnie miejsce do palenia wynoszonych przez nas książek z Biblioteki Narodowej. Dwóch żandarmów rozpałało przy „Kirkofie” ognisko i paliło książki, a jeden siedział w bibliotece i pilnował nas, abyśmy brali właściwe książki i odpowiednią ilość. Drogę między biblioteką a miejscem palenia książek przebywaliśmy bez opieki żandarmów, co umożliwiło nam za każdym kursem odrzucić w pole gdzie ziemniaki rosną po kilka książek, których z drogi widać nie było. Po zakończeniu akcji palenia, kiedy żandarmi oddalili się od banku i już widać ich nie było myśmy odrzucone książki pozbiali i zabrali do swych mieszkań, zaś o świcie rano pozbiali resztę. Nie wiem jak moi koledzy, aleja w komórce na drewno opałowe zgromadziłem ładny zbiorek książek, który nie tylko mnie i mojej rodzinie służył, ale i inne rodziny „pokrzepiał”. Książki te po przeczytaniu w mojej rodzinie krążyły dalej wśród znajomych, ale już nigdy do mnie nie wróciły i do końca wojny prawie nic nie zostało.

Nadeszła jesień, która w rodzinach naszych rodaków przyniosła ból, tragedie, a często rozpacz żon, matek i dzieci. Zaczęto masowo wywozić mężczyzn, kobiety i młodzież polską na roboty przymusowe do Niemiec, pod murami miejscowego młyna rozstrzelano pewnego Polaka o nazwisku Weiss, któremu udało się zbiec z aresztu w czasie krwawego przesłuchiwania, ale daleko nie uszedł. Drugi jego współlokator z celi niejaki Zanęto ciężko pobity skonał w areszcie w bólu i mękach po odbiciu mu nerek i płuc. Obu tych nieszczęśników wrzucono jak zwierzęta do przeciwnocnych okopów wykopanych tuż przed mobilizacją i zasypano ich ziemią bez trumien i bez nakrycia czymkolwiek. Po zakończeniu II wojny światowej społeczeństwo Rogowa dokonało ekshumacji zwłok chowając ich szczątki w trumnach na miejscowym cmentarzu , a w miejscu pierwszego pochówku postawili obelisk upamiętniający ich męczeństwo i haniebną śmierć.

Aresztowano również trzech z czwórki osób byłego Komitetu Straży Obywatelskiej, to jest: Bernarda Michała, Ćwiklaka Zygmunta oraz Ratajczaka Franciszka, wywożąc ich do więzienia w Bydgoszczy. Czwarty członek K.S.O. pan Tucholski zdążył zbiec do Niemiec udając tam fryzjera, ale za nieumyślne skaleczenie żandarma w czasie golenia został do nieprzytomności pobity i zmarł w areszcie. Pozostałych trzech wyżej wymienionych po sfinansowanym procesie w Rogowie, w obecności rodzin bojówkarzy pojmanych zostali skazani na śmierć i powieszani w Bydgoszczy w dniu tak zwanej „KRWAWEJ NIEDZIELI W BYDGOSZCZY”. Był to odwet Niemców za to , że bojówkarzom „piątej kolumny” niewiele napadów udało się, a większość z nich zginęła. Na przykład do kłęski „piątej kolumny” zaliczyć można również wydarzenie w Bydgoszczy: w pierwszych dniach wojny, kiedy wojsko polskie opuszczało Bydgoszcz udając się na wyznaczony odcinek frontu zostało ostrzelane huraganowym ogniem z broni maszynowej przez hitlerowskich bojówkarzy. Wojsko maszerując w szyku zwartym było dogodnym celem, toteż wielu z nich zginęło i wielu zostało rannych, bowiem ogień hitlerowcy otwarli z wieży Kościoła Klarysek oraz dachu Bydgoskiego Domu Towarowego. Wojsko polskie w pośpiechu miasto opuściło, ale dowództwo w marszu zorganizowało dwa pododdziały szturmowe, które wróciły do miasta i zlikwidowały napastników. Ta i inne kłęski bojówek hitlerowskich były przyczynkiem do urzędzenia „Krwawej Niedzieli” przez Niemców. Kampania wrześniowa dobiegała końca iż wojny powracało wielu żołnierzy polskich w niej uczestniczących, którzy zostali do niewoli wzięci, a następnie zwolnieni do domów. Nie oznaczało to wcale, że byli oni już wolni w pełni tego słowa znaczeniu, ponieważ każdy zwolniony z niewoli żołnierz musiał się przez

pewien okres codziennie zgłaszać na policji lub gestapo, gdzie wszyscy byli przesłuchiwani. Gestapo a nawet policja posiadali pełną informację o jednostkach wojska polskiego uczestniczących w wojnie. Informacje te konfrontowane były z zeznaniami powracających do domu żołnierzy polskich z wojny. Wśród powracających z niewoli żołnierzy do domów w Rogowie znalazł się również rezerwista z jednostki wojskowej „Obrona Narodowa” działającej w czasie wojny w okolicach Bydgoszczy, miejscowy fryzjer nazwiskiem Iwanowski. Jednostka jego przejęła między innymi bojówkarzy hitlerowskich ujętych w okolicach Rogowa Żnińskiego i ona wydała wyrok śmierci na nich i wykonała go. Iwanowski więc szczególnie został poddany nadzwyczajnym przesłuchiwaniami, przechodząc tortury do niespotykanych dotąd rozmiarów i żałował, że z wojny wrócił zdrowy i cały, a może nawet, że się urodził. Z przesłuchań wracał do domu ślaniając się na nogach od bicia i znęcania się nad nim po kilka godzin na dobę i przesłuchiwany był we dnie i w nocy, w dni powszednie i w święta. Głównym kierunkiem przesłuchiwania tego nieszczęśnika przez gestapo były pytania: kto przejął niemieckich bojówkarzy w jego jednostce wojskowej?, kto wydał wyrok?, kto go wykonał?. Chodziło o nazwiska, imiona i stopnie wojskowe, o adresy ich zamieszkania i ich rodzin. Iwanowski przez dłuższy czas trzymał się dzielnie nie podając żadnego nazwiska, mimo że znał je, i przechodził gehennę z tego tytułu. Granica ludzkiej wytrzymałości gdzieś jednak się kończy, a pan Iwanowski był już u jej kresu. Po kilkunastu dniach przesłuchań, wracając w nocy do domu, biedny człowiek wszedł do swego zakładu fryzjerskiego i tam powiesił się milknąc już na zawsze i myślę, że tym samobójstwem uratował wiele istnień ludzkich.

W międzyczasie zostały ukończone roboty przy odgruzowywaniu rzeki Wełny z resztek gruzu zwałonego mostu i wszyscy uczestnicy tych robót już żyli nadzieją odpoczynku po morderczym wysiłku, ale nie doczekali się. Wszystkich pracujących przy moście Polaków Niemcy wywieźli w głąb swego „Vaterlandu” dołączając ich do transportu już przygotowanej młodzieży polskiej i osób starszych. Transport ten wywołał rozpacz wielu matek, żon i siostr, które były przeświadczone, że przez cały okres wojny nie zobaczą się z nimi, a wielu z nich już nigdy nie wróci do domu.

Zły los dotknął również moją rodzinę, bowiem najstarszy brat mój, który co dopiero wrócił z wojny, ostatnio z obrony Warszawy, został zabrany do obozu jenieckiego koło Mannheim. Średni z braci Edward jeszcze z wojny nie wrócił i nie dawał żadnego znaku życia, a w dodatku znaleźli się świadkowie jego śmierci w czasie walk pod Chojnicami, bowiem tam 18-ty Pułk Ułanów został rozbity, a Edward w nim służył. Z kolei mnie, moją siostrę Joannę i najstarszą z siostr Salomeę, która co dopiero wróciła z Gdyni Orłowa do domu wezwano na Arbeitsamt przy Magistracie miejscowym. Ojciec już wcześniej został do pracy skierowany na szosach Przedsiębiorstwa Dróg Publicznych, gdzie pracował od godziny szóstej do osiemnastej. W domu więc pozostała na razie najmłodsza z siostr Czesława oraz moja mama, która ukończyła już 54 lata. Uspokoiała trochę naszą mamę wieść o decyzji burmistrza nakazującej naszej trójce - czyli ja oraz dwie siostry - czekać na rynku o godzinie szóstej rano dnia następnego, gdzie przyjadą po nas wozy zabierając nas do pracy na majątek ziemski w celu wykopów buraków cukrowych.

Tak istotnie się stało, następnego ranka na Rynek zajechało kilka drabiniastych wozów konnych, które nas i wiele innych kobiet i młodzieży zwiozły do majątku ziemskiego „Złotniki Pałuckie” odległe o 5 kilometrów od Rogowa, gdzie przez kilka tygodni ciężko pracowaliśmy.

Dzień pracy trwał od świtu do zupełnego zmroku z jednogodzinną przerwą obiadową ale jedzenie każdy musiał sobie zabrać z domu i w polu zjeść je w czasie przerwy, z tym, że nie był to normalny obiad, a najczęściej suchy prowiant.

Po zakończeniu prac wykopkowych wszyscy troje zostaliśmy skierowani do prac również przymusowych u Bauerów (niemieccy gospodarze), ale każdy z nas w innej miejscowości. Najstarsza z siostr Salomea do miejscowości Rzym, a następnie po chorobie na skutek „oberwania się” przeniesiono ją do miejscowości Recz oddalanej od Rogowa o 16 km na zachód. Joanna musiała udać się do Łysinina na wschód od Rogowa o 15 km, gdzie pracowała w rodzinie chorowitego esesmana, zarządcy majątku ziemskiego. Mnie z kolei skierowano do miejscowości Izdebno oddalanej od domu o około 5 km do bardzo złośliwego i niebezpiecznego szwaba - „hakatę” o nazwisku Hoeffit; („hakata” to nazwa niemieckiej organizacji rugującej Polaków z ziemi przed pierwszą wojną światową na terenie Wielkopolski). Niemiec ten znany był w okolicy jako działacz przeciw Polakom i aktywny członek Spółki kolonistów niemieckich Wymiana Zboża. Znany był również z tego, że zamordował polskiego żołnierza będącego na urlopie w tej miejscowości. Wszyscy mieszkańcy tej okolicy wiedzieli że było to morderstwo z premedytacją mimo to Sąd Grodzki w Żninie uznał go niewinnym, że działał w obronie własnej.

Historia ta znana była również mnie i mojej całej rodzinie, stąd budziła ona tak ogromne obawy o los mój u niego w pracy, tym bardziej, że warunki bytowe jakie mi ów Niemiec zgotował urągały nie tylko niewolnikowi, ale nawet domowemu zwierzęciu. Otóż w wozowni zbudowanej z desek, szczytem przyległej do obory, gdzie oprócz wozów przechowywane były również maszyny rolnicze, ja miałem zbitą z desek pryczę w formie koryta w narożniku tej wozowni. Koryto to było słomą wypełnione i nakryte brezentem bez prześcieradła, zagłówek ze słomy bez powłoki, a nakrywałem się starą wytartą derką końską. Wrota tej wozowni były na zawiasach tak wysoko osadzone, że od podłoża gruntu do dolnej części wrót była szpara, którą choć z trudem ale człowiek by się przecisnął. Toteż w nocy przez zamknięte wrota do mojej „sypialni” oprócz grasujących gryzoni buszowały koty, psy i wchodziły różne gady nie pozwalając mi spać.

Kładąc się spać byłem od zewnątrz zamykany przez gospodarza na kłódkę, abym bez jego wiedzy nie mógł tego pomieszczenia opuścić. Ja przeważnie byłem bardzo zmęczony i senny, ale i tak oka nie zmrużyłem, tylko popłakiwałem i modliłem się bojąc wyobrażonej postaci. Moje warunki bytowania u Hoeffta znane były również moim rodzicom i rodzeństwu, ponieważ najmłodsza z siostr Czesława, która jeszcze nie została zmuszona do pracy przyszła raz pewnego do mnie na zwiady. Spotkanie moje z siostrą odbyło się po kryjomu przed gospodarzami mymi, bo odbyło się w zaroślach przydrożnych. Mój los mama moja przeżywała chyba od nas wszystkich najbardziej i często nad nim ubolewała.

Tak się jednak złożyło, że do Rogowa wrócił na krótki pobyt brat mojej bratowej Nowak Leon - „globtroter”, który chodził prawie po całej Europie nosząc swoje przedsiębiorstwo na plecach, czyniąc usługi. Był on bowiem blacharzem - lutownikiem, a zarazem garnki drutował i zawód ten unikalny uprawiał przez wiele lat przed wojną mając uprawniające do poruszania się dokumenty prawie we wszystkich krajach Europy. Sam nazywał siebie obywatelem Europy, znając doskonale kilka języków, ale szczególnie znał język niemiecki, którego uczyć się musiał w szkole. Nowakowi Niemcy tych dokumentów nie odebrali, wydając mu dodatkowe zaświadczenie uprawniające do poruszania się bezkarnie po krajach

podbitych przez nich. Tym razem Nowak odwiedził również moją rodzinę, wysłuchując gorzkich żali mojej mamy nad moim losem. Nowak zawsze lubił mnie i przed wojną jako dziecku kupował słodycze podczas odwiedzin swej siostry, a mej bratowej, mamę zaś moją szanował jak własną matkę, więc obiecał z biedy wyciągnąć. A był to wielki „frant” i spryciarz, kłamca i aktor, który potrafił każdego przekonać ale i oszukać, jeśli była taka potrzeba, a pomagała mu w tym dobra znajomość języków obcych.

Znał on również doskonale Hoeffta i jego zwyczaje, bo na tych terenach urodził się i wychował, więc podjął się misji wydostania mnie od niego. Nie tracąc czasu wyszedł Leon na ulicę, aby przypilnować momentu przybycia Hoeffta do miasta, a kiedy to już się stało wzięt rower i udał się do Izdebna, gdzie ja przebywałem. Najpierw spotkał się ze mną aby zdradzić mi swoją misję i pouczyć jak mam się zachować w czasie jego obecności u szefowej, udając że nie znam go, i bym nie przejmował się tym jak będzie krzyczał. Następnie udał się do gospodyni wyczytując z rzekomej listy moje nazwisko i to, że zabiera mnie na transport do Reichu, który on przygotowuje i jest za niego odpowiedzialny. Nie pomogły protesty „szwabki”, a następnie prośby, aby wstrzymał się do powrotu z miasta szefa. Nowak powiedział, że transport czekać nie będzie na jednego polskiego „szczeniaka”, wyjął z portfela swoje zaświadczenie upoważniające go do poruszania się po krajach i pieczęcią z niemiecką „gapą” błysnął przed oczyma Niemki mówiąc: „Hier ist bescheid”. Warknął następnie na mnie po niemiecku, abym się pośpieszył i powtórzył to łamaną polszczyzną. Mnie puścił przodem, a sam jechał za mną rowerem i pokrzykiwał: Los, los i schnell, schnell”. Kiedy gospodarstwo Hoeffta zniknęło nam z oczu za zakrętem drogi Nowak powiedział:

- Wskakuj na ramę roweru, pudło z rzeczami położył na bagażniku i przyspieszył pedałowanie. Następnie zbiegł z drogi skręcając w las, aby przypadkiem nie spotkać po drodze Hoeffta powracającego do domu z Rogowa i do miasta wjechaliśmy od wschodniej strony.

Po wejściu do mieszkania mama pochwyła mnie w uścisku, a Nowak dumnie oświadczył:

- No, Leon zawsze słowa dotrzymuje i jeszcze nikogo nie zawiódł w biedzie.

Mama tymczasem kiedy już nacieszyła się moim powrotem nagle wpadła w lęk, że teraz rzeczywiście mogą mnie Niemcy zabrać i wywieźć gdzieś w głąb swego „Vaterlandu”. Jak się okazało Nowak taką okoliczność przewidział i udał się do miejscowego ogrodnika niemieckiego Otto Pfeifera, zresztą bardzo wpływowego Niemca, który za jego namową przyjął mnie do pracy, stwarzając dla mnie jakby azyl przed wywozem do Niemiec. Ogrodnik zresztą znał również dobrze mego ojca jako bogatego gospodarza i to mu bardzo pochlebiało, że teraz może zatrudnić jego syna.

Los nie oszczędził również mojej ostatniej z siostr Czesławy, która dotychczas pomagała w domu chorowitej mamie, a którą skierowano do pracy w charakterze służącej u niemieckiej rodziny Blech. On był naczelnikiem poczty w Rogowie, która znajdowała się parę kroków od tylnej bramy naszej kamienicy w której mieszkaliśmy, a nad urzędem mieszkała jego rodzina - żona, córka dorosła i syn małoletni. Do pracy siostra moja miała bardzo blisko i w domu nocowała, więc wszyscy z tej okolicy cieszyliśmy się, ale w pracy musiała przebywać od świtu do późnego wieczora, a raczej nocy, bo wracała po godzinie policyjnej. Wiadomo było, że Czesia jeśli wytrzyma ciężar pracy jaki ją tam spotkał,

to może utrzymać się przez cały okres niewoli blisko domu. Istotnie „tresura” jaką Czesia od swej szefowej otrzymywała mogła budzić wątpliwość, czy wytrzyma i nikomu z bliźnich, nawet wrogowi nie życzyłbym tego.

Jedzenie, które tam w pracy otrzymywała siostra moja mogłoby wystarczyć przedszkolnemu dziecku, ale za to pracy otrzymywała tyle, że mogło wystarczyć dla dwóch dorosłych osób. Jest to jednak sprawa odrębna, nie wiążąca się ściśle z moimi wspomnieniami.

ROZDZIAŁ IV. SZKOŁA PFFEIFERA

We wspomnieniach moich nazwisko Pffeifer Otto padło już dwukrotnie w poprzednich rozdziałach, ale w tym rozdziale będzie on jedną z głównych postaci, która miała wpływ na losy wielu osób. Był to ogrodnik „dorobkiewicz” w Polsce jako kolonista niemiecki, ale już bardzo bogaty i bardzo liczący się wśród swoich ziomków, jak i w urzędach i niemieckich instytucjach. Posiadał on ogrodnictwo oraz gospodarstwo rolne 15-to hektarowe, w którym mnie zatrudnił po mojej ucieczce od Hoeffta, chroniąc przed szykanami jego. W skład ogrodnictwa wchodziły cztery oranżerie podłączone do dwóch kotłowni koksowych z ogrzewaniem wodnym, w których utrzymywano temperaturę około 25 stopni dla hodowli kwiatów i wczesnych warzyw. Jedną cieplarnię kanałową ogrzewaną węglem przy pomocy pieca, od którego do komina prowadził kanał nadziemny przez całą długość cieplarni, w której osiągnano temperaturę powietrza około 12-16 stopni. W cieplarni tej hodowano rośliny nisko-ciepne i wegetujące przed przeniesieniem ich do oranżerii. Ogród inspektowy na 1500 okien oraz gruntowy na kwiaty i warzywa, jak również szkółkę drzewek owocowych i krzewów jagodowych. Przeciętne zatrudnienie w ogrodnictwie wynosiło 13-15 osób, w tym:

- kierownik ogrodu - Grześkowiak Franciszek,
- czterech ogrodników - Domagała Florian, Klemens Leonard, Kęska Kazimierz i Rossa Edmund,
- dwóch uczniów ogrodniczych - starszy Kruger Kurt i młodszy Lutke Eryk,
- dwóch robotników - Grześkowiak Jerzy, syn kierownika i Grzeczka Telesfor,
- cztery kobiety dochodzące z miasta, pracujące w ogrodzie na dniówkę, których nazwisk nie podaję ze względu na częste zmiany osób i to, że czasem w pewnych okresach szef zatrudniał więcej jak cztery kobiety sezonowo.

W gospodarstwie rolnym średnie zatrudnienie wynosiło 7 osób:

- Gramza Sylwester, opiekun koni, wykonujący prace polowe końmi i powożenie,
- Gramza Florian, opiekun bydła i wykonawca prac gospodarczych i polowych,
- Nowicki Kazimierz, utrzymywanie porządku w chlewni trzody, wyrzucanie gnoju i ścielenie słomą, wykonywanie prac gospodarczych i polowych,
- Rymer Franciszek, według potrzeb wszystkie prace w gospodarstwie i w polu.
- Andrzejewski Onufry, 84-letni dziadek, wyrzucony gospodarz ze swego gospodarstwa - prace porządkowe w podwórzcu gospodarstwa i lżejsze prace polowe,
- Majchrzak Zofia, służąca w kuchni oraz oprząd trzody chlewnej i dojenie krów,
- ja, czyli Idziak Marian, pomoc przy oprzędzie krów i wszystkie prace w gospodarstwie, w polu, w ogrodzie oraz postaniec.

Wszystkie wymienione osoby za wyjątkiem obu Grześkowiaków i kobiet dochodzących z miasta, otrzymywały całodzienne wyżywienie u Pffeifera. Wszystkie osoby otrzymujące

wyżywienie, za wyjątkiem Nowickiego K., Andrzejewskiego O., Majchrzak Zofii i mnie, otrzymali również kwaterę i spanie.

Rozpoczął się już czwarty miesiąc hitlerowskiej okupacji i był to grudzień 1939 roku, a wraz z nim natężenie represji i terroru wobec polskiego społeczeństwa. Po wysiedleniu obszarników ziemskich -dziedziców zaraz na początku okupacji, teraz przyszła kolej na pozostałych gospodarzy i właścicieli małych firm i warsztatów rzemieślniczych. Odbywało się to w sposób represyjny, bowiem w nocy śpiących polskich właścicieli budzono poprzez głośne hałasy i walenie pięściami we wszystkie okna, dając 5 minut czasu na ubranie się i opuszczenie dobytku. Ludzi tych wywożono na roboty przymusowe do „Reichu”, wiele rodzin do obozów koncentracyjnych lub też daleko na wschodnie tereny Polski zajęte przez Związek Radziecki.

Z chwila wkroczenia wojsk hitlerowskich na nasze tereny zaczęły do nas napływać masowo rodziny niemieckie, którymi obsadzano majątki ziemskie po wysiedlonych dziedzicach polskich, których na naszym terenie nie brakowało.

Utworzone przez Niemców grupy operacyjne do wysiedlania właścicieli polskich miały pełne ręce roboty nad dręczeniem ich i odbieraniem reszty dobytku, który wysiedlani próbowali w walizkach zabrać ze sobą. Los taki jeszcze pod koniec września spotkał dziedzica z majątku Żłotniki Pałuckie w powiecie żnińskim, Pana Czarlińskiego, gospodarującego na 3 tys. hektarów przyjaciela naszego szefa Pfeifera. Lokajem w dziedzictwie Czarlińskiego przed wojną był właśnie Grześkowiak Franciszek, który po wysiedleniu jego pana przemianował się na ogrodnika i pozostał dalej na tym majątku. Grześkowiak utrzymywał kontakt listowny z panem Czarlińskim wywiezionym w okolice Mińska Mazowieckiego i dowiedział się, że jego były chlebowadca cierpi wraz z rodziną potworny głód. Spotkał się więc z naszym szefem Pfeiferem, z którym dogadał się w sprawie zorganizowania pomocy żywnościowej dla wysiedlonego dziedzica. Grześkowiak przekazał Pfeiferowi dwa worki grochu cukrowego wyhodowanego na tym majątku jeszcze za czasów jego pana, z tym że Pfeifer miał jeden worek zachować dla siebie, a drugi przesłać do Mińska dla Czarlińskiego w formie paczki - przesyłki drobnicowej. Sztuka ta nie udała się, bowiem nie uszła uwadze administracji niemieckiej, która przesyłkę przechwyciła, kierując sprawę do organów ścigania i obaj „przemysłowcy” zostali postawieni w stan oskarżenia. Wkrótce doczekali się obaj procesu, który przyniósł im wyroki - Pfeiferowi zapłcenie grzywny, a Grześkowiakowi wyrzucenie z pracy i mieszkania w majątku oraz 1 rok więzienia z odsiadką w Żninie. Pfeifer jak się okazało zachował się wobec Grześkowiaka bardzo elegancko, bowiem przydzielił jego rodzinie mieszkanie, seniora Grześkowiaka zrobił kierownikiem ogrodu, a jego syna 16-letniego Jerzego przyjął do pracy w ogrodzie chroniąc ich przed wywiezieniem.

Teraz w grudniu właśnie nadszedł czas rozpoczęcia odbywania kary przez Franciszka Grześkowiaka i to prawie przed samym Bożym Narodzeniem. Na miejsce odsiadującego karę Grześkowiaka Pfeifer wyznaczył do kierowania pracami w ogrodzie najstarszego z ogrodników Domagałę Floriana, ograniczając mu zakres prac jaki miał poprzednik. Domagała nie otrzymał przywileju obsługi klientów, być może nie z racji braku zaufania ale z racji tej, że Florek nie rozumiał ani słowa po niemiecku. Było to również kłopotliwe w porozumiewaniu się szefa z nim, gdyż Pfeifer choć rozumiał dużo po polsku to nie potrafił tym językiem władać, choć okazywał duże chęci, ale wywoływał tym uśmiech słuchaczy. Zdarzały się więc z tego tytułu nieporozumienia, czasem sceny komiczne dla

otoczenia, ale czasem dla samego Domagały nieprzyjemne i nie służyły mu na zdrowie. Wśród zatrudnionych, jak już wcześniej wspomniałem, było dwóch Niemców, uczni ogrodniczych świetnie władających językiem polskim. Starszy Kurt Kruger ukończył polską szkołę powszechną oraz trzyletnią szkołę zawodową toteż nie ustępował akcentem żadnemu Polakowi. Młodszy zaś Eryk Lutke również dobrze mówił w naszym języku, ale były momenty, które zdradzały go, że nie jest Polakiem, bo skomplikowane wyrazy wymawiał czasem opacznie i poprawiał się. Lutke był początkującym uczniem i posiadał mały zasób fachowych słów ogrodniczych, więc nie zawsze był w stanie pośredniczyć w rozmowie Pffeifera z Domagałą najczęściej robił to Kruger.

Z ogrodnictwa naszego często wysyłano kwiaty doniczkowe na zamówienia klientów zamiejscowych, które ekspediowano wąskotorową kolejką do Żnina lub Osna Wielkopolskiego, a w razie potrzeby normalną koleją dalej. Kwiaty pakowane były wraz doniczkami w cienki papier, u czuba zawiązane i wkładane do okrągłych koszów, specjalnych do wysyłki, zwrotnych. Kosze miały dwa rozmiary średnic i pojemności, większy okrągły o średnicy 120 cm i wysokości 25 cm, zaś mniejszy ten sam kształt o średnicy 90 cm, na 25 cm wysoki. Wykorzystanie ich do wysyłki uzależnione było od wielkości zamówień, z tym że szef starał się najczęściej pakować do koszów o mniejszych rozmiarach ze względu na szerokość furtki znajdującej się między ogrodem a podwórzem. Kwiaty do koszów pakowano w piecowni - pracowni obok oranżerii i przez furtkę wnoszono na wóz konny w podwórzu, którym transportowano na dworzec kolejki w Rogowie - SEEBRUCK, bo tak przemianowano Rogowo. Koniem najczęściej powoził Florek Gramza, ale zdarzało się, że kosze z kwiatami ja na stację odwoziłem, co bardzo lubiłem robić i to z dwóch powodów: pierwszy, bo była to praca lekka i przyjemna, bo lubiłem końmi powozić, drugi, bo można było spotkać kolegów lub koleżanki i trochę z nimi poplotkować, uzyskać polityczne nowinki przyjemne dla nas Polaków.

Pewnego razu przy takiej wysyłce kwiatów doszło do wydarzenia, które było dla niektórych chłopców śmieszne, a dla zainteresowanych bezpośrednio przykre. Kierujący ogrodem Domagała przygotowywał z kolegami partię kwiatów - prymule i cyklameny do wysyłki kolejką i zamówienie klienta co do ilości sztuk tak niefortunne, że stworzyło problem. Ilość zamówionych doniczek kwiatów była za duża na jeden mały kosz, zaś za mała na dwa kosze, ale cała partia mieściła się do jednego kosza dużego, obawiano się jednak jak duży zapakowany kosz przez furtkę przecisnąć. Szef podjął decyzję, że choć nie będą pełne to jednak do dwóch koszów mniejszych, choć była to podwójna praca, bo kosze trzeba było obudować długimi patykami z leszczyny w formie kopuły, aby można je było papierem pakowym owinąć. Czyni się to w ten sposób, że po ułożeniu doniczek w koszu z sianem utyka się zaostrome patyki leszczyny między splot kosza na obrzeżu co 20 cm i końce patyków w górnej części związuje się razem. Żebra leszczynowe tworzą kopułę na górnej części kosza, którą owija się pakowym papierem chroniąc kwiaty przed mrozem i przed ewentualną kradzieżą za uszkodzenie papieru kolej odpowiadała. Podwójna byłaby również opłata przewozowa, bowiem za dwa kosze, a nie za jeden. Z tej to racji Domagała po odejściu szefa podjął swoją decyzję pakowania kwiatów do większego, ale jednego kosza i po zakończeniu tych czynności wraz z kolegami próbował go przez furtkę przecisnąć akurat, gdy szef z powrotem przyszedł. Efekt był taki, że kosz prawie na siłę przecisnięto, ale papier obwoluty kosza został na niewielkiej przestrzeni rozerwany. Pffeifer mocno się zdenerwował i czerwony jak burak krzyczał, kto śmiał zmienić jego decyzję i zamiast w dwa mniejsze zapakować w jeden duży kosz. Domagała nie odezwał się słowem, zresztą i tak nie

rozumiał co szef wykrzykuje, lecz ze stoickim spokojem przyniósł z pracowni klej i kawałek papieru i tak dziurę zakleił, że prawie jej widać nie było. Uspokoilo to rozwścieczonego szefa, który oddalił się do garażu po rower, by towarzyszyć transportowanym kwiatom na dworzec kolejki i tam załatwić formalności spedycyjne. Robił to przy każdej wysyłce, ale zawsze wracał zaraz do domu po załatwieniu formalności.

Tym razem jednak było inaczej, szef zrobił odstępstwo od reguły, gdyż po załatwieniu tych czynności zatrzymał się w mieście, gdzie chyba dla animuszu „golnął” sobie kielicha, dwa a może i więcej alkoholu i dopiero do bazy powrócił. Po powrocie z miasta nie wprowadzając roweru do pomieszczenia, co było jego normalnym zwyczajem, lecz pozostawiając go przed budynkiem mieszkalnym przyśpieszonym krokiem ruszył prosto do ogrodu, gdzie ogrodnicy w pracowni przesadzali kwiaty do większych doniczek. Pierwszym słowem Pfeifera jeszcze przed progiem pracowni były słowa:

- *Wo ist die Domagała?* (czyli gdzie jest Domagała);

tu należy dopowiedzieć, że w tym dniu Florian miał dyżur palenia w kotłowni, stąd był nieobecny w pracowni. Obecny w pracowni niemiecki uczeń Kruger odpowiedział szefowi:

- *Domagała zulege zum kessel* (dokłada do kotła)

i po tej odpowiedzi podchmielony szef obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia z ogrodu. Po kilku krokach zawrócił ku pracowni i powtórzył to samo pytanie, otrzymał od Kurta tę samą odpowiedź i znowu szef próbował odejść. Po trzykrotnym powtórzeniu tego pytania i takiej samej odpowiedzi Pfeifer dostrzegł nadchodzącego Florka Domagałę wracającego z kotłowni, toteż jak tygrys doskoczył do niego, poczerwieniał jak indora korale i zaczął ze wszystkich stron okładać Florka pięściami. Krzyczał przy tym przeraźliwie:

- *Verfluchter Faulenzer, dreht sich und dreht*, co miało oznaczać: cholerny leniu, kręcisz się i kręcisz”.

Domagała nie znając języka zaskoczony tym atakiem zapytał:

- *Do cholery, co szef ode mnie chce?*

Niemiec znając doskonale słowo cholera i jego sens miał teraz powód do bicia, więc kilka razy powtórzył i krzyczał:

- *Was ist das polera?* (co to jest cholera).

Domagała z kolei zrozumiał, że chodzi tu o coś związanego z selerem i oświadczył:

- *Ja nie ukradłem żadnego selera,*

i znowu oberwał oberwał od szefa z bardziej agresywnym pytaniem:

- *Was ist das polera???*

Wreszcie już mocno obity nieborak zwrócił się do Krugera mówiąc:

- *Kurt, wytłumacz szefowi, że przecież ja nie ukradłem selera, więc czego on ode mnie chce?*

Kruger z wysiłkiem opanował swój atak śmiechu z zabawnej historii, przez którą nie mógł się od śmiechu powstrzymać, bowiem znał dobrze oba języki i wyjaśnił Pfeiferowi

nieporozumienie, że Domagała nie przeklinał, lecz o selerze mówił. Pfeifer szybko się uspokoił, coś pod nosem mamrotał i obróciwszy się na pięcie szybko się oddalił w kierunku mieszkania. Kurt zaś powtórzył swój chichot i rozśmieszył resztę kolegów mówiąc:

- Myślałem, że ze śmiechu pęknę jak Florek ze Starym rozmawiali, jak gęś z kaczką, ale oczywiście współczuję Ci Florek,

zresztą wszyscy mu współczuli i ubolewali.

Domagała jeszcze tego samego dnia spakował swoje rzeczy i opuścił ogrodnictwo udając się do Żnina, skąd pochodził. Zgłosił się następnie w urzędzie „ARBEITSAMT” (biuro pośrednictwa pracy), gdzie oświadczył, że uciekł z pracy od Pfeifera, który bił go bez przyczyny i tam już nie wróci. Prosił o inne skierowanie do pracy w ogrodnictwie lub wywiezienie go do Reichu do obozu - wszystko jedno, byle nie do Pfeifera. Skierowali go jednak tylko do pracy w ogrodnictwie niemieckim w Żninie, gdzie mocno poszukiwali ogrodnika, bo Niemiec zajął ogrodnictwo Polaka, a w ogóle się na nim nie znał. Domagała poprawił sobie byt, bo do pracy dochodził codziennie z domu i w tej pracy dotrwał do końca wojny.

Krótko po tym wydarzeniu odszedł również od Pfeifera Kurt Kruger, który ukończył terminację ogrodniczą i został powołany do „Wermachtu”. Odchodząc, Niemiec ten żegnał się z nami wszystkimi ze łzami w oczach, mówiąc:

- Chłopaki, bardzo mi było z wami współżyć. Będę długo pamiętał i was wspominął. Myślę, że nie zobaczymy się więcej, choć chciałbym.

Kruger miał rację, nie widzieliśmy go więcej i bardzo go wszyscy żalowali, chociaż wywodził się z narodu nam wrogiego, on był inny.

Drugi niemiecki chłopak, młodszy uczeń Erik Lutke również odszedł przerywając naukę ogrodnictwa, mówiąc do nas, że nauka sensu nie ma i mu się nie przyda, bo jeszcze trochę i pójdzie tam gdzie Kurt, chociaż by nie chciał. Podobnie jak Kruger z wszystkimi się pożegnał i powiedział:

- Idę do ojca na gospodarstwo, choć bardzo małe ale własne, nie chcemy nikomu większego zabierać.

W miejsce Domagały „Arbeitsamt” skierował innego polskiego ogrodnika o nazwisku Kaczmarek Marian, który był bardzo wesołym i miłym kumplem dla nas wszystkich. Od tego momentu w ogrodnictwie i gospodarstwie rolnym Pfeifera zatrudnieni już byli sami Polacy. Szef nasz natomiast zakosztował bezkarnego bicia swoich pracowników, więc zdarzało to mu się coraz częściej, aż wpadł w nawyk, jak alkoholik do picia wódki przywyka i traktował to jak rozrywkę. A była to przecież kreatura niewielkiego wzrostu, bo mierząca 156 cm, o nieciekawej fizjonomii: gruby jak dynia, gęba czerwona jak buraczek, chwilami dochodząca do barwy fioletowej, rączki małe ale pulchne z wiszącymi przy nich palcami jakby serdelki.

Rodzina jego składała się z pięciu osób: szef Otto lat około 60, jego żona Olga mniej więcej w tym samym wieku, córka Eliza - stara panna grubo po trzydziestce, syn Kurt o rok młodszy ode mnie oraz siostra szefowej Marie Dusterheft, również panna lat około 50-ciu. Wszyscy za wyjątkiem szefa dobrze znali język polski, a szczególnie Kurt znał go wyśmienicie, władał

polskim językiem literackim i nikt nie był w stanie rozpoznać w nim Niemca. Kurt rozmawiał lepszą polszczyzną od swoich polskich rówieśników, bo chociaż do tej samej szkoły uczęszczali, to polscy chłopcy swój język mieli zabarwiony gwarą miejscową on nie.

Wyżywienie jak już pisałem mieliśmy w firmie i jak na wojenny czas i niewolę mieliśmy bardzo dobre, chociaż nam młodym racje były trochę za małe, przynajmniej tak nam się wydawało. Dzień pracy trwał od godziny siódmej do osiemnastej z jednogodzinną przerwą obiadową z tym, że pierwsze śniadanie było o 6:30, a kolacja o godz. 19-tej, czyli poza dniem roboczym. Niemiec nie musiał zaopatrywać się w podstawowe artykuły żywnościowe w mieście, bo miał prawie wszystko swoje, jak: chleb i mąkę, mięso i wędliny, mleko, masło i śmietanę, owoce, warzywa i ziemniaki, kaszę i cukier, który za plantację buraków otrzymywał. Chleb szefowa piekła sama, w gospodarce chował około 40 szt. Świń, które rejestrowane były w urzędzie Magistratu i wszystkie sztuki były kolczykowane z nadanymi numerami. Posiadał jednak w odrębnej świniami prawie taką samą liczbę świń nie rejestrowanych, bez kolczyków, bez wiedzy urzędników niemieckich i administracji, czyli tak zwanych polskich świń i z tych się nie rozliczał.

Każdy ubój tucznika Pfeifer zgłaszał w magistracie, skąd przychodził urzędnik do ustalenia wagi tucznika, wycięcia z bonów mięsnych takiej ilości kilogramów na mięso ile netto ważył tucznik i odnotowania numeru kolczyka. Do uboju świni i wyrobu wędlin szef angażował polskiego rzeźnika o nazwisku Bernard Antoni, któremu bez obawy zlecał dwa tuczniaki, drugiego z polskich świń bez kolczyka. Do pomocy rzeźnikowi w uboju szef przydzielał Gramzę Floriana i mnie, stąd obaj z Florkiem nabraliśmy dużej praktyki w tym zawodzie, co nam przydało się w późniejszym okresie życia.

Bernard wyrabiał na miejscu bardzo dużą ilość wędlin, które zresztą było z czego wyrabiać. Z dwóch tuczników jelit było bardzo dużo, a oprócz tego wyroby wkładano do puszek konserwowych, których Pfeifer miał pod dostatkiem oraz posiadał maszynę do ich zamykania.

Oszustwo Pfeifera działało na naszą korzyść i sprawiało, że tak chleb, jak i mięso i wędliny otrzymywaliśmy znacznie wyżej od norm kartkowych. Świniobicie miało miejsce w naszej firmie kilka razy w roku i rzeźnik Bernard również z tego korzystał, bowiem Pfeifer część należności za usługę mięsem mu płacił, bo tak się umawiali.

Rodzina Pfeiferów była z przekonania ewangelicka, ale nasza szefowa doskonale orientowała się w praktykach katolickich, których wobec nas przestrzegała. Pamiętam pierwszy okupacyjny Wielki Piątek obchodzony przez nas u Pfeiferów, dla nich to wielkie święto, a dla nas dzień roboczy i ścisły post. W obszernej kuchni, w której spożywaliśmy posiłki przy dwóch bardzo dużych stolach w dniu tym na drugie śniadanie otrzymaliśmy chleb z margaryną i marmoladą Tymczasem szefowa ze swą siostrą Marii z dużego garnka na duży półmisek wyjmowały „stertę” białej kiełbasy, na co kątem oka każdy z nas zerkał. Spozbrzegła to Pfeiferowa i nasze zdziwienie, ale od razu wyjaśniła:

- Wy tak nie patrzta, bo wam dzisiaj jeść kiełbasy nie wolno, bo mata ścisły post. Dostanieta taka kiełbasę w święta.

Starsi koledzy szybko jej odpowiedzieli:

- *Dzisiaj choćby Pani nam położyła kiełbasę, to i tak byśmy nie jedli, chociaż ja myślę, że była to nieszczerza wypowiedź, bowiem wśród nas byli i tacy, którzy by ją zjedli.*

Jak już wspomniałem wyżej wyżywienie u Pfeifera mieliśmy bardzo dobre, ale za to szef nam pracy też nie żałował i bez przerwy nas popędzał przy każdej okazji, nawet jeśli pot łał się już z naszych czoł, pokrzykiwał:

- *Macht, macht (rób, rób lub pracuj, pracuj).*

Bez pracy nie przepuścił nawet własnemu młodocianemu synowi, który kiedyś się do nas zbliżył, a jego ojciec tam był, wciskał mu grabie, łopatę lub widły, aby pracował razem z nami. Chociaż przyznać trzeba, że Kurt bardzo lubił w naszym towarzystwie przebywać i dlatego chętnie podejmował pracę, aby go ojciec do domu nie wypędził. Interesowało go nasze towarzystwo z racji panującego wśród nas humoru, dowcipów i śmiechu, a przede wszystkim opowiadanie bajek, dykteryjek i kawałów. Szczególnie podobały mu się opowieści „dziadka” czyli starego Andrzejewskiego, który robił to w wyjątkowy sposób, posługując się staropolskim językiem, jak np.: „zaboczyłem” to znaczy zapomniałem, albo „pierwy” - dawniej itp. inne zwroty. Kurt niejednokrotnie wpadał do stodoły, gdy tam pracowaliśmy mówiąc:

- *Chłopaki, mocno pracujemy, bo zaraz tu wpadnie stary (jego ojciec), bo wybiera się do miasta, a potem się powyglupiamy, jak ojciec odjedzie.*

Tak z reguły bywało, że Pfeifer niespodziewanie do stodoły wchodził, teraz kontent, że wszyscy mocno pracują i tak nadał wiele prac dodatkowych, które by na cały tydzień wystarczyły i wyszedł.

Kurt tymczasem przez szpary w deskach stodoły z grabiami w rękach ojca obserwował i głośno relacjonował:

- *Zakłada kurtkę, wyprowadza rower, otwiera furtkę, już odjechał.*

Cisnął grabiami w klepisko mówiąc:

- *Dość roboty chłopaki, dawajcie kawały.*

Zwracał się wówczas najczęściej do „dziadka” mówiąc:

- *Andrzejewski, powiedzcie ten kawał, no... no „zobaczyłem”,*

lecz myśmy go zaraz poprawiali:

- *Kurt, zobaczyłem, a nie zobaczyłem, bo to pierwsze znaczy zapomnieć, a drugie widzieć.*

Kurt szybko odpowiadał:

- *Tak, tak, wiem, ale Andrzejewski mówcie, mówcie bo czas ucieka.*

Wówczas Andrzejewski węża podkręcił, odkaszał, łyknął powietrza głębokim oddechem i zaczął: „było to” itd.

Z Kurtem zdarzały się również inne przygody, czasem mniej przyjemne, czasem wręcz groźne dla otoczenia jego, kiedy odczuł, że go lekceważą albo czymś został dotknięty.

Któregoś dnia wiosną po odkryciu kopczyka z marchwią która była jesienią zakopcowana dla przechowania jej przez zimę, okazało się w nim wiele „zgniłek” i wymagała ona przebrania - do jedzenia, dla bydła i do wyrzucenia na śmietnik. Do tej pracy szef przydzielił dwie kobiety, Kurta i mnie. Jak to zwykle bywa wśród młodzieży, że oprócz pracy czy w czasie jej, jeden drugiemu czyni psoty i płała się figle, aby się pośmiać. W tym przypadku ktoś podrzucił w górę zgniłą marchew, która niespodziewanie spadła między pochylone głowy nad kopczykiem powodując podrygi, a następnie „kupę” śmiechu. Wszyscy widać uznali to za udaną zabawę, bo nadgniła marchew spadała coraz częściej. Jeszcze weselej robiono się gdy marchew spadała na ramię lub głowę którejś z dziewczyn, ale gdy jedna zgniłka spadła na ramię „panicza Kurta” mocno mu się to nie spodobało. Kurt spochmurniał, rozejrzął się groźnie wokół, chwycił całkowicie zdrową marchew i z całej siły rzucił we mnie trafiając mnie w plecy. Ja z kolei nie chcąc być dłużnym ująłem w rękę również zdrową ale dużo większą marchew i z całej siły cisnąłem w niego, trafiając go (czyli Kurta) w ramię tak, że boleśnie to odczuł. Poderwał się „szwabek” z miejsca i do mnie z zacisniętymi kulkami ruszył, chociaż próbowałem mu wyjaśnić, że ja w ogóle nie podrzucałem marchwi, uderzył mnie pięścią w ramię i następne zamachy czynił. Rzuciłem Kurta na błotnistą glebę plecami do ziemi, usiadłem na jego brzuchu okrakiem i rozłożyłem jego ręce na boki mówiąc:

- Kurt, nie ja w ciebie rzuciłem, bo w tej zabawie udziału nie brałem.

Po zwolnieniu uścisku i stanięciu na nogach Kurt atak na mnie powtórzył, a ja powtórzyłem rzut jego na ziemię, lecz nie biłem go ale tłumaczyłem, aby się nie rzucał na mnie, bo ja jestem silniejszy. Zawziętość „szwabka” jednak rosła i kto wie jak by się ta bójka zakończyła, gdyby nie doszło wołanie do naszych uszów: "Fruchtuk" (czyli śniadanie), które walkę przerwało i obaj spokojnie wstaliśmy z ziemi. Okazało się, że kurtka „panicza” cała ubrudzona była błotem, toteż dziewczyny próbowały ją oczyścić, aby do mieszkania Kurt poszedł czysty, ale oburzony „szwabek” nie pozwolił. W mocno zabrudzonej kurtce pomaszerował ku domowi, a ja wystraszony za nim, jak „cielę na rzeź”. Nie miałem innego wyjścia, chociaż nogi ze strachu pode mną uginały się, a portki trzęsły. Byłem pewny, że szef dopiero się do mnie dobierze i obije, w takim rozmyślaniu, otepiałym dotarłem do kuchni i usiadłem za stołem. Ocknąłem się dopiero na lament szefowej nad ubrudzoną kurtką syna, która mu ją z ramion zdjęła i czyściła, Kurt zaś dumnie i bez słowa wszedł do pokoju, gdzie siostra jego Eliza i ojciec już za stołem siedzieli.

Ja tymczasem choć na pozór spokojny spożywałem śniadanie, ale kątem oka śledziłem drzwi od pokoju oczekując kiedy otworzą się i szef ku mnie ruszy, aby mi głębię obić. Nic takiego nie stało się, śniadanie minęło spokojnie, nikt nawet z pokoju nie wyszedł i przeszło mi „na sucho”, jak widać chłopak wobec mnie zachował się fair i wcale rodzinie swej nie przyznał się. Myślę, że duma mu nie pozwoliła, aby miało tak wyglądać, że on sam nie poradził i tatusia o pomoc prosił.

Ja po śniadaniu wróciłem do swojej pracy spokojny i pewny siebie, ku wielkiemu zdziwieniu kobiet spożywających swoje śniadanie przy kopczyku z marchwią za stodołą. Znając szefa i jego zamiłowanie do bicia były w 100 % pewne, że wrócę ze śniadania zakrwawiony i z podbitymi oczyma, stąd to ich zdziwienie. Kurt również do pracy za stodołę wrócił, ale dopiero po godzinie, w czystej kurtce, ponury, spokojny i milczący, do nikogo ust nie otworzył chociaż dziewczyny go zagadywały, a następnie opowiadały anegdoty, co Kurt uwielbiał.

Jak każde niemieckie dziecko w tamtych czasach Kurt również należał do HITLER JUGEND, toteż dwa razy w tygodniu jeździł do miasta na ich zbiórki (dienst), które miały miejsce we wtorki i piątki po obiedzie. Po każdym powrocie z tej zbiórki, kiedy tylko znalazł się wśród nas, był innym chłopcem jakiego znaliśmy przed zbiórką. Stawał w pracy zamyślony, podparty na swym narzędziu pracy (grabie, widły czy motyka), patrzył w jeden niewidzialny punkt i cichutko, bez melodyjnie pogwizdywał.

Myśmy oczywiście znali przyczyny jego zachowania i zadumy, ale udając „greka” pytaliśmy budząc jakby go z otępienia:

- *Kurt, ty chyba jesteś chory. Coś ci dolega?*

Odpowiedź była taka:

- *Co?...Nie!*

i szybko zabierał się do pracy, ale nie na długo, bo znowu stawał się osłupiałym wpadając jakby w stan śpiączki przy otwartych oczach, w trans. Domyślaliśmy się, że przyczyną jego zachowania było nastawianie niemieckich chłopców przez dowództwo Hitler Jugend przeciw Polakom, Żydom i innym nacjom, wpajanie nienawiści. Chłopiec zaś znając nas i innych Polaków porównywał nas z przedstawianymi przez szefów tej organizacji jako bandytów i motłochu niższej klasy. Wiedział, że bardzo dobrze czuje się w naszym towarzystwie, lepiej jak wśród swoich, nawet rówieśników, że czuje się swobodnie, że jest wesoło, doznaje rozrywki, uczy się anegdot i dowcipów, i to było jego utrapieniem. Po godzinie takiej zadumy Kurt wracał do normy, stawał się zwykłym, normalnym i wesołym chłopcem, starał się jak najdłużej przebywać w naszym towarzystwie pomimo tego, że rodzice wzywali go do siebie, do mieszkania.

Pffeifer jak już wcześniej wspominałem miał 15 ha gruntów rolnych o wysokiej bonifikacji gleby i uzyskiwał duże plony zbóż i płodów rolnych, toteż do ich zbiorów angażował większość swoich pracowników, nas chłopców z rolnictwa i dużą liczbę pracowników ogrodu. Czasie żniw najpierw zapełniał zbożem swą dość obszerną stodołę, a resztę ustawiał na polu w stogach, które wymłócał jeszcze przed zimą specjalnie sprowadzaną maszyną parową. Zapas zboża znajdujący się w stodole zapewniał dla nas zajęcie na całą zimę.. Zboże to młóciliśmy jego własną maszyną napędzaną końmi przy pomocy kieratu i była to praca cykliczna: młócenie, oczyszczanie ziarna i odnoszenie na spichlerz. Oczyszczone ziarno z omłotów sypane było do jutowych worków po 100 kg do każdego, a następnie przenoszone na plecach mężczyzn ze stodoły na spichlerz na strychu nad mieszkaniem szefa, gdzie ziarno przechowywał.

Przeniesienie stu kilowego worka zboża od stodoły do budynku mieszkalnego znajdującego się w odległości 60 m i wniesienie go na strych wymagało nie lada krzepy i mógł tego dokonać potężny mężczyzna. W naszym gronie, biorąc pod uwagę chłopców z gospodarstwa i z ogrodnictwa było tylko dwóch mężczyzn zdolnych do wykonania tego zadania, mianowicie Nowicki Kazimierz i Gramza Sylwester i oni zawsze to wykonywali. Wielkim zaskoczeniem więc było, kiedy po jednym takim omłocie oczyszczone zboże szef nakazał odnosić również młodszemu bratu z Gramzów, Florianowi, który jeszcze nie miał ukończonego 18-go roku życia.

Florek, chociaż był wysokim chłopcem był bardzo wątpliwy i wykonując to zadanie, przy pierwszym kursie mógł się „oberwać”, toteż odmówił szefowi wykonania polecenia. Jak tygrys do swej ofiary doskoczył Niemiec do Florka i zadając ciosy po głowie i twarzy próbował złamać opór chłopca, ale nie zdołał. Młody Gramza oświadczył, że może nosić ale tylko worki o połowę mniejszej zawartości i znowu oberwał jeszcze więcej ciosów, zadanych z jeszcze większą zaciętością. Na szczęście Florka nadszedł jego starszy brat Sylwester, który stanął w jego obronie i znając lepiej język niemiecki zobowiązał się w czasie wolnym od pracy porcję przypadającą młodszemu bratu ponosić. Uspokoiło to Szwaba więc stodołę opuścił i do mieszkania poszedł przez całą jednak drogę głośno złorzecząc: "uparta polska świnia". Ja zaś, chociaż wystraszony wytarłem Florkowi chusteczką jego zakrwawioną twarz. W czasie przerwy obiadowej Florian udał się na Komisariat Policji ze skargą na Pfeifera, gdzie otrzymał zapewnienie od samego komisarza, że ma wracać do firmy, a on tam przyjedzie i Pfeifera ukarze.

Komisarzem był Czech z pochodzenia o nazwisku Purwin i z młodym Gramzą obszedł się spokojnie i kulturalnie, toteż z nadzieją odszedł Florek wracając do firmy. Pod wieczór istotnie przybył komisarz wraz z jeszcze jednym żandarmem i weszli do mieszkania Pfeifera zostawiając swe rowery pod ścianą budynku. W mieszkaniu żandarmi przebywali bardzo długo i w ogóle nie wzywali znieczierpliwionego Florka, który się tego spodziewał. Kiedy wyszli z mieszkania w towarzystwie szefa, wszyscy troje byli zadowoleni, uśmiechnięci i czerwone mieli gęby, bardzo głośno rozmawiając, wiadomo już było, że siedzieli w barku szefa i będą na jego usługach.

Od tego czasu cała policja z Rogowa chodziła na pasku Pfeifera i na każde jego skinienie zjawiała się w naszej firmie by rozprawić się z chłopcem, który szefowi podpadł.

Po odejściu z ogrodnictwa Florka Domagały szef już nie wyznaczał oficjalnego zastępcy kierownika ogrodu na czas odsiadki Grześkowiaka, ale z wszystkimi poleceniami i pretensjami zwracał się do Klemensa Leonarda, zmuszając go tym do wydawania kolegom dyspozycji. Rządził więc Klemens całą załogą ogrodu łącznie z kobietami, które pracowały na dniówkę. Leonard jak i większość pracowników ogrodu słabo mówił i rozumiał język niemiecki, toteż czasem z szefem nie mogli się dobrze porozumieć. Na szczęście dla obu stron syn Grześkowiaka Jerzy, dość dobrze tym językiem władał, bowiem przed wojną ukończył dwie klasy gimnazjalne w Gnieźnie, gdzie z obcych języków obowiązkowym był niemiecki, więc tłumaczył.

Pfeiferowi trzeba było przyznać, że był on bardzo dobrym fachowcem ogrodniczym, a jednocześnie potrafił szybko zorientować się, ile jest wart każdy z ogrodników, co potrafi i co można powierzyć pod jego pieczę. W oparciu o to rozeznanie podejmował szef decyzje w zakresie przydzielenia opiekunów oranżerii, w których znajdowały się specjalizowane rośliny. I tak dla przykładu Kęska miał najlepsze predyspozycje do hodowli hortensji i chryzantem i do takiej oranżerii przydział dostał, Rossa dostał pod opiekę oranżerię, czyli jak mówili budę z azaliami i cynerariami, Klemens cyklameny i prymule itd., itd.

W poszczególnych budach (oranżeriach) Pfeifer zawsze hodował takie rodzaje kwiatów i roślin, które wymagały takich samych lub podobnych warunków klimatycznych ciepła i wilgoci. Dzięki doborowi odpowiednich speców do odpowiednich roślin, otrzymywał najlepsze okazy kwiatów, którymi bardzo się szczycił.

Nadeszła wiosna, a z nią natężenie prac w ogrodnictwie pod gołym niebem - w skrzyniach inspektowych i wokół nich, na grządkach, w szkółce drzewek i krzewów, jednym słowem w całym ogrodzie. Do pomocy w tych pracach szef przerzucił rezerwowe siły robocze z gospodarstwa rolnego, a w nich również i mnie, jak się później okazało już na stałe, a do gospodarstwa przydzielał mnie czasowo, przy nasileniu prac takich jak żniwa, sianokosy, wykopki lub młócka.

Wszyscy pracowaliśmy w ogrodzie, wyjątkiem w dniu tym był Kazik Kęska, który pracował w podopiecznej „budzie” - oranżerii, ponieważ miał w jej pielęgnacji pewne zaległości, ale wynikające nie z jego winy, a prace te dalszej zwłoki nie cierpiały. Prace w ogrodnictwie wcale nie były lżejsze od prac w gospodarstwie, a niektóre z nich o wiele cięższe, jak na przykład przenoszenie w „tragach”- (skrzynie z rączkami dla dwóch osób o rozmiarach 125x70x25 cm) ziemi ważącej 100 kg, gnoju około 60 kg, doniczek z kwiatami ok. 80 kg itd., albo przenoszenie przez jedną osobę dwóch konwi wody po 25 litrów na odległość do 250 m.

W czasie wykonywania prac w ogrodzie jeden z kolegów wspomniał z zazdrością o Kaziku, który obija się w swojej budzie - jak rzekł - a my musimy tak ciężko harować. Wspomnienie to dopiero uświadomiło nam wszystkim datę 4 marca, to znaczy imieniny Kazika, który sprytnie się zadekował w swojej budzie. Któryś z obecnych wśród nas chłopców powiedział: - To cwaniak! Złożmy mu wizytę i inni potwierdzili, że na sucho mu to przejść nie może. Niebawem kilku kolegów starszych skoczyło do oranżerii aby Kazika dorwać i go porządnie wyhuścić. Kazik zaś zorientowawszy się z jaką misją koledzy do niego przybyli próbował ratować się przed zbyt wysokim fruwaniami w powietrzu, pochwycił rurę centralnego ogrzewania oranżerii. Na rurach tych oparte (położone) były końcówki półek sporządzonych z desek, na których znajdowały się całe rzędy doniczkowych kwiatów. Nie muszę więc tłumaczyć, co działo się w czasie huśtania, powiem tylko, że doniczki z kwiatami leciały z półek tak jak spadają gruszki dojrzałe z trzęsionego drzewa. Fakt ten przerwał huśtanie solenizanta, aby usunąć powstałe pobojuwisko kwiatowe, do czego wszyscy obecni w oranżerii zabrali się. Zbierając z posadzki połamane kwiaty i pobite doniczki sprawcy dostrzegli przez oranżeryjne szyby zbliżającego się ku nim szefa. Wszyscy przybysze natychmiast chyłkiem opuścili „budę” i między szopami magazynowymi wrócili na swoje miejsca do pracy, pozostawiając samotnego solenizanta z pobitymi doniczkami na łaskę szefa. Na widok takiego pobojuwiska czerwona gęba Pfeifera zrobiła się prawie granatowa i pochwyciwszy palik podpierający krzak pomidora szef zaczął Kazika okładać ze wszystkich stron od głowy do stóp. Trudno by było policzyć razy, które spadły na głowę, ramiona i plecy solenizanta, ale cała ta operacja trwała dość krótko, bowiem Kazik jak umiał tak wytłumaczył swemu oprawcy. Powiedział, że w czasie pracy na górnej półce stracił równowagę i spadając pochwycił rurę, na której była oparta deska i takie są tego skutki. Niemiec marszcząc brwi coś pod nosem mamrotał, pomógł Kazikowi pozbierać kwiaty i skorupy doniczek i po zasadzeniu kwiatów, które nie były połamane w nowe doniczki opuścił oranżerię.

Tymczasem główni sprawcy pogromu w oranżerii oczekiwali z drżeniem serc na finał tej sprawy jakiego szef dokona spoglądając w kierunku budy, czy nie nadchodzi. Długo zresztą na to nie musieli czekać, bo właśnie między szopami magazynowymi dostrzegli zbliżającego się w naszym kierunku Pfeifera z palikiem na ramieniu, jakby narzędziem do wykonania wyroku. Łydki się trzęsły sprawcom niechcianej szkody materialnej i przygotowywali się

duchowo do odebrania razów za swą głupotę, których spodziewali się od kroczącego ku nim szefa. Pfeifer zrobił im jednak zawód przechodząc bocznym gankiem niedaleko pracującego Klemensa, wydał mu kilka dodatkowych poleceń i zniknął za furtką prowadzącą z ogrodu na podwórze. Z poczuciem ulgi, ale z ogromnym zdziwieniem chłopcy odprowadzali wzrokiem szefa aż do furty, a następnie jak dzieci cieszyli się, że draka ta przeszła im na sucho i nie mogli zrozumieć, jak Kazik to załatwił. Dziwili się, że Kaziu, choć słabo mówić po niemiecku potrafił to przekonał mimo to Pfeifera, że tak po cichu i bezboleśnie sprawę zakończyli. Domyślać można się było, że Kazik całą tę sprawę – winę i karę - wziął na siebie nie chcąc narażać kolegów, choć ja myślę teraz, że nie byli tego wari.

Podczas pierwszego spotkania kolegów z solenizantem po tym wydarzeniu w drodze na drugie śniadanie wszyscy rzucili się wprost na Kazika, aby złożyć mu życzenia i podziękować za załatwienie ich wybryku. Z ciekawości pytali się go również, w jaki sposób tak fajnie załatwił, że stary tak łagodnie z nimi się obszedł. Kazik spokojnie za życzenia imieninowe złożone mu podziękował, następnie również za prezenty, które mu Pfeifer w ich imieniu wręczył tj. guzów, krwiaków na głowie, rozcięć naskórka i granatowych pleców. Wywarło tona chłopcach zawstydzenie, ale również prawdziwe współczucie, więc przeprosili go za przyczynienie się do jego cierpienia. Była to kolejna ofiara ulubionej rozrywki szefa w postaci tresury podwładnych, jak mawiali chłopcy: *dał szkołę* i stąd też przyjęła się nazwa: SZKOŁA PFEIFERA" oraz miała charakter stały do końca wojny oraz zaraz po wojnie.

Nazwy tej używali wszyscy, my w ogrodnictwie, ludność w mieście i w okolicy; używali jej Polacy i Niemcy, jedni mówili na nas:

- *Patrzcie, Ida chłopcy ze szkoły Pfeifera,*

drudzy:

- *Jungs von Pfeiferschulle.*

Niemiec nasz - Pfeifer - był uczulony na wszelkiego rodzaju gryzonie, a w szczególności na szczury, które od czasu do czasu pojawiały się na jego posesji w stajni lub w oborze. Urządzał on wówczas niemal prawdziwe polowanie łącznie z nagonką brakowało tylko psów myśliwskich: do udziału w polowaniu angażował wszystkich mężczyzn siebie zatrudnionych. Polowanie takie trwało aż do skutku, czasem całe godziny do pół dnia roboczego, przy nim inne zajęcia nawet pilne i ważne schodziły na dalszy plan. Uzbierał nas wszystkich w różne narzędzia - w pałki, łopaty, miotły lub widły i ustawiał szyk bojowy po kątach pomieszczeń, na trasach spodziewanej ucieczki szczura, w drzwiach - tak aby polowanie było skuteczne. Po ustawieniu takiego „szyku bojowego" polecił wlewać gorącą wodę do otworu prowadzącego do podziemnego korytarza szczura i ta metoda była skuteczna, bo gryzoń ten wyskakiwał z otworu w powietrze na metr wysokości.

Po każdym takim udanym udanym polowaniu szef stawał się łagodny, czuły i szczęśliwy oraz bardzo rozmowny, traktował nas jak sojuszników w wojnie obronnej. My traktowaliśmy takie polowania jak dobrą zabawę kiedy nam takiej rozrywki brakowało wbijaliśmy palik między kamieniami bruku, robiąc otwór podobny do lochu szczura i rozpoczynaliśmy alarm. Przedstawiał się on najczęściej tak": jeden z chłopców przechodząc obok stajni lub obory podnosił krzyk:

- *Herr Pfeifer ratte! Ratte!!!* czyli -Panie Pfeifer, szczur. Szczur!!,

i wskazywał na stajnię, gdzie przygotowano otwór.

Taki fałszywy alarm wystarczył by szef zwołał „wici”, również z ogrodu, do walki ze szczurem i polowanie trwało kilka godzin, choć nie było skuteczne. Wyflumaczeniem było, że w czasie przygotowań do polowania szczur niepostrzeżenie zwiął, ale na pewno któregoś dnia wróci.

W ogrodnictwie natomiast duże spustoszenie w skrzyniach inspektowych czyniły krety i to najczęściej wtedy, gdy roślinki wschodziły lub zaraz po poplikowaniu rozsady. Pfeifer był co prawda wyposażony w broń przeciw kretom, ale środków tych nie używał. Były to świece dymne, które po zapaleniu wkładało się w kreci korytarz i tam paląc się wypełniała ona wstrętnym zapachowo dymem wszystkie korytarze. Kret oczywiście przenoślił się w inne miejsca, niszcząc następne rośliny, a po wywietrzeniu dymu wracał w stare miejsca niszcząc uprawy do reszty.

Drugim środkiem obronnym przed kretami były chemiczne laski, które utleniając się pod ziemią wydzielają wstrętną woń wypędzającą szkodnika, ale jeśli rosły tam warzywa to wonią tą pachniały i smakowały. Skuteczniejszą metodą walki z kretami było chwytanie ich, bowiem kret schwytany nie powracał i warzywa również smaku nie zmieniały, nadawały się do jedzenia. Pfeifer przyjął więc tę drugą metodę i za każdego kreta żywego lub zabitego wyznaczył nagrodę w wysokości 1 RM (marka) i zawsze obietnicy dotrzymał. Zdarzały się przypadki, że któryś z chłopców szefowi podpadł i czekała go kara, wówczas starał się kreta upolować i szefowi oddać, kara bowiem szła w zapomnienie i czasem otrzymywał połowę nagrody, o którą zresztą winowajca nie dbał. W takich przypadkach skrycie wszyscy pomagaliśmy w łowach, aby kolega który podpadł zdążył kreta dostarczyć przed wykonaniem wyroku, robił to również syn szefa Kurt, jeżeli był to chłopak, którego „szwabek” lubił.

Dni i tygodnie upływały we względny spokój i nic się nie działo, nikt w „mordę” od szefa nie dostał, a wszyscy wiedzieliśmy, że wcześniej czy później musi to nastąpić. Starego ręce już mocno swędziały i szukał okazji, aby swą energię na którymś z nas rozładować. Z naszej więc strony staraliśmy się mu tej okazji nie dostarczać, a nawet unikać z nim spotkania.

Nadszedł następny okres świniobicia w naszej firmie, po którym zawsze przynajmniej jedna kolacja składała się z obfitego talerzyka deserowego smażonej, świeżej kaszanki, która wszystkim bardzo smakowała. Tym razem jednak szefowa kaszankę dłużej niż zwykle w szpiarni przetrzymała zanim nam ją na kolację podała i była ona już lekko skiśnięta, chociaż można ją było zjeść bez rozstroju żołądka. W czasie kolacji z zaserwowaną już podkiśniętą kaszanką Pfeiferowa nie udała się do pokoju, jak to czyniła każdego dnia, ale kręciła się po kuchni udając, że ma tu jeszcze coś do załatwienia, jednak zatrzymała się po to, aby obserwować nasze zachowanie. Niektórzy chłopcy w milczeniu odsunęli od siebie talerzyki z kaszanką jedząc suchy chleb. Wówczas zdenerwowana szefowa nie wytrzymała mówiąc:

- No, czemu nie jeta kaszanki?

Odpowiedzią było milczenie wszystkich obecnych w kuchni na kolacji, wówczas ona podniesionym głosem dopowiedziała:

- Wolalabym trzydzieści świń futrować, jak was!

Klemens zaś odezwał się:

- No pani, my nie jesteśmy świniami, aby pani nas z nimi porównywała.

Niemka natychmiast wybuchnęła głośnym płaczem i lamentując do pokoju weszła, Klemens również nie czekał, ale pochwyciwszy swoją porcję chleba ruszył do drzwi. Nie zdążył jednak opuścić pomieszczenia, bowiem z pokoju wyskoczył jak z procy szef i doniosłym głosem krzyknął:

- Klemens komma huer - czyli chodź tutaj.

Pffeifer zatrzymał Leonarda w wyjściowych drzwiach kuchni i zapytał:

- Warum nich essen? (dlaczego nie jesz?)

Klemens odpowiedział po polsku:

- Bo mi się nie chce.

Pffeifer nie zwlekając bił Leonarda pięściami po głowie z lewa i z prawa do tego stopnia, że głowa jak piłka odbijała się od ścian ościeżnicy. Potem kazał Leonardowi do stołu wrócić. Klemens posłusznie wykonał polecenie. Kiedy jednak drzwi od pokoju zamknęły się za „starym” Leonard wstał od stołu i pośpiesznie opuścił kuchnię. Jeszcze tego wieczoru Klemens opuścił ogrodnictwo i rowerem odjechał do domu rodziców w Gąsawie odległej o 9 km od Rogowa. Następnego dnia rano Leonard wrócił do ogrodnictwa Pffeifera, ale w towarzystwie swojego ojca staruszka, który udał się prosto do mieszkania Pffeifera, kazać Leonardowi poczekać na zewnątrz. Klemens senior doskonale władał językiem niemieckim, bo pod tym zaborem urodził się, do szkoły uczęszczał, a następnie został wcielony do armii pruskiej i musiał brać czynny udział w I wojnie światowej. Klemens senior był ranny na froncie pruskim i otrzymał Krzyż Żelazny- niemieckie odznaczenie bojowe.

Podniesionym głosem, a raczej krzykiem senior Klemens całkowicie zaskoczył Pffeifera, który zaniemówił zupełnie patrząc wybałuszonymi oczyma na starca, a następnie spuścił głowę. Klemens zaś „grzmiał”:

- Ty Otto nie będziesz mi syna mojego bił dopóki ja żyję, boś go nie wychował! Ty teraz jesteś odważny, że bezbronnego i posłusznego chłopca bijesz, bo wiesz, że ci nie odda. Gdzie byłeś w czasie I-szej wojny światowej, kiedy miałeś okazję wykazać swą odwagę i bić się za swoją ojczyznę, ale tam Cię nie było! Chowateś się za moimi plecami, a ja musiałem bić się za Twój „Vaterland” i krew przelewać za Ciebie! Jestem weteranem pruskiej armii i znam swoje prawa, więc Ci tego nie podaruję, dobiorę się do Twojej skóry!

i odwróciwszy się próbował opuścić mieszkanie. Pffeifer podniósł swa głowę, którą dotychczas miał opuszczoną szybko starca pod ramię ujął, przepaszając go i udobruchawszy do pokoju zaprosił.

Tam raz jeszcze przeprosił, na krześle posadził i poczęstował cygarem i nalewką na spirytusie, a następnie oświadczył, że była to nieprzyjemna pomyłka, która się więcej nie powtórzy. Po tej rozmowie i Pffeifera przyrzeczeniach ojciec Leonarda wyszedł z mieszkania w towarzystwie Pffeifera i kazał oczekującemu synowi do pracy wracać i nie bać się, po tym pożegnał się z synem i do Gąsawy wrócił.

Pffeifer natomiast od tej chwili do Leonarda odnosił się delikatnie i słowa danego starcowi dotrzymał, widać było po tym, że kiedy do innych chłopców głosem podnieconym mówił, to do Leonarda ton obniżał.

Lato oraz jesień tego roku szybko nam minęły, bo były to okresy dużego nasilenia prac, tak w ogrodnictwie jak i w gospodarstwie rolnym nie mieliśmy czasu na kontaktowanie się koleżeńskie. Front robót był rozległy i każdy z nas otrzymał zadanie uniemożliwiające spotkanie się, nawet w czasie spożywania posiłków, bo były one nie w jednym czasie i nie w jednym miejscu. Pracowaliśmy również w czasie wydłużonym, jedni pracowali w swoich oranżeriach, drudzy w szkółce lub w ogrodzie, inni w polu lub na łąkach, jeszcze inni w budynkach gospodarczych. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, drugie w okupowanym kraju, ale jakie to były święta, jeśli niczym nie różniły się od zwykłej niedzieli. Nic więcej kupić na święta nie było można, prócz tego co przewidywały bony żywnościowe lub odzieżowe, nie było mięsa ani wędlin, nie dano więcej chleba ani innego pieczywa, nie widzieliśmy słodczy ani innych używek. Dlatego nie można było swoim bliskim składać prezentów pod choinkę, bo nawet choinki sprzedawano Polakom wówczas dopiero jak zaopatrzyli się wszyscy Niemcy, dla nas zostały drzewka jak miotły.

Straciliśmy już nadzieję, że odzyskamy wolność i może kiedyś być inaczej jak jest, bo Hitler podbił wiele krajów Europy, część Afryki i głosił sukcesy swej armii na wszystkich frontach.

Pewnego przedświątecznego ranka szef kazał ogrodnikom wybrać ładną choineczkę i włożyć ją na wóz dostarczający mleko do mleczarni, a Sylwestrowi Gramzie wręczyć ją w imieniu szefa niemieckiemu dyrektorowi mleczarni przy dostawie mleka. Tak się też stało, z tym że „mleczarz” niemiecki za fatygę Sylwestrowi próbował uroczyście wręczyć 20 pfenigów, których Gramza przyjąć nie chciał. Oburzył się „szwab”, że Polak gardzi niemiecką dobrocią i pieniędzmi i zmusił Sylwestra do przyjęcia takiej jałmużny. Gramza po zdaniu mleka, wsiadając na wóz aby do bazy wrócić rozejrzał się dookoła, czy ktoś nie obserwuje i 20-to pfenigówkę mocno cisnął (rzucił) w ogród przy mleczarni. Nie uszło to jednak uwadze dyrektora mleczarni, który przez okno obserwował Sylwestra i szybko o jego zachowaniu telefonicznie naszego szefa poinformował. Kiedy Gramza wjechał w podwórze naszej firmy po powrocie z mleczarni Pffeifer już na niego czekał i pod pretekstem zbyt długiego „marudzenia” w mleczarni, podbił mu oboje oczu, których bielma krwią podeszły i podoczy zrobiły się granatowe. Tak więc zgodnie z naszymi przewidywaniami znalazł szef ofiarę, aby zadośćuczynić swym zachciankom i zneutralizować swędzenie rąk po dłuższej przerwie.

Tuż przed samymi świętami Bożego Narodzenia powrócił z więzienia po odbyciu kary Grześkowiak Franciszek przynosząc radość swej rodzinie, ale nam, a szczególnie chłopcom ogrodnikom zgryzotę. Szef ponownie obdarzył go funkcją kierownika ogrodu i kilkunastoma markami kieszonkowego na święta, co dla Grześkowiaka było wielką i miłą niespodzianką. Grześkowiak z kolei odwdzięczał się swoją służalczą i nadgorliwą kosztem nas wszystkich pracowników, goniąc do pracy jak własnych niewolników. Próbował wzorem szefa poganiać do coraz szybszej pracy mówiąc:

- *No, szybciej róbcie!*

lub:

- *Co tak długo marudzicie?*

i tak dalej. Opiesziałych jego zdaniem próbował straszyć:

- *No, bo pójdziecie tam, gdzie jeszcze nie byliście!*,

to znaczyło do przejściowego obozu pracy. Miało to jemu służyć dla podkreślenia swej ważności w tym przedsięwzięciu, ale również dla przypodobania się swemu niemieckiemu dobroczyńcy. Chciał również udowodnić, że powierzenie mu stanowiska kierownika ogrodu nie było pomyłką. Najbardziej poniewieranym przez niego człowiekiem stał się Kazik Kęska, którego przy każdej okazji próbował popychać i potrząsał nim, wiedząc że jest to chłopiec cichy i pokorny, a przy tym niskiego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Grześkowiak miał więc na kim pokazywać swoją władzę wiedząc, że Kazik nie odda jeśli kierownik go uderzy, a przy tym wszystkie fachowe rady i uwagi, które były słuszne ze strony Kazika były całkowicie przez Grześkowiaka ignorowane. Doszło nawet do tego, że pewnego razu Grześkowiak bez powodu chwycił swą ofiarę (Kazika) za ramię aby nim potrząsnąć i rozerwał mu koszulę, wywołując łzy w oczach „biedaczyska”, który mimo to pogodził się ze swym losem. Pozostali jego starsi koledzy nie pogodzili się natomiast z tym, byli mocno zbulwersowani i szukali okazji, aby za Kazika „odgryźć” się i go pomścić.

Wszyscy ogrodnicy pracujący u Pfeifera byli fachowcami wysokiej klasy, czego o Grześkowiaku powiedzieć nie było można, przeciwnie - był on tylko lokajem przedwojennego dziedzica z takimi nawykami. Grześkowiak edukację ogrodniczą przechodził obserwując ogród przez okna komnat pałacowych, a zatem był miernotą ogrodniczą i nie dorastało pięć prawdziwym ogrodnikom, którzy dotychczas tolerowali jego błędne decyzje korygując je we własnym zakresie. Od tego momentu chłopcy wypowiedzieli mu nigdzie nie odnotowaną wojnę i przy każdej nadarzającej się okazji ośmieszali go wykazując błędne i szkodliwe dla firmy decyzje. On zaś widział „co jest grane” i na jakiej pozycji stoi, ale uparcie podtrzymywał swe błędne decyzje, a aby go nie ośmieszali bezwzględnie żądał posłuszeństwa, nawet jeżeli decyzja jego przynosiła straty. Jaskrawym tego przykładem może być jeden z incydentów, jaki się wydarzył przy wykonywaniu zamówienia na wieńce. Otóż Pfeifer przyjął od klienta zamówienie na sześć sztuk wieńców pogrzebowych polecając Grześkowiakowi zorganizowanie ich wykonania na ustaloną godzinę. Dotychczas takie zamówienie wykonywał ogrodnik, który był wolny od pilnych zajęć i ewentualnie otrzymywał pomoc przy większej ilości zamówionych wieńców. Tym razem Grześkowiak wyznaczył trzech ludzi, mimo że wszyscy byli zajęci dość pilną pracą przy przesadzaniu kwiatów do doniczek większych rozmiarów i cała załoga ogrodnicza zaangażowana była przy tej pracy. Praca ta musiała być wykonana przed okresem kwitnienia, aby nie zakłócać cyklu wegetacji. Grześkowiak zarządził:

- *Rossa będzie wykonywał bigle (były to okrągłe pałki z leszczyny, w górnej części z cięciwą z patyka, wypełnione mchem), Kęska będzie na tych biglach wyplatać świerk robiąc wieniec i wypełniając poduszką ze świerku całą cięciwę, Klemens zaś wieńce ubierze kwiatami.*

Do pracy mieli przystępować po kolei aby jeden drugiemu przygotował front robót. Jako pierwszy Rossa zostawił pracę przy „doniczkowaniu” kwiatów i zaczął wykonywać bigle, ale mchu do wypełnienia cięciwy wystarczyło mu do dwóch sztuk. Udał się więc Rossa z koszem do szopy magazynowej z mchem, który był zmarznięty w dużych bryłach i po rozerwaniu ich na mniejsze bryły wypełnił koszyk. Kosz ze zmarzniętym mchem umieścił na kotle przy rurze

centralnego ogrzewania i w oczekiwaniu na odtajanie mchu rozpoczął wypłatać świerkiem wykonane dotychczas bigle, by nie odrywać od pracy Kęski gdy sam byłby bez zajęcia. Grześkowiakowi nie spodobała się ta zmiana organizacji pracy, której dokonał Rossa pomimo że była słuszna.

Wrzasnął więc na Edka:

- Powiedziałem, że Rossa miał robić bigle, a nie wieńce!

Edek próbował wyjaśnić że mech jest zamrożony, więc w oczekiwaniu na jego rozmrożenie robi wieńce, by bez pracy nie siedzieć. Nie dokończył Rossa jeszcze wyjaśnień, kiedy usłyszał z ust kierownika:

- Dam po mordzie,

toteż podszedł do kierownika i nadstawiając policzek powiedział:

- Proszę, jeśli ma Pan za co.

Dwa razy nie musiał Edek powtarzać, bo otrzymał cios w głowę, ale reakcja jego była natychmiastowa. Rossa potężnym hakiem uderzył Grześkowiaka w podbródek, a następnie w policzek, z którego zdarł naskórek i poleciała krew. Następnie Rossa dłońmi chwycił kierownika za gardło przeginając jego tułów do tyłu na deski stelaża i zacisnął dłonie tak mocno, że gałki oczne Grześkowiakowi zaczęły wychodzić na wierzch. Wszyscy chłopcy znajdujący się w pracowni oniemieli przyglądając się przebiegowi wydarzenia, ale nikt nie przyszedł Grześkowiakowi z pomocą nawet jego syn Jerzy. Nikt też nie próbował ich rozdzielić, Jerzy zareagował krzykiem dopiero wówczas, kiedy oczy ojca zaczęły wychodzić z jego orbit:

- Rossa! Dość!!!

Krzyk Jerzego poskutkował, bowiem Rossa wypuścił z rąk swą ofiarę, która slaniając się po stole upadła na kolana. Z zachowania się syna Grześkowiaka, czyli Jerzego można było wywnioskować, że rację przyznawał on koledze, a nie ojcu, ale mogłoby to skończyć się tragedią, więc zareagował. Grześkowiak senior po chwili kiedy złapał oddech z trudem podniósł się z posadzki, ruszył szybkim krokiem, z zakrwawioną twarzą w kierunku mieszkania Pfeifera. Tam oskarżył wszystkich, że go nie słuchają a w dodatku Rossa pobił go za to, że gdy nie chciał wykonać jego polecenia i on jako kierownik próbował na niego krzyżeć. Niemiec nie zwlekając udał się do ogrodu z krzykiem:

- Ich helfe!! (czyli: ja pomogę)

Chłopcy oczywiście nie czekali na spotkanie z szefem, ale wszyscy pośpiesznie opuścili pracownię, uciekając w głąb ogrodu w kierunku szop magazynowych, a Pfeifer ruszył za nimi Stojący z boku Grześkowiak zrobił minę triumfującego i pokrzykiwał:

- No, teraz się boicie i uciekacie, a przedtem byliście tacy mocni!

Nie wiadomo jak długo trwałaby i czym by się zakończyła ta gonitwa, gdyby nie odwaga i desperacja Klemensa, do którego uszu doszły drwiny Grześkowiaka. Być może odwagi dodała Leonardowi myśl o niedawnym skapitulowaniu szefa przed jego ojcem, kiedy to Pfeifer został zbesztany za aferę z kaszanką. Uciekający Leonard nagle zatrzymał się, odwrócił twarzą do goniącego ich szefa i rozłożywszy ramiona na boki głośno zawołał:

- *Herr Pfeifer, stop!*,

a kiedy szef w miejscu się zatrzymał dopowiedział:

- *Grześkowiak ist Verückte.* (czyli wariat)

i resztę dopowiedziało po polsku. Niemiec ramię z palikiem opuścił i powiedział:

- *Noo, ja...*

a następnie obróciwszy się na pięcie, mamrocząc coś pod nosem odszedł do swego mieszkania. Odnieśliśmy wszyscy wrażenie jakby Niemiec chciał przez to zachowanie powiedzieć:

- *A zresztą bijcie się głupi Polacy, jak Wam mało cierpień i niewoli.*

Wszystkim nam kamień spadł z serca i jak po rozgrzeszeniu lekko się czuliśmy, że sprawa została załatwiona bezboleśnie. Tylko Grześkowiak nie był usatysfakcjonowany, ale musiał tę pigułę wstydu przełknąć. Od tej chwili starał się Grześkowiak wszystkich unikać kiedy spotkał się w pojedynkę, a w szczególności unikał Rossy, któremu polecenia wydawał przez osobę trzecią Edek zaś celowo puszczał famę groźby:

- *Jeśli jeszcze raz będzie Grzesiu (Grześkowiak) się mnie czepiał to zabiję, choć sam za to mogę zginąć.*

Pani Grześkowiakowi, żona Franciszka, bardzo rozsądna, spokojna i miła pani, potkawszy raz Klemensa i Kęskę ubolewała:

- *Jak mogliście do tego dopuścić, aby się Polacy między sobą bili? Co o nas pomyślą Niemcy? Ale największy żal miała do swego syna Jerzego, który mógł do bójki nie dopuścić. Mówiła dalej:*

- *Ja znam doskonale mego męża wady i czasem może on być przykry, ale ma również dużo zalet i nie jest złym człowiekiem.*

Pfeifer, co zresztą już wspomniałem, przerzucał siłę roboczą z gospodarstwa rolnego do ogrodu i na odwrót, w zależności od nasilenia tam prac sezonowych, terminowych, Miał on zwyczaj jak wszyscy wielkopolscy gospodarze, przygotowywać na okres zimowo - wiosenny pasze treściwe dla bydła i trzody chlewnej w postaci kiszonek, parowania ziemniaków do silosów i ich przechowywania. Pewnego dnia, a była to późna jesień, dotarła do Pfeifera krążąca po okolicznych gospodarzach kolumna do parowania ziemniaków, której usługi nasz szef również zamówił. Do obsługi tej kolumny niezbędna jest większa liczba osób, aby czynności związane z parowaniem wykonać i nie było przerw w pracy. Szef więc podzielił związaną z kolumną pracę, a to: Andrzejewski odkrywał kopiec z ziemniakami, Nowicki i Gramza obsługiwali spłuczkę, czyli jeden z nich obracał korbą bęben a drugi nakładał ziemniaki, ogrodnik Kaczmarek M. i uczeń Grzeczka T. dowozili do spłuczki kotły puste, pełne zaś do kolumny do parowania, a po uparowaniu do silosów i wysypywali ziemniaki. Ja natomiast z dwoma dziewczynami, Wandą Klusz i moją siostrą Salomeą ziemniaki rozgarniałem ubijając je nogami, aby nie pozostało między nimi powietrze. Do ubijania tych ziemniaków otrzymaliśmy specjalne deszczutki, które paskami przytracane były do butów i tymi urządzeniami ziemniaki deptało się. Kolumna parownicza zdolna była w jednym cyklu 45-minutowym uparować trzy kotły po dwa kwintale, toteż tak się ułożyło, że przerwa

obiadowa zamiast o godzinie 12.00 rozpoczęła się o 12.30i dopiero obie dziewczyny poszły do swych domów na obiad. Powrót dziewczyn z obiadu zauważył szef, który sięgnął po zegarek i stwierdził, że jest 20 minut po trzynastej, a normalnie przerwa ta trwała od 12.00 do 13.00. Pfeifer przekonany był, że dziewczyny spóźniły się o 20 minut, więc zrobił im okropną awanturę. Siostra moja próbowała go z błędu wyprowadzić i wyjaśnić rzekome spóźnienie, ale „szwab” nie pozwolił zamierzając się palikiem prosto w jej głowę z wrzaskiem:

- *Halte die Fresse* (czyli trzymaj mordę, jadaczkę).

Tu mała dygresja: Pfeifer kiedy tylko zbliżał się do grupy pracowników zawsze jakby przypadkowo podejmował palik albo jakąś pałkę. Myślę, że gdyby Pfeifer nie zatrzymał tej sztachety tuż nad głową siostry, to miałyby ją rozpołowioną na dwie części.

Pracę każdego dnia roboczego tak w gospodarstwie jak i ogrodnictwie kończyliśmy o godzinie 18-tej, a kolację otrzymywaliśmy 19-tej i dopiero po jej spożyciu byliśmy wolni i mogliśmy dysponować własnym czasem. Ja po kolacji wracałem do domu na nocleg, bo u Pfeifera dla mnie kwatery zabrakło, z czego byłem niezmiernie zadowolony, pozostali chłopcy kwaterujący w firmie chcąc udać się do miasta musieli mocno się śpieszyć, bo godzina policyjna rozpoczynała się o 20.00. Godzina policyjna obowiązywała tylko Polaków i osoby innej narodowości od Niemców, w okresie letnim trwała od 21-szej do 5-tej rano, a w okresie jesienno-zimowym od godziny 20-tej do 6-tej rano. Polak złapany na ulicy lub drodze w tym okresie był zamykany i tak zbity, że do końca niewoli pamiętał boleśnie.

Wśród chłopców - pracowników Pfeifera panowała bardzo przyjazna i koleżeńska atmosfera, panował humor, dowcip, a wszyscy mieli nawzajem do siebie pełne zaufanie i nie krępowaliśmy się tematami politycznymi, nawet przed seniorem Grześkowiakiem, chociaż nikt go sympatią nie darzył. W załodze pracowników Pfeifera zatrudniony był również pewien Polak o nazwisku Rymer Franciszek, z bardzo biednej rodziny, pólsierota. Ojciec jego już dano nie żył, matka była kaleką (z krótszą nogą), średni brat Janek chorował od dziecka na rozedmę płuc, najstarszy brat Stanisław poległ w obronie Warszawy w 1939 roku. Cała rodzina to gorący patrioci polscy, chociaż ojciec z pochodzenia był Niemcem, ale za swą ojczyznę uważał Polskę i gorąco ją czcił i taki też Franek pozostał. W roku 1942 zwróciliśmy uwagę, że Franka coś trapi, a szef wezwał go pewnego dnia do swego mieszkania, gdzie przebywał około pół godziny. Zaniepokoiło to nas wszystkich, myśleliśmy że chłopak wpadł w tarapaty, stąd to jego strapienie; rozważaliśmy jak mu pomóc, tylko nie wiadomo było w czym jest problem. Po powrocie z mieszkania szefa uspokoił nas uśmieszek Franka, ale mimo to pytaliśmy w czym możemy pomóc, odpowiedź brzmiała:

- *Nie, szef dostał katalog ustnych harmonijek „HONNER”, o który do wujka w Niemczech pisałem. Byłem u starego zaznaczyć, o którymi chodziło i Pfeifer ma katalog odesłać, po czym przyślą mi harmonijkę.*

Wiedzieliśmy oczywiście, że Franek kłamie, ale udawaliśmy że tą odpowiedzią jesteśmy zadowoleni. Również wiedzieliśmy, że trzeba przed nim unikać rozmów na tematy Niemców, tym bardziej, że jeszcze kilka razy szef go do pokoju wzywał. Zaczęliśmy Rymera stopniowo, ale systematycznie od siebie izolować, mało z nim rozmawiać, ale grać komedię jakby się nic nie stało i nic nie zmieniło. Dowiedzieliśmy się również, że Franek po kryjomu uczył się intensywnie języka niemieckiego i często zwracał się do seniora Grześkowiaka

z prośbą o wyjaśnienie mu niektórych kwestii językowych. Grześkowiak znał doskonale język niemiecki ponieważ przed pierwszą wojną światową uczęszczał do niemieckiej szkoły, bowiem innej wówczas nie było na tych terenach. O nauce przez Franka języka niemieckiego Grześkowiak wcześniej nie wspominał, ale kiedy myśmy zorientowali się, że Rymer często wzywany jest do pokoju szefa wyjaśnił nam, że Franek chce znać ten język, widocznie poczuł zew krwi i tak nam zdradził tajemnicę Rymera.

Z upływem czasu Franek zmieniał się coraz bardziej, stawał się smutny i posępny a nawet ponury, był zamyślony i często, kiedy nam humor dopisywał i ogarniała nas wesołość, jemu w oczach stawały łzy. Czuł się wśród nas obco a czasem jakby lęk go ogarniał i czasem żal nam go było, przypuszczaliśmy że wie iż zrobił głupstwo i teraz żałuje. Mieliśmy świadomość, że jego niepokój ma związek z terminem wcielenia go do WEHRMACHTU i wysłaniem na Ost Front, ale przed nami to ukrywał.

Podejrzenia nasze z każdym dniem stawały się bardziej prawdopodobne, a nawet pewne bowiem Franek zaczął udawać człowieka chorowitego, by ewentualnie nie pójść do wojska. Wyrażało się to tym, że kiedykolwiek pracował z nami w grupie, czy w ogrodzie czy w polu, zawsze oddalał się od nas na chwilę, a kiedy do nas wracał odchyłał głowę do tyłu, a z nosa sączyła mu się krew. Kładł się przy nas na plecy trzymając przy nosie chusteczkę, pociągał nosem aby wypluć krew i robił to jakby demonstracyjnie. Początkowo niektórzy chłopcy podejrzewali u niego gruźlicę, bo Gramza Florian, który miał z Frankiem łóżko razem przyłączone udał się do polskiego lekarza w jedną z niedziel do Gąsawy odległej o 9 kilometrów od ogrodnictwa. Lekarz po zbadaniu Florka i wysłuchaniu zachowań podejrzanego przez niego Franka rzekomo chorego, rozwiął obawy Gramzy i kazał mu spokojnie przy nim spać bez obawy zarażenia.

Pewnego dnia udało się nam odkryć dalszą część tajemniczej „choroby” Franka, którą przed nami demonstrował. Otóż pracowaliśmy w grupie osób poza ogrodem przy parkanie, kiedy Franek ponownie się oddalił i przychylił się za krzaczkiem jaskry. Tymczasem pracujący w ogrodzie Klemens zbliżył się do parkanu ukryty za rosnącymi wewnątrz ogrodu świerkami, aby nas przestraszyć udając głos Pfeifera. Odstąpił jednak tego zamiaru bowiem spostrzegł siedzącego za krzaczkiem Franka wpychającego do swego nosa listek krwawnika, którego wokół było pełno, i nos pocierającego. Leonard zachowując całkowitą ciszę wycofał się niepostrzeżenie w głąb ogrodu, a przy pierwszym spotkaniu z nami odkrył nam tajemnicę Franka przez niego poznaną. Podobne okoliczności również mnie spotkały kiedy zostałem Rymerem przydzielony do zdejmowania z wozu długich drągów świerkowych przywożonych z lasu na paliki podpórkowe. Obaj staliśmy na dwóch końcach wozu za stodołą zrzucając te żerdzie na ziemię i pracę tę wykonywaliśmy od samego rana. Kiedy zbliżała się 10-ta godzina i czas drugiego śniadania Franek zaczął pilnie obserwować prześwit terenu między szopą - wozownią a stodołą. W pewnej chwili przerwał pracę, obrócił się do mnie plecami przychylny, po wyjęciu czegoś z kieszeni, zaczął coś przy nosie robić. Niemal w tym samym czasie tuż za moimi plecami usłyszałem głośne wołanie na śniadanie spostrzegłem spadającego z wozu Franka. Prawie jednocześnie z szefową dotarłem do Rymera leżącego na plecach zakrwawionym nosem jak nieprzytomny. Śniadanie ogłaszała właśnie Pfeiferowa, która stojąc nad leżącym Frankiem nie okazywała zdziwienia, lecz poklepując go po twarzy mówiła:

- *No już dobrze Franek, nie martw się, może cię do wojska nie wezmą.*

Ujrzałem wówczas oczy Franka pełne łez i zrobiło mi się go po raz drugi żal, ale byłem już zupełnie pewien, że się „zeszwabił” i tą wieścią podzieliłem się z kolegami.

Po tym wydarzeniu istotnie po kilku tygodniach Franek żegnał się z nami, mówiąc:

- *Wujek postarał mi się o pracę lepszą tam w Niemczech, więc stąd odchodzę,*

nic nie wspominając o Wehrmachcie. Następnie, po ponad półrocznej nieobecności Frank przyszedł do Pfeifera w odwiedziny, ale w mundurze „SOLDATEN VON WEHRMACHT”, będąc na urlopie, ale nas pominął. Wchodząc na posesję Pfeifera Frank Rymer po drodze spotkał Rosse, który mu na powitanie powiedział:

- *Cześć Franek.*

Odpowiedzią było:

- *Guten Tag*

i nie zatrzymując się Franc poszedł dalej. Od tej chwili już nikt z nas Franca czy Franka nie spotkał i nie znane nam były jego dalsze losy.

Życie u Pfeifera nie było łatwe, chociaż ja osobiście miałem od innych chłopców trochę przyjemniejsze, bo mieszkałem z rodzicami i dwoma siostrami też do domu dochodzącymi, czułem się znacznie lepiej i bezpieczniej. Mogłem się również spotykać z sąsiadami, z którymi wymieniałem wiadomości i mieliśmy nadzieję na lepsze czasy, których spodziewaliśmy się wspólnie doczekać. Moi koledzy natomiast pracujący i kwaterujący u Pfeifera mieli o tyle gorzej, że chcąc się spotkać ze znajomymi w mieście mieli czas ogromnie ograniczony ze względu na godzinę policyjną mając do dyspozycji tylko 45 minut czasu. Trudności te mimo wszystko chłopcy pokonywali wydłużając sobie czas wizyty w mieście o jedną godzinę, kosztem kolacji, chociaż ją również zjedli, ale później i zimną. Otóż zaraz po skończeniu dnia pracy umyli się i prosząc kolegów o zabranie na „budę” ich kolacji z kuchni już o godzinie 18.15 ruszali do miasta mając do dyspozycji jedną godzinę i 45 minut do godziny policyjnej, do 20.00 jesienią i zimą a dwie i 45 minut wiosną i latem - do 21.00. Inna rzecz, że w zasadzie nie było w mieście co robić, jeżeli nie miało się do kogo chodzić i bez kart zaopatrzeniowych co kupić, za wyjątkiem kremu, proszku do mycia zębów, pasty do butów, podkówek do butów i gwoździków oraz niektórych pigułek. Dlatego większość chłopców do miasta rzadko wychodziło z wyjątkiem Klemensa i Kęski, którzy byli prawie stałymi bywalcami miasta.

W czasie takich wypadów do miasta obaj chłopcy zaprzyjaźnili się z „drogerzystą” panem Średzińskim, skierowanym do pracy w drogerii w Rogowie ze Żnina i tam najczęściej przebywali. Średziński był dobrym fachowcem w swoim zawodzie i bardzo bystrym, inteligentnym człowiekiem umiejącym nawiązywać kontakty ze swymi klientami, szczególnie klientami kilkakrotnymi. Po bliższym poznaniu Klemensa i Kęski pan Średziński zorientował się, że obaj są również gorącymi patriotami polskimi, więc rzucił od niechcenia słówko, że każdy patriota może swej ojczyźnie służyć i to czyni jeżeli chce. Oczywiście obaj chłopcy podchwycili, że owszem chcą jej służyć, ale nie mają okazji i nie wiedzą jak, a są gotowi, by czynić to natychmiast. Średziński ostudził ich zapał mówiąc:

- *To dobrze, ale wszystko w odpowiednim czasie. Trzeba cierpliwości, bo cierpliwość to jedna z cech, która będzie Wam potrzebna.*

Po pewnym dopiero czasie drogerzystą zaczął im przekazywać na przechowanie większe ilości środków opatrunkowych - gazy, bandaży, waty i różnych medykamentów, wiedząc, że u Pfeifera znajduje się bardzo wiele zakamarków - skrytek, jak w każdym ogrodnictwie. Z odbiorem tych materiałów i środków też nie będzie problemu, bowiem każdego dnia Pfeifer miał wiele dziesiątek klientów, którymi nikt się nie interesował skąd oni przychodzą i po co, i nie będzie nikt sprawdzał, czy wynoszą warzywa czy „trefny” towar. Jeżeli zaś chodzi o pozostałych chłopców, pracowników ogrodnictwa, to jak już wspominałem nie tylko, że rzadko do miasta uczęszczali, ale i w ogóle nie interesowali się dłaczego Leonard i Kazik czynią to tak często. Nie interesowali się również co się wokół nich dzieje, tym bardziej że kwatery Leonarda i Kazika były po jednej stronie budynku od wejścia do ogrodu, a kwatery chłopców pozostałych - od tyłu, za cieplarnią kanałową. Czasem nie wiedzieli wcale, czy Klemens z Kęską znajdują się na swej „budzie”- kwaterze, czy też nie. Ja zaś z kolei będąc każdego dnia po pracy w mieście znałem wszystkie wieści i plotki polityczne na bieżąco i chętnie się z kolegami w pracy dzieliłem, z czego wszyscy byli zadowoleni.

Mieszkałem w kamienicy o 18-tu lokatorach, wśród nich mieszkała pewna rodzina o nazwisku Zielonka, która do naszego bloku przeprowadziła się mniej więcej na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej. Pan Zielonka, dość wysoki i przystojny mężczyzna, lat około czterdziestu był zamknięty w sobie i spokojny, nie „strzępił” sobie języka bez potrzeby. Ona, Pani Zielonka szczupła i niskiego wzrostu, bardzo żywa, miła i życzliwa kobieta wychowująca dwoje dzieci szukała przyjaźni wśród sąsiadek. Przyjazd rodziny Zielonka do Rogowa Żnińskiego wiązał się z modernizacją szosy prowadzącej od Bydgoszczy przez Żnin do Gniezna, a pan Zielonka był maszynistą parowego walca pracując w firmie, która modernizowała tę szosę w 1938 roku. Zawód pana Zielonki był zawodem rzadko spotykanym, toteż przenosił się zawsze tam, gdzie jego Firma Budowy Dróg i Mostów przebywała. Waletfen był maszyną wielozadaniową więc mechanik musiał być dość wysoko kwalifikowanym, umiejącym nie tylko jeździć nim, ale również umiejącym ją przezbroić i naprawić, bowiem zrywała ona nawierzchnię szos, wyorywała do 60 - 70 cm głęboko, spychała ziemię i ubijała nawierzchnię.

Po wkroczeniu armii - wojsk hitlerowskich do Rogowa firmę tę przejęła administracja Hamburgskiej Firmy Drogowej, ale modernizacja trwała nadal. Po napaści Niemców na Związek Radziecki i zajęcie części tego kraju przez hitlerowską armię prace na naszych drogach przerwano, a firmę tą przerzucono na wschód koło Smoleńska. Wszystkich miejscowych robotników polskich Niemcy przerzucili do innych prac, zatrzymali wyłącznie pana Zielonkę, zabierając go razem ze sprzętem na wschód. Zielonkę ubrano w szwabski mundur podobny do munduru Wehrmachtu, chociaż Polakiem był i nim nie przestał być, a na rękawie munduru założyli mu opaskę napisem: "TODT ORGANISATION", czapkę połówkę z trójkolorowym guzikiem i bez niemieckiej „gapy” (czyli orła). Zielonka musiał z firmą wyjechać daleko do Rosji zostawiając swoją rodzinę w naszej kamienicy, gdzie mieszkała do końca wojny.

Po wywiezieniu męża pani Zielonkowa rozpacziała, ponieważ długo nie miała od niego wieści i popłakując przed wszystkimi sąsiadkami użalała się. Pierwszy list od męża dotarł do Zielonkowej po przeszło trzech, czterech miesiącach, który uradowana kobieta po wszystkich sąsiadkach obnosiła i z jego treścią zapoznawała, aby radość z nią dzieliły.

W roku 1943, nie pamiętam miesiąca ale wiem że było ciepło, bo na podwórzu zebrali się lokatorzy siadając na krytym szczelnie śmietniku i czytając na głos niemiecką gazetę „OSTDEUTSCHER BEOBACHTER”, w której na pierwszej stronie była kolumna drukowana po polsku. Artykuł ten dotyczył odkrytych pod Smoleńskiem mogił pomordowanych polskich oficerów i był bogato ilustrowany zdjęciami ich szczątków. Niemcy pisali wyraźnie o bestialskim mordzie dokonany przez bolszewickie G.P.U. oraz N.K.W.D., nawołując przy tym Polaków do wstępowania do niemieckiej armii w celu pomszczenia swych braci i ojców. Pamiętam reakcję jaką artykuł ten wywołał wśród mieszkańców naszego bloku, przewodził młody inwalida wojenny z 1939 roku, bez obu nóg - Zygmunt Szymczak, z przekonania „Narodowiec”, który grzmiał:

- Tak to cholerne G.P.U., w którym wodzirejami jest bolszewickie żydostwo!

Inni podejrzewali Niemców, przypominając uczonych w Krakowie, których Niemcy pomordowali, a tu szukają taniego „mięsa armatniego”.

Na szersze i prawdziwe wyjaśnienia musieliśmy jeszcze trochę poczekać, bowiem późną jesienią roku 1943 przyjechał na swój pierwszy i ostatni urlop pan Zielonka, który był tam właśnie koło Smoleńska przy budowie dróg i był współodkrywcą mogił oraz na własne oczy oglądał skutki mordu. Z jego relacji dowiedzieliśmy się co następuje:

Kiedy drogowcy znaleźli się pod Smoleńskiem - Zielonka i wielu innych Polaków ze środkowej części Polski, i rozstawili swe barakowozy, spotykali tamtejszych ludzi przechodzących do miasta obok ich bazy. Miejscowa ludność brała Polaków mundurowych za niemieckich żołnierzy i opuszczała głowy przy mijaniu się lub wyprzedzaniu, ale tylko do pewnego czasu. Kiedy usłyszeli polską mowę i zorientowali się, że nie są to Niemcy odwracali głowy i dyskretnie spluwali na ziemię, gardząc nimi, przypuszczając, że to zdrajcy. Trwało to do czasu, kiedy roboty drogowe ruszyły na dobre i Niemcy zaangażowali miejscową ludność (kobiety, starców, dzieci) do prac towarzyszących budowie dróg i tubylcy zetknęli się z Polakami. Wyjaśniono wówczas sobie kto jest kto, dlaczego noszą te szwabskie mundury i tutaj się znajdują. Wyjaśnili Rosjanom, że zabrani zostali tutaj siłą bez własnej woli noszą te niemieckie „szmaty”. Wówczas lody pękły szybko i nawiązała się przyjaźń i gościnność słowiańska - Rosjanie zaczęli przynosić bimber, kiszone ogórki i cebulę, Polacy dawali im papierosy, chleb i suchary. W wolnych od pracy chwilach drogowcy odwiedzali rosyjskie wioski i nawiązywały się między nimi szczerze dialogi. Wreszcie co bardziej szczerzy i odważniejsi Rosjanie zaczęli opowiadać, że tutaj, tą drogą do tego lasu zwanego „lasem katyńskim” N.K.W.D. woziło naszych oficerów „gruzownikami” (ciężarówkami) przez kilka tygodni - co dnia. Po przyjechaniu ciężarówek i wjechaniu do lasu, po chwili słychać było pojedyncze strzały, a kiedy ucichły i minęło trochę czasu, ciężarówki wracały puste. Na pytanie drogowców polskich, w którym miejscu ich pochowano, miejscowi milczeli lub wymawiali się, że nie wiedzą bo do lasu bali się wchodzić. Wreszcie po długich nagabywaniach Polaków ktoś z Rosjan puścił „farbę”, że jeżeli chcą szukać, to w miejscach gdzie są posadzone młode drzewka. Niedziele dla drogowców były dniami wolnymi od pracy toteż wszyscy pracujący w tej firmie Polacy zorganizowali się w kilka grup uzbrojonych w długie pręty metalowe i jedną lub dwie łopaty do poszukiwania mogił. Przez kilka czy kilkanaście niedziel rozproszeni w tyralierę specjalnie przygotowanymi dwumetrowymi prętami szpilowali place młodnika, które znajdowali w lesie. Po dość długich poszukiwaniach znaleźli i odkryli fragment mogiły ze szczątkami ludzkimi w polskich

mundurach oficerskich. Po powrocie z lasu swe odkrycie Polacy zgłosili swym szefom w firmie, a ci z kolei zgłosili to gdzieś wyżej niemieckim władzom. Nie minęły dwa tygodnie jak do firmy drogowej przyjechały dwa samochody osobowe z oficerami niemieckimi oraz cywilami, którzy zabrali dwóch Polaków z łopatami i udali się do lasu katyńskiego. Po odjeździe tej komisji minęło kilka tygodni i do lasu „Katyń” przyjechało kilkanaście samochodów Niemców, oficerów i cywili oraz przedstawiciele Czerwonego Krzyża - angielscy, szwajcarscy, polscy i inni. Roboty drogowe zostały przerwane, wszyscy drogowcy polscy z łopatami zabrani zostali do lasu do odkrywania mogił, a reporterzy którzy również przybyli robili zdjęcia.

Smutny był pan Zielonka opowiadający nam o mogiłach pomordowanych oficerów polskich i twierdził, że przez kilka dni po tym wydarzeniu miał trudności ze spożywaniem posiłków. Wspomniał również, że on nie ma wątpliwości kto mordu dokonał, gdyż w rozmowie z rosyjskim leśnikiem dowiedział się, że drzewka na mogiłach posadzono dwa lata temu, a w tym okresie Niemców na tych terenach jeszcze nie było. Opowiadał nam dalej o swoim losie tam koło Smoleńska i o tym, jak się na ten przyjazd cieszył, ale tu się trochę zawiódł mówiąc co go tu spotkało. Kiedy po przyjeździe do domu nacieszył się już rodziną Zielonka postanowił wyjść do miasta, może spotkać kogoś ze znajomych i tak po ulicach krążył. Znalazł się na chodniku przed zakładem fryzjerskim Adama Kopeckiego, skąd dochodził do niego gwar rozmowy kilku osób i chichot, więc pomyślał:

- Tu u Adasia się rozweselę.

Kopecki znany był przez wszystkich w mieście z wielkiego humoru i dowcipów, z każdego zdarzenia lub z każdej czyjejs wypowiedzi potrafił zrobić komedię. Znany był jako Adaś, choć już był grubo po czterdzieście, ale kawaler, Adasiem był dla starszych ludzi, młodzieży i dzieci, dla mężczyzn i kobiet, jednym słowem dla wszystkich. Nikt nie używał jego nazwiska Kopecki.

Ale do rzeczy. Kiedy Zielonka wszedł do zakładu śmiechy i gwar zamarty, zapanowała grobowa cisza i wszyscy klienci głowy poopuszczali odwracając je od wchodzącego. Zielonka płaszcz swój na wieszaku powiesił i grzmiącym głosem powiedział:

- Dzień dobry!!!

Lecz usłyszał tylko pomruk i wszyscy szukali sposobu, aby się go pozbyć. Zielonka ubrany był w szwabski mundur, którego i na urlopie zdjąć nie miał prawa. Niektórzy klienci już ostrzyżeni zamierzali zakład opuścić, inni wzrokiem dali Adasiowi znać, aby Zielonkę bez kolejki na fotel fryzjerski wziął i ostrzygł lub ogolił, co Adaś uczynił prosząc go.

Gest ten przelał czarę goryczy, którą jak sam Zielonka mówił „wypić mu kazali i gorzką pigułę przełknąć”. Wstał z krzesła i doniosłym głosem powiedział:

- Dlaczego mnie z zakładu pozbyć się chcecie? Czy jestem trędowatym? Czy się mną brzydzicie? Półgębkiem na moje pozdrowienie odpowiadacie, dlaczego? Dlatego, że w tych szmatach szwabskich chodzić muszę, choć jestem uczciwym Polakiem jak Wy, a może nawet lepszym patriotą. Czy jest to moja wina, że Szwaby ubrali mnie w ten łach i zabierając od rodziny ponad 1.000 kilometrów na wschód wywieźli, do obcego kraju, wśród obcych ludzi? Nie mam do kogo ust otworzyć, bo siedzę sam na tej piekielnej maszynie wśród huku i szumu, a kiedy do baraku wieczorem wrócę po uporządkowaniu tej parowej maszyny

wszyscy koledzy już śpią bo są wyczerpani. Trwa to tygodniami, miesiącami a nawet latami i niedługo mowy swej ojczystej zapomnę. Kiedy wreszcie otrzymałem kilka dni urlopu, tu do swoich jak na skrzydłach leciałem. Kiedy wreszcie usłyszałem ojczystą mowę i to tak wesołą wyobrażałem sobie szczyt szczęścia. Raptem wszystko prysnęło: cisza grobowa, pogarda. Ludzie, kim ja jestem? Pytam, u diabła, kim? Po com tu przyjechał? Po co tu przeszedłem - po wzgardę? Odpowiedzcie na Boga wreszcie!!! Odpowiedzi nie było. Dalej panowała cisza. Sytuację jednak rozładował Adaś, przeprosił nieszczęśnika za siebie i za wszystkich obecnych i powiedział:

- Niech się pan na nas nie gniewa i wybaczy, że swego rodaka nie poznaliśmy, ale jak takiego skurczybyka w szmacie szwabskiej zobaczyliśmy to ciemno w oczach nam się zrobiło!

Wszyscy uśmiechnęli się, bo Zielonka się uśmiechał, ożywiły się rozmowy, ale były one poważne, oficjalne, bez dowcipów, a takie się nie kleiły. Po krótkim czasie Zielonka wstał, ubrał się, przeprosił że popsuł im zabawę i rzuciwszy pozdrowienia, wyszedł.

Urlop Zielonki dobiegł końca więc pożegnawszy się z rodziną i z wszystkimi lokatorami wyjechał powrotem na wschód do Smoleńska, i od tej chwili już go więcej nie spotkałem. Nie wiem, czy po wojnie wrócił do Rogowa Żnińskiego czy nie, może później po wojnie, kiedy ja na Dolny Śląsk wyjechałem.

Nasze losy tymczasem toczyły się dalej i to jest głównym wątkiem mojego opowiadania wspomnień wojennych o mnie i otoczeniu.

Prace w ogrodnictwie Pfeifera były bardzo ciężkie, bowiem w większości polegały na ręcznym przenoszeniu środków i materiałów - ziemi, opału, obornika, wody i wielu innych. Materiały te przenoszone były w specjalnych nosidłach - skrzyniach, które u nas nazywane były „tragami”, o rozmiarach 130x70x20 cm, przedłużonymi w dwóch końcach rączkami i służyły one wyłącznie dla dwóch osób każda. Skrzynia taka z ładunkiem, w zależności od jego rodzaju ważyła od 80 do 180 kg.

Któregoś dnia od samego rana do obiadu wraz ze starszym ode mnie kolegą zostałem „zaprzęgnięty” do noszenia ziemi inspektowej. Ogłoszenie przerwy obiadowej było dla nas wybawieniem z męki, którą przy tej pracy przeżyliśmy; nie czuliśmy ze zmęczenia ani ramion ani nóg i zdawało nam się, że lekki powiew wiatru może nas przewrócić. W oczekiwaniu na obiad udaliśmy się do stodoły, aby tam odsapnąć ze zmęczenia, padliśmy na siano jak dwie kłody drewna z myślą o małej drzemce dla nabrania sił. Dla mnie drzemka ta skończyła się szybko, bowiem w prawej części podbrzusza poczułem potworny ból, który z każdą minutą zwiększał się i nie pozwolił spać, stawiając mnie na ugięte nogi. Moje jęczenie i pokładanie się oraz wycie z bólu postawiło na nogi wszystkich będących w stodole kolegów. Któryś z chłopców wyskoczył ze stodoły i powiadomił o tym kierownika Grześkowiaka, który do stodoły natychmiast przybył, popatrzył na mnie, nacisnął brzuch przez ubiór i zawyrokował: - Ślepa kicha!

Istotnie, było to zapalenie wyrostka robaczkowego, co później stwierdził lekarz, ale zanim do tego doszło, aby się do lekarza dostać jeszcze trochę czasu minęło na przetargach. Szef Pfeifer kazał konia zaprząć do małego wozu, aby mnie do lekarza zawieźć, Grześkowiak upierał się, by zaprzęgać konia do bryczki a ja w bólach czekałem. Koniec sprzeczki był taki,

że szef decydował i na swoim postawił. Trzęsącym się wozem, na wiaźce słomy zawieszono mnie do lekarskiej poczekalni i bez opieki tam pozostawiono.

Lekarz, jak już wspomniałem, stwierdził ostre zapalenie wyrostka robaczkowego z natychmiastową potrzebą operacji, kierując mnie do szpitala w Żninie, ale nie zdecydował jak się mam tam dostać. Odległość szpitala od Rogowa gdzie się znajdowałem wynosiła 20 km i jedynym środkiem lokomocji dla Polaków był jeden wagon kolejki wąskotorowej, która kursowała dwa razy na dobę: o godzinie 8-mej i wieczorem o 19-tej. Do Żnina kursowały również dość często autobusy, ale przeznaczone były one wyłącznie dla Niemców, Polacy mogli wyjątkowo korzystać z ich usług tylko za specjalnym zezwoleniem zwanym „Passierschein”. Wydanie takiego zezwolenia związane było z dość długim staraniem - minimum 24 godziny, z mocnym uzasadnieniem, zezwolenie to wydawał burmistrz. Ja nie miałem szans na załatwienie takiego zezwolenia od ręki, a czekanie do dnia następnego mogło mnie wykończyć. Mimo to dowlokłem się do ostatniego w mieście przystanku naprzeciwko Urzędu Pocztowego i położywszy się na ławce oczekiwałem na przyjazd autobusu. Tak się dość szczęśliwie dla mnie złożyło, że nad Urzędem Pocztowym mieszkała rodzina Naczelnika, a służącą u nich była najmłodsza z moich siostr, Czesława. Przypadkowo wyjrzała ona przez okno na pierwszym piętrze, gdzie mieli oni pokoje i spostrzegła mnie leżącego na ławce przystankowej autobusu. Wystraszona i błada zbiegła po schodach na dół i przebiegła ulicę podbiegając do mnie, aby dowiedzieć się co się stało, że tutaj leżę. Musiała zaraz do swej służby wracać, a do odjazdu autobusu było jeszcze 10 minut czasu. Oboje wiedzieliśmy, że będą wielkie trudności dostać się do tego pojazdu bez tak zwanego „PASSIERSCHEIN”-u (czyli pozwolenia przejazdu), a załatwienie go od ręki było niemożliwe. Oboje również wiedzieliśmy, że Czesia trochę lepiej ode mnie zna język niemiecki i bardziej będzie mogła przekonać obsługę autobusu o konieczności zabrania mnie bez pozwolenia przejazdu. Kiedy Czesia wróciła do pracy „Szwabka” zrobiła jej taką awanturę - gdzie była, dlaczego się obja itd. - do tego stopnia, że na parterze w urzędzie cała załoga hałas ten słyszała, nie uszło to również uwadze Naczelnika urzędującego w oddzielnym pokoju, który nie zwlekając udał się do mieszkania. Naczelnik po poznaniu przyczyny takiej awantury pozwolił mojej siostrze nie tylko na przystanek zejść, ale i odwiedzić mnie do szpitala do Żnina.

Do autobusu oboje z siostrą dostaliśmy się bez większego problemu, konduktor uzależnił to od zgody kierowcy, kierowca odwrotnie Polakami i byli na tyle wyrozumiali, że celowo opóźnili odjazd ze Żnina, aby Czesia zdążyła ze szpitala po odprowadzeniu mnie wrócić.

W ciągu dziesięciu minut od mojego przybycia do szpitala znalazłem się na stole operacyjnym.

W oczekiwaniu na chirurga niemiecka lekarka i dwie siostry polskie przygotowywały do operacji mnie i niezbędne narzędzia. Zanim jednak do operacji doszło rozegrała się między nami – lekarką i siostrami a mną przypadkowa komedia. Ja miałem bardzo ciemną karnację skóry na skutek corocznego intensywnego opalania się od wiosny do późnej jesieni, dlatego niewiele różniłem się od mulata. Wszyscy pracownicy Pffeifera płci męskiej w czasie prac w ogrodzie i w polu byli ubrani tylko w krótkie spodenki poszyte z worków od soli. Ubiór taki stosowany był bez względu na aurę - czy świeciło słońce, czy było pochmurno, czy było ciepło, czy potwornie zimno, bo byliśmy zaaklimatyzowani i tak ubrani byliśmy od miesiąca marca do końca października. Ogród co prawda dookoła obsadzony był trzema rzędami

drzew iglastych - świerki, tuje i daglezje, które tworzyły w ogrodzie mikroklimat, ale nasze przyzwyczajenie i dostosowanie było główną przyczyną takiego ubioru. Klienci z miasta przychodzący do ogrodnictwa w czasie złej pogody w płaszczach, na widok naszych obnażonych ciał trzęśli się jakby im było zimno.

Wracając do mojej bytności w szpitalu, lekarka widząc nieprzeciętny kolor mojej skóry zapytała:

- *Czy jesteś Polakiem?* (polskie siostry tłumaczyły rozmowę).

Odpowiedziałem, że tak, a ona zapytała dalej:

- *Czy również z pochodzenia?*

Znów potwierdziłem. Lekarka zapytała:

- *Dlaczego masz tak ciemną skórę?*

Odpowiedziałem, że intensywnie opalam się cały rok.

- *No dobrze - powiedziała pani doktor - a tam gdzie nie dochodzi słońce?*

Tu ja wyjaśniłem, że w przerwy obiadowe wchodzimy na wysokie stogi gałęzi świerkowych odpadów po wykorzystanych do wieńców gałązkach, powiązanych w snopki do rozpalania kotłowni, tam zdejmujemy resztę garderoby i opalamy pozostałe części ciała.

Odpowiedź moja wywołała głośny wybuch śmiechu wszystkich trzech pań, choć na Sali tej obowiązywała bezwzględna cisza, a wchodzący na salę w tym momencie chirurg oniemiał ze zdziwienia. Widok chirurga spowodował natychmiastowe ucieszenie się, a lekarka wyjaśniła chirurgowi przyczynę tej wesołości. Przybyły doktor podszedł do mnie i po obejrzeniu „tego dziwa” czyli mojego ciała sam również się lekko uśmiechnął i przystąpił do swego dzieła.

Po operacji w następnych dniach, kiedy lekarze robili obchód chorych przy moim łóżku zawsze uśmiechali się i byli dość mili, widocznie chirurg podzielił się z innymi lekarzami zaobserwowanym moim wyglądem. Po wyjściu ze szpitala otrzymałem jeszcze 10 dni zwolnienia lekarskiego od pracy, ale trzy razy dziennie musiałem do swej firmy chodzić na posiłki, bowiem moje bony żywnościowe znajdowały się u Pfeifera, a bez nich wyżywienie się nie było możliwe. Moja obecność na posiłkach działała na szefa jak czerwona płachta na byka. Nie mógł znieść tego, że jem jak wszyscy, a nie pracuję, darmożjad. Niemal po każdym posiłku szef wciskał mi miotłę do ręki, abym choć w części odpracował jedzenie i zamiótł bruk przed jego mieszkaniem. Z tej opresji zawsze ratowała mnie szefowa mówiąc:

- *Idź do domu i poleż w łóżku . Dobrze wyzdrowiej, abyś do pracy wrócił zdrowszy.*

Po powrocie do pracy miałem „zezowate szczęście”, bowiem Pfeifer otrzymał wagonową dostawę kilku wagonów koksu dla kotłowni ogrodnictwa i sam dla mnie funkcję wyznaczył. Przydzielił mnie mianowicie do rozładowywania koksu z wozów konnych pod szepę, na odległość do 4 m i 2 m wysoko. Praca ta była bardzo ciężka i to z dwóch powodów: po pierwsze skrzynie wozów miały kształt stożka ściętego odwróconego wierzchołkiem ku dołowi, więc koks przez drogę od stacji kolejowej mocno zaklinował się w wozie; po drugie ta odległość i wysokość do wrzucania koksu. Z tej to przyczyny wysiłek był bardzo duży i uciążliwy, a w dodatku trzeba było się mocno spieszyć, aby zdążyć z rozładowaniem wozu do czasu przywiezienia następnego ładunku. Po tej morderczej pracy w następnym dniu

poczułem piekący ból, po czym puściły szwy i nastąpiło krwawienie z otwartej rany. Ranę pokazałem kierownikowi ogrodu Grześkowiakowi, który po rozmowie z szefem sam prace mi przydzielał i to znacznie lżejsze.

Nadszedł listopad, a był to już piąty miesiąc po mojej operacji wyrostka, a rana nie goiła się, blizna się poszerzyła i wyciekała z niej krew z ropą oraz dokuczał bardzo piekący ból.

Dnia 11 listopada 1943 roku, data pamiętna z racji święta narodowego, od samego rana po krótkim przygotowaniu szef wyznaczył nas sześciu chłopców do lasu bukowego po liście, na teren „Królewskiego Lasu”. Odległość do lasu od ogrodnictwa wynosiła około 5 kilometrów, szosą asfaltową dwoma spiętymi ze sobą wozami i parą koni, udaliśmy się aby zadanie to wykonać. Wozy miały wysokie drewniane koła okute grubymi żelaznymi szynami, boki zaś wozów obłożone zostały szerokimi deskami w celu zwiększenia pojemności wozów. Liście w ogrodnictwie służyły do zwiększania objętości końskiego gnoju, który z kolei służył do zakładania inspektów na ciepło, liśćmi również przykrywało się skrzynie inspektowe oraz grunty, aby nie zamarały jeżeli były one potrzebne.

W drodze do lasu (wiadomo - młodzież bez opieki szefa) zaczęliśmy sobie wzajemnie płatać figle, a w przypadku prób odwetu ze strony poszkodowanego salwowano się ucieczką zeskakując z wozu na szosę. Ja również w tej grze odosobniony nie byłem i siedząc na deskach podłogi pierwszego wozu nogi miałem zawieszane nad szosą obok dyszla wozu drugiego i odwrócony byłem plecami do biegu wozu. Kiedy groził mi odwet ze strony kolegi zeskakiwałem na szosę biegnąc obok dyszla między wozami. W czasie jednego z takich uników, kiedy poderwałem swe ciało z podłogi wozu z chęcią zeskoczenia z niego, woźnica w tym czasie podciął konie batem i wóz szarpnął podrywając moje nogi w górę, a ja padłem na szosę plecami. Przednie koło przyczepionego z tyłu wozu wtoczyło się na moje prawe ramię i na policzek zrywając naskórek oraz obrywając część ucha od głowy. Krzyk kolegów sprawił że woźnica konie wstrzymał w miejscu i również wozy, a ja znalazłem się między kołami drugiego wozu, skąd koledzy wyciągnęli mnie. Twarz moja i ucho zalane były krwią czego od razu nie spostrzegłem, ale śmiertelnie blade twarze kolegów uświadomiły mi, że coś niedobrego ze mną się stało. Nie wiem w jaki sposób wyrwałem się z uścisków kolegów i czym się kierowałem, ale zanim wszyscy się spostrzegli biegłem szosą asfaltową w kierunku swego domu nie dając nikomu obejrzeć moich ran. W drodze do domu napotkał mnie jadący rowerem do lasu szef i zatrzymawszy się spytał mnie:

- *Was ist denn* (co jest)?

ale ja odstąpiłem twarz zastoniętą rękawicą pokazując zakrzepniętą krew i bez słowa pobiegłem dalej. Pamiętam, że w tym dniu prószył suchy śnieg i był mróz gdzieś w granicach -5° C i z tej przyczyny twarz i ucho przykrywałem rękawicą. Ponownie znalazłem się w żnińskim szpitalu i to w dużej rozterce, czy będę miał ucho z jednej strony i z uciechą że może wyleczą wreszcie moją ranę pooperacyjną na wyrostek robaczkowy. Istotnie niewiele brakowało, abym pozbył się jeżeli nie całego to przynajmniej części ucha, gdyby nie polski pielęgniarz o nazwisku Drożdż, jeden z bohaterskich obrońców Westerplatte z 1939 roku. Lekarz w szpitalu, chirurg niemiecki przyszył mi naderwane ucho do głowy i po założeniu opatrunku nakazał leżeć wyłącznie na prawej stronie ciała, czyli na stronie przyszytego ucha. Wyjaśnił przy tym personelowi medycznemu i pielęgniarce, aby tego nakazu nie lekceważył sobie, bo inaczej ropa dostanie się do ucha środkowego i będą poważne

komplikacje. Wynik zaleceń lekarza był taki, że na drugi dzień rano ucho w miejscu szcicia było poprzerywane i jeszcze dalej się naderwało.

Drożdż - pielęgniarz, a zarazem opiekun sali chorych, na której również i ja leżałem, człowiek o surowych obyczajach, bardzo szorstki wobec podopiecznych, którzy bałagan zostawiali, ale jeszcze bardziej bezwzględny wobec personelu pielęgniarskiego i medycznego, nawet lekarzy. Z drugiej zaś strony bardzo dokładny w wykonywanych czynnościach, człowiek wszystko umiejący wykonać, tzw. złota rączka, uczciwy i sprawiedliwy i bardzo odważny wobec Niemców, a zarazem dający nam poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy się go bali, ale i wszyscy potrzebowali, zdawało się, że bez Drożdża szpital przestanie istnieć, również i to, że w szpitalu pracuje kilku Drożdżów a niejeden. Potrzebny był on lekarzom, personelowi medycznemu, pielęgniarkom, salowym a także i chorym i bez przerwy słychać było wołanie: „Herr Drożdż, Panie Drożdż lub tylko Drożdż”. On przygotowywał sale do operacji, regulował wysokość stołu chirurgicznego, obsługiwał „enklawę”, sterylizator i aparaturę, on przygotowywał narzędzia chirurgiczne, przywoził i odwoził chorych do i po operacji, on jeździł karetką pogotowia jako kierowca i pielęgniarz, ale bardzo często wykonywał czynności lekarza gdy go brakowało i udzielał pierwszej pomocy w wypadkach. Wszyscy byli pewni, że dla Drożdża nie ma rzeczy niemożliwych i w sytuacjach beznadziejnych o pomoc do niego się zwracali.

On to właśnie zajął się moim uchem - po zdjęciu opatrunku po pierwszej nocy pooperacyjnej poprzecinał i wyjął szwy, docisnął do głowy ucho zaklejając plastrem perforowanym z obu stron, następnie przypasał do głowy w górnej i dolnej części ucha. Nakazał mi spać wyłącznie na lewej stronie (boku) bolącym uchem ku górze i każdego ranka sam zdejmował z głowy bandaże, wlewał do ucha wodę utlenioną i wacikiem wyciągał ropę aż do całkowitego oczyszczenia i wysuszenia ucha. Zabiegi te powtarzał każdego ranka przez dwa tygodnie nazywając mnie przy tym „MALCHUS”-em i nim zostałem do końca mojego pobytu w szpitalu. Po dwóch tygodniach zdjął mi z głowy opatrunek, poodklejał plastry przytrzymując ucho w miejscu by się nie naciągało lub przesunęło. Przy wykonywaniu tych czynności zauważyłem, że w miejscu gdzie ucho było oderwane od głowy narosło coś w rodzaju przezroczystej galarety, tak że widać było przez nią chrząstkę ucha. Po pięciu minutach od obnażenia ucha z galarety tej powstała bardzo delikatna skórka lub ciałko i mało widoczna blizna. Od tego momentu Drożdż dla mnie był wszystkim - mistrzem, cudotwórcą, opiekunem i obrońcą wprost uwielbiałem go. Lekarze żnińskiego szpitala w tym czasie wszyscy byli niemieckimi obywatelami, większość pielęgniarek łącznie z przełożoną również, ale były także pielęgniarki polskie, wykonujące prace cięższe. Siostry niemieckie przeważnie nie rozumiały ani jednego słowa po polsku, toteż na salach chorych przeważnie przebywały w towarzystwie Polki, która znała język niemiecki. Drożdż znał i doskonale władał językiem niemieckim i umiejętność tę umiał wykorzystywać, aby niemiecki personel szpitalny ośmieszyć, a umiał jak to się mówiło z nich „łacha drzeć”, aż do bólu brzuchów wolnych słuchaczy czy obserwatorów. Jako opiekun chorych naszej sali 19-to osobowej Drożdż starał się ją utrzymać „naj” - najczystszej, najbardziej zdyscyplinowanej itd. i do tego również nas wykorzystywał. Dokumentację chorych - karty przebiegu chorób, temperaturę, dawkowanie leków - prowadziły siostry niemieckie, na naszej Sali siostra Maria czyli Schwestern Marie, i najczęściej robiła klekсы na pościeli. Drożdż przy spostrzeżeniu plam atramentowych na pościeli wpadł w taką furję, że myśleliśmy iż powyrzucą nas przez okna i musieliśmy szybko wyprowadzić go z błędu i wskazać winowajcę - siostrę Marię. Uspokoiło go to trochę, ale przez zaciśnięte zęby precedził:

- *Ja tę krowę nauczę, tylko ją spotkam.*

Jak się okazało długo czekać nie musiał, bo właśnie w drzwiach ukazała się uśmiechnięta Siostra Marii. Drożdż jak indor poczerwieniał, jak indora korale i wskazując palcem na plamy zrobione atramentem na pościeli powiedział:

- *Wer hat das gemacht* (czyli kto to zrobił)?

Speszona siostra Maria opuściła głowę i powieki, uśmiech swój jak latarkę zgasła i nieśmiałym głosem wyjąkała:

- *Mein Feder ist verdorben* (mam uszkodzone pióro).

Usłyszała ripostę, ale w języku polskim, którego nie rozumiała:

- *Tobie krowo widły do ręki, a nie pióro i trzeba do gnoju skierować!*

Niemka nie rozumiejąc słów spytała:

- Herr Drożdż, was sagen sie? (co pan mówił?)

a wówczas Drożdż po niemiecku oświadczył, że mówił:

- *Ja bym mógł to pióro naprawić,*

na co siostra chętnie się zgodziła. Pielęgniarka polska nie spuszczać z Niemki groźnego swego spojrzenia włożył pióro do kieszonki kitla ochronnego, i jak się później okazało przez pół dnia nosił nie wyjmując go aż do spotkania z niemiecką siostrą. Spotkał ją wchodząc na naszą salę i bez jednego słowa wyjął z kieszonki pióro oddając je właścicielce jako już naprawione. Siostra Marii nie zwlekając pióro swe wypróbowała mówiąc:

- *Ja, jetzt is gut.* (teraz jest dobre).

Drożdż ze spokojną ale i kamienną twarzą patrząc na Niemkę powiedział po polsku:

- *Taaak, mówiłem ci krowo, że tylko widły...*

Kiedy Niemka salę opuściła cała sala jak na komendę wybuchnęła gromkim śmiechem patrząc na swego opiekuna, który już nic więcej nie powiedział, ale zrobił swój charakterystyczny uśmiezek wyłaniający na jego policzkach dwa dołeczki, znak jego zadowolenia.

Przytoczyłem tylko jeden z przykładów postępowania 28-letniego mężczyzny, dumnego i twardego żołnierza polskiego z 1939 roku, bohatera spod Westerplatte, z którym los zetknął mnie w czasie okupacji hitlerowskiej, chociaż okazało się później, że nie było to ostatnie spotkanie.

Nadszedł czas kiedy alianci rozpoczęli dywanowe naloty lotnicze na niemieckie miasta, głównie Drezno i Berlin, gdzie mieszkańcy tych miast dotkliwie skutki ich odczuli. Do ratowania żywych i rannych tam ludzi po bombardowaniu Niemcy wysłali karetki pogotowia z całego terenu Wielkopolski. Szpital żniński musiał swoje trzy karetki również wysłać, które zostały skierowane do Berlina, a jednej z nich kierowcą wyznaczony został Drożdż, chociaż ordynator szpitala był przeciwny, aby Drożdża mu zabierano, był on bowiem i jego prawa

ręką. Miejscowe Gestapo Drożdża wyznaczyło, bo siedział on im kością w gardle i chętnie by się go pozbyli wiedząc kim on był i kogo reprezentował.

Po zakończeniu akcji ratowniczej do Żnina wrócił tylko jedynie Drożdż, a pozostałe dwie karetki przyprowadzili dwaj obcy kierowcy, bowiem Niemcy obu kolegów Drożdża stracili karząc ich śmiercią. Okazało się, że w drodze powrotnej z Berlina poddano samochody i ich kierowców rewizji i znaleziono w nich kilka drobiazgów i zegarki w gruzach domów niemieckich znalezione. Samochód prowadzony przez Drożdża jaki on sam był poddawany kilku bardzo szczegółowym rewizjom, ale za każdym razem Niemcy nie znaleźli ani złamanej igły. Drożdż do pracy w szpitalu w Żninie powrócił zdrowy i cały, pomimo że Gestapo cały czas trzymało go pod lupą aby znaleźć choćby źdźbło przewinienia.

Wracając jeszcze do mojego drugiego pobytu w szpitalu muszę choć wspomnieć o lekarzu, który moją ranę pooperacyjną wyrostka doprowadził do całkowitego zabliznienia i wysuszenia. Był nim doktor Schwarz, niemiecki emigrant znad Morza Czarnego, tak zwany „Schwarcmeer", który języka niemieckiego prawie nie znał, lecz znał rosyjski język i słabiej polski.

Po powrocie moim ze szpitala do domu zastałem w miasteczku wiele zmian, bardzo dużo już starszych Niemców zabrano na wojnę, w tym również burmistrza Rakoffa, inny był już komisarz policji - wojenny inwalida, Purwina wzięto na front, po ulicach kręciło się wielu dziwnych i obcych ludzi. Jak się później okazało byli to niemieccy repatrianci z Rosji, najwięcej znad Czarnego Morza czyli „Schwarcmeerzy", którzy między sobą rozmawiali wyłącznie po rosyjsku, zresztą po niemiecku wcale nie umieli.

Początkowo przybysze ze wschodu byli dumni ze swego pochodzenia i lekceważąco spoglądali na Polaków, ale kiedy sami doznali pogardy od swoich ziomków z Reichu, zaczęli zbliżać się do nas, do Polaków. Łatwiej im było z nami się dogadać, bo język polski trochę znali, mieli podobne zwyczaje i obyczaje.

Ja opuszczając szpital otrzymałem kilka dni zwolnienia lekarskiego wydanego przez Komisję lekarską orzekającą o niezdolności do pracy i mogłem bez obaw poruszać się po ulicach w czasie dnia roboczego. Tak się złożyło, że na ulicy spotkałem szkolnego kolegę Kopeckiego Mieczysława, również rekonwalescenta po półrocznym leczeniu szpitalnym na zapalenie płuc, ale w szpitalu gnieźnieńskim. Mięciu był gońcem w niemieckiej Spółce Wymiany Zbożowej w Rogowie, która prowadziła młyn, dwie mleczarnie, gorzelnię, kilka sklepów z częściami zamiennymi do maszyn rolniczych, kolonialne sklepy i magazyn wymiany zboża na mąkę. Otrzymał on służbowy rower z szyldelem firmy, którym poruszał się po całym terenie gminy rozwożąc po wioskach, gospodarzach korespondencję, oczywiście po tych, którzy byli członkami tej Spółdzielni. Mietek swój służbowy rower mógł przetrzymywać w swym mieszkaniu, ponieważ bardzo często rozwożenie pism trwało do późnych godzin popołudniowych, kiedy biuro firmy było już nieczynne. Była to dla Mięcia wygoda, bowiem mógł on bezkarnie rowerem poruszać się i załatwiać swe prywatne sprawy. Najczęściej Mietek postępował w taki sposób, że rozwożąc korespondencję bardzo się spieszył, a następnie spocony kładł się w lesie odpoczywając. To było przyczyną zapalenia płuc i przyczyną znalezienia się w szpitalu. Przebywając pół roku w szpitalu Kopecki zapoznał tam pacjenta, nauczyciela języka angielskiego, który zachęcił Mięcia do nauki tegoż języka, wtajemniczył go w metody bardzo szybkiego nauczania i sam wiele go nauczył.

Kopecki w czasie naszego spotkania zwierzył mi się ze swej nauki, ale narzekał na brak podręczników, które byłyby mu bardzo pomocne. U mnie w domu znajdowały się dwa podręczniki do nauki języka angielskiego dla samouków, które mój ojciec kupił będąc w Ameryce, zresztą dwukrotnie - przed i w czasie pierwszej wojny światowej. Przypomniałem sobie ten fakt i wypożyczyłem Mięciowi oba podręczniki, których nawiasem mówiąc więcej już nie widziałem, przepadły po zakończeniu drugiej wojny światowej jak i Mięciu przepadł. Kopecki Mieczysław po wojnie musiał ukrywać się przed represjami władzy ludowej za przynależność do Armii Krajowej. Kopecki istotnie należał do tej organizacji w okresie okupacji niemieckiej, która prowadziła działalność przeciwko hitlerowcom, ale jak większość chłopców nie interesował się polityką a tym bardziej ideologią lecz walką podziemną z wrogiem.

Po powrocie do pracy, kiedy był już zdrowy, Mięciu dostał pewnego dnia od zarządu swej firmy polecenie wyjazdu do Poznania, aby załatwić formalności przewozowe na 8 sztuk rulonów papieru pakowego o szerokości 2 metrów, na które Spółka otrzymała przydział. Poinformowany o tym wyjeździe Śledziński wydał Kopeckiemu również tajne polecenie z organizacji, podając Mięciowi wtyki i kontakty z organizacją w Poznaniu, gdzie po przyjeździe miał się zaraz zgłosić, zanim zacznie działalność służbową. Papier transportowany był koleją na trasie Poznań - Gniezno - Janowiec Wielkopolski, z tym że rozładowanie go z pociągu nastąpiło po drodze na maleńkiej stacyjce Ośno Wielkopolskie o 13 kilometrów odległe od Rogowa, czyli bazy Spółki. Tę ostatnią 13-kilometrową trasą papier przewożono zaprzęgiem konnym, wozami platformowymi (tzw. Rollwagen) z macierzystej firmy.

Wróćmy jednak do Poznania. W czasie przewożenia papieru magazynów Hurtowni Poznań na dworzec towarowy kolei Mięciowi towarzyszyli jacyś ludzie związani z hasłem kontaktowym i oni pomagali przy załadunku i udzielili instruktażu o wiezionej specjalnej przesyłce i dalszym postępowaniu z nią. Kopecki po przybyciu do Ośna Wlkp. i wytoczeniu rulonów na rampę rozładowniczą zawiadomił swą firmę w Rogowie o konieczności przysłania wozów po papier, następnie czekał aż wozy przyjadą by z nimi wrócić do bazy. W jednym z tych rulonów poznańscy AK-owcy umieścili karabin maszynowy, który Mietek w czasie oczekiwania na przyjazd wozów wyjął i ukrył w miejscu umówionym w pobliżu stacyjki, a po powrocie do Rogowa zgłosił przesyłkę panu Śledzińskiemu. Tej jeszcze nocy Klemens wraz z Kęską przywieźli karabin ten do ogrodnictwa Pfeifera i tam ukryli do czasu zgłoszenia się odbiorców z Warszawy. Karabin maszynowy Poznaniacy pozyskali w czasie słynnego bombardowania „wielkanocnego” Zakładów H. Cegielskiego (wówczas nazwanych DMW) przez alianckie lotnictwo. W zakładach tych na jednym z wydziałów samoloty uzbrajano w różne rodzaje broni maszynowej i innej. Jak zapewne czytelnicy zauważyli, że znowu w akcji tej udział brali Klemens i Kęska, którzy byli u Pfeifera najbardziej ruchliwymi ludźmi i wszędzie „było ich pełno”. Kęska był chyba najbardziej płochym człowiekiem, ale i najwięcej ryzykującym, toteż gdziekolwiek by się coś działo Kazik tam zawsze również uczestniczył.

Niemal w każdą sobotę po zakończeniu pracy lub w niedzielę wczesnym rankiem Kaziu opuszczał ogrodnictwo i gdzieś rowerem podążał, nawet wtedy, gdy przypadał mu dyżur w kotłowniach w obsłudze kotłów zawsze uzyskiwał zastępstwo kolegów. Ciągłą jego nieobecnością w niedzielę zainteresował się nawet sam szef, któremu Kazik wyjaśnił, że posiada zaledwie dwa komplety bielizny osobistej i to mocno sfatygowanej, którą musi oddawać bratowej do naprawy i do prania i zawozić do Łopienna, gdzie bratowa mieszka.

Kęska był sierotą o czym zresztą wszyscy w firmie wiedzieli, bowiem rodzice jego zmarli na początku wojny, rodzeństwa też już nie miał, gdyż jedyny brat Janek zginął w obozie koncentracyjnym, po nim została ta bratowa w Łopiennie. Szanował ją jak swą własną matkę i zawsze się starał, jak tylko do niej jechał, aby nie zjawić się u niej z pustymi rękoma. Zdarzyło się w jedną z sobót, że Kazik zapomniał o imieninach swojej bratowej i dopiero przypomniał sobie wieczorem w sobotę, w dniu imienin, ale tuż przed godziną policyjną a dodatku w niedzielę przypadał jego dyżur. Późno już wieczorem znalazł Kaziu zastępstwo w dyżurze, przygotował sobie prezent odstawiając w oranżerii na bok piękny okaz kwiatu doniczkowego - prymulę i wcześniej rano zamierzał kwiat zabrać i pojechać do Łopienna złożyć życzenia. Jak zamierzał tak zrobił, ale rano stwierdził, że odstawionej prymulki już nie ma, nie wiedząc, że szef doniczkę z kwiatem wstawił powrotem w puste miejsce, nie miał jednak Kazik kłopotu w odszukaniu tego okazu, toteż zabrał ją i wyjechał.

W domu bratowej Kazik znalazł się niespodziewanie i dość wcześnie, po złożeniu życzeń i wręczeniu kwiatu bratowa była bardzo szczęśliwa, bo jak się okazało jego sobotnio-niedzielne wyjazdy rzadko trafiały do Łopienna, chociaż tak szefa zapewniał, kiedy ten zaczął go podejrzewać o jakieś nielegalne kontakty. Dzień cały spędził Kazik w towarzystwie solenizantki mile i wesoło, bowiem było już dość późne popołudnie, kiedy zaczął przygotowywać do powrotnej drogi, do ogrodnictwa Pfeifera. Zanim jednak to miało nastąpić wyszedł Kazik w podwórko za swoją potrzebą fizjologiczną bo tam ubikacja była w podwórku wolnostojącą „budowlą” i tam spędził dość długi czas. Po powrocie do izby ujrzał swą bratową tak bladą jak płótno lniane, nie mogącą ani słowa wypowiedzieć, dopiero po chwili ledwo wyjąkała:

- Kaziu, uciekaj, gestapo po ciebie było, ale ja powiedziałam, że już do swej firmy pojechałeś i odeszli.

Nie było to jednak gestapo jak się później okazało, ino zwykli, najzwyklejsi policjanci z posterunku w Łopiennie. Okazało się, że Pfeifer po stwierdzeniu braku tej prymuli zgłosił kradzież w Komisariacie Policji w Rogowie, a ci zatelefonowali na Posterunek w Łopiennie o doprowadzenie „złodzieja”. Tymczasem wystraszona kobieta nie odróżniła żandarma od gestapowca i narobiła paniki, przez co wypędziła Kazika i jakby „fundując” mu dwa tygodnie gestapowskich wczasów w obozie przejściowym pracy. Kazik miał wobec hitlerowców tyle grzechów, że kilka osób mógł obdzielić, ale był dobrze poinformowany, że w przypadku wpadki ma udać się na przejście graniczne do Reichu koło Poznania i tam za 100 marek swobodnie opuścić okupowaną Polskę i bezpiecznie ukryć się. Miał on jednak kolejnego pecha trafiając na „Grenzner” takiego służbistę, że nawet 200 marek nie skusiło go do przepuszczenia Kazika przez granicę, tylko wydał go w ręce Gestapo. Przesłuchanie Kęski przez Gestapowców było krwawe, ale Kazik milczał, a kiedy zorientował się, że w Łopiennie chodziło tylko o kwiat, tej wersji się tylko trzymał tłumacząc, że po powrocie do swojej firmy miał za kwiat zapłacić, bo rano szef spał. Gestapowcy otrzymali telefoniczne potwierdzenie z Komisariatu Policji w Rogowie wersję Kazika i nie mając innych zarzutów umieścili go na dwa tygodnie w obozie Żabikowo koło Poznania. Po odbyciu kary Kęska wrócił do ogrodnictwa Pfeifera, bez swojej bujnej czupryny, ogolony, ale szef uważał, że to za mało i wziął go jeszcze w swoje ręce, aby mu wymierzyć karę dodatkową. Najpierw prawił mu morały i groził dalszymi konsekwencjami, ale ciekawość wzięła górę, bo wypytywał się jak mu w obozie było. Kęska w odpowiedzi mocno obóz wychwalał, że dla zdrowia co rano gimnastyka była i tak dalej, co doprowadziło Pfeifera do wściekłości, że zamiast kary tak

dobrze go traktowali i już zrobił ręką zamach, aby dołożyć mu. Widząc swoją beznadziejną sytuację Kazik odsunął się od szefa i wyjaśnił, że tak musi mówić, chociaż było inaczej, ale podpisał takie zobowiązanie i pokazał swoje plecy podciągając koszulę. Pfeifer na widok pleców Kazika skrzywił swą twarz i powiedział:

- *Das ist nicht möglich* (czyli: to jest niemożliwe),

i uspokoił się. Szef natychmiast zaczął swą złość w czułość obracać mówiąc:

- *Przecież nie musiałeś uciekać. Jakby cię nasza policja wzięła, to kara byłaby mniejsza.*

Kęska tłumaczył, że kiedy on do bratowej na imieniny jechał, to szef jeszcze spał, więc wziął kwiat, ale go nie ukradł, bo miał zamiar zaraz po przyjeździe z imienin swój dług uregulować i zapłacić za kwiat. Teraz pieniędzy nie ma, więc szef potrąci mu zaraz z pierwszej pensji. Pfeifer znowu podenerwował się mówiąc, że znowu kłamie, bo gdyby chciał płacić, to mógł to zrobić wieczorem tej nieszczęsnej soboty.

Nadeszło przedwiośnie 1944 roku, okres, jak to bywa w ogrodnictwie, wytężonej pracy w przygotowaniach i zakładaniu inspektów, pikowania roślin i wczesnych warzyw do wegetacji. Każdy z nas otrzymał swój przydział pracy i to zgodnie z umiejętnościami i wiedzą fachową poszczególnych osób. Jerzy Grześkowiak, syn kierownika również podobnie jak ja czy też Grzeczka fachowcem ogrodniczym nie był, ale tato przydzielił mu bardzo lekką pracę - pikowanie nowalijek w inspekcji „belgijce”. Belgijka, w której Jerzy miał pikować usytuowana była w końcu oranżerii naprzeciwko okna jadalni szefa w budynku mieszkalnym, ale za dwoma parkanami, Jerzy rozłożył się na desce do pikowania, podłożył swe ręce pod głowę, beczynnie leżąc twarzą do słońca opalał się. Faktycznie przy pikowaniu w inspekcji pracę tę wykonywało się na leżąco, ale na brzuchu, na szerokiej i grubej desce, wisząc nad ziemią- glebą w inspekcji. Leniuchujący Jerzy nie przypuszczał, że z okna jadalni szef go obserwuje. Pfeifer wreszcie mocno wzburzony wyskoczył z mieszkania i podejmując po drodze sztachtetę za oranżerią cichaczem dotarł do Jerzego, który dalej beztrąsko leżał. Szwab raz tylko zdążył Jerzemu w ramię przyłożyć, bowiem sprytny chłopak jak rączy jeleń zeskoczył z deski i w głąb ogrodu pognął, doszły go tylko słowa szefa:

- *Verfluchter Faulenzer!* (cholerny leniuch)

Słyszając to senior Grześkowiak szybko w obronie syna zareagował mówiąc:

- *Herr Pfeifer, das ist mein Sohn.* (Panie Pfeifer, to jest mój syn),

ale usłyszał odpowiedź szefa:

- *sie sind Vater? Sie sind Strohvater!* (Wy jesteście ojcem? Wy jesteście słomianym ojcem!)

Po tej awanturze Pfeifer skierował Jerzego do innej pracy, mianowicie do noszenia ze mną w „tradze” (nosidle) ziemi i obornika z ogrodu przez podwórze za stodołę, gdzie dwie dziewczyny kopały grządkę zakopując obornik.

Po obiedzie, przy którymś tam kursie z rzędu, który z Jerzym zrobiliśmy i zatrzymaliśmy się na podwórzu dla złapania oddechu zauważyliśmy pod ścianą budynku dwa rowery żandarmów. Nie trudno nam było rozpoznać policyjne rowery, bowiem miały one

przyczepione do ram wieszaki do przypinania karabinów, i wówczas Jerzy zwrócił się do mnie słowami:

- *Patrz Marok, czyjeś zdrowie przepijają.*

Po odpoczynku ruszyliśmy dalej i kiedy zaledwie zrobiliśmy za stodołą parę kroków usłyszeliśmy wołanie:

- *Grześkowiak, komm hier! (chodź do mnie!)*

Postawiliśmy ładunek na ziemi i odwracając się w słońcu zauważyliśmy trzy sylwetki stojące obok siebie, w środku grubasek szef a po bokach żandarmi, którym świeciły się w słońcu daszki kasków policyjnych. Jerzy bez pośpiechu udał się w ich kierunku, a kiedy zbliżył się na odległość wyciągnięcia ręki otrzymał cios w głowę od jednego z żandarmów, aż czapka mu spadła na ziemię. Grześkowiak junior powolnym ruchem czapkę z ziemi podniósł i otrzepując ją powiedział:

- *Danke schoen.* (czyli: ładnie dziękuję.)

Rozgniewany żandarm dopadł Jerzego i ze zwiększoną siłą i pasją „bębnił” po głowie Jerzego, ale powtórnie usłyszał:

- *Noch mehr danke schoen.* (czyli jeszcze więcej...).

Tego już żandarm nie wytrzymał i wpadł w taką furję, że głowa Jerzego jak piłeczka pingpongowa ze strony na stronę chodziła, a czapka potoczyła się znacznie dalej, ale Jerzy uśmiechem wyduł swe wargi, niedbale podniósł czapkę i powiedział:

- *Noch mehr, mehr danke, danke schoen* (jeszcze bardziej, więcej pięknie dziękuję, dziękuję).

Na zachowanie się Jerzego obaj żandarmi do przodu się wyrwali, przy czym jeden z nich mający krótką broń próbował dobyć pistolet, ale Pfeifer obu ich wstrzymał i wszyscy trzej obróciwszy się na piętach oddalili się. Jerzy, chociaż z twarzą pobladłą ale uśmiechniętą popatrzył w ich kierunku i zbliżył się do mnie, a następnie powiedział:

- *Nie wiedzieli na jakiego uparciucha natrafili.*

Za chwilę, kiedyśmy już do dziewczyn dochodzili, dodał:

- *Mocno oberwałem, ale com im krwi napsuł tom napsuł, temu jednemu to chyba ze złości wątroba gnije!*

Incydentowi temu kątem oka przyglądały się również pracujące w oddali dziewczyny, które również strachu się najadły, ale będąc kilkadziesiąt kroków dalej ode mnie nie widziały jak szwab próbował dobyć broni, a ja ten strach przeżyłem. Grześkowiak tymczasem w dalszym ciągu humoru nie tracił i zgrywał się na bohatera, choć dziewczyny współczuły mu, bo mówił:

- *Chyba ze szwabami już źle, bo dzisiaj swą słabość okazali kapitulując przede mną bezbronnym.*

Ja z kolei wiedziałem, że do tej tak zwanej kapitulacji nakłonił ich Pfeifer, bo na jego zlecenie działali bijąc Jerzego i na pewno broni by użyli w innych okolicznościach.

Rację miał Jerzy o tyle, że był to już okres klęsk niemieckiej armii na różnych frontach świata, a dla nas duża nadzieja odzyskania wolności, ale wiedzieliśmy z drugiej strony, że hitlerowcy nam nie popuszczą i kiedy nadejdzie ich kres, nas będą próbowali wymordować.

Również w tym mniej więcej czasie dotarł do nas pierwszy transport rozbitków armii Własowa uciekających przed Rosjanami, alei również rozbitków z bombardowanego Drezna i Berlina. Rodziny te były ciężko przestraszone i przygnębione na skutek przeżyć w bombardowanych miastach i oni mieli wpływ na zachowania Niemców miejscowych. Nie do wszystkich jednak groza strachu dotarła w pełni, bowiem byli i tacy szwabi, którzy terror nasilali wobec Polaków, chcąc tym zagłuszyć echa klęski Niemiec. Wśród niemieckich uciekinierów z Berlina do Rogowa przyjechał starszy gość, któremu dom i fabrykę zbombardowano, o nazwisku Mueller. Jemu Spółka Wymiany Zbożowej w Rogowie powierzyła kierownictwo swojej firmy, bowiem był on przygotowanym fachowcem, a poprzednik został już zabrany do armii na front wschodni. Mueller mieszkał w hotelu, ponieważ mieszkanie dla niego dopiero remontowały miejscowe władze administracyjne, zaś jego dobytek z dworca kolejowego do niemieckiego starego młyna przewoził parobek wiceburmistrza Stanisław Świtniewski. Młyn ten wchodził w skład Spółki i Mueller umieścił swoje walizy na piętrze tego obiektu jak w swoim własnym, bo klucze były wyłącznie w jego posiadaniu. Hotel był u Kanclerza, gdzie Muellera umieszczono.

Kiedy przybysz z Berlina otrzymał już gotową do zamieszkania willę i transportem swej firmy podjechał po swój dobytek spostrzegł, że do jego waliz miało miejsce włamanie, pomimo że tylko on klucze od wejścia do młyna posiadał. Złodziej dostał się do środka po zewnętrznej drabinie na piętro i po zbitciu szyby otworzył okno, którym wszedł wnętrza i tam walizy splądrował zabierając rzeczy, które go interesowały. Miejscowa policja nie miała trudności z wytypowaniem podejrzanego za złodzieja, którym został Staszek Świtniewski. On przewoził walizy ze stacji do młyna i wnosił je na piętro, a miejscowi Niemcy znali go również sprzed wojny jako człowieka, któremu wszystko do rąk się kleiło i często odsiadywał kary za drobne kradzieże. Świtniewski był kilkakrotnie przesłuchiwany przez policję, przeprowadzana była ścisła rewizja, parę razy powtarzana u jego siostry i u znajomych jego, a nawet u tych osób, z którymi chociaż raz Staszek rozmawiał. Ponieważ nic nie znaleźli pozostawili go na wolności, lecz pod ścisłą ale dyskretną obserwacją w pracy i poza pracą a nawet w czasie snu. Świtniewski zatrudniony był wraz z dwoma kolegami u wiceburmistrza Richarda Pfeifera, brata naszego szefa i u niego w stajni mieszkali w pakamerze zbitej z desek. Jednej nocy nie było, żeby żandarmi nie wizytowali tego pomieszczenia w czasie snu tych trzech chłopców i weszli, aby znaleźć coś z kradzionych rzeczy.

Pewnej nocy w czasie takiej kontroli jeden z żandarmów zauważył wystającą spod onucy skarpetkę w dobrym stanie z typu wojskowych skarpetek Wehrmachtu, z soczysto-zielonymi szlaczkami na mankencie. Żandarmi dyskretnie skarpetki zabrali udając się z nimi do Muellera, aby spróbował je rozpoznać, i rzeczywiście, kłopotu z rozpoznaniem nie było, ponieważ na jednej z nich tylko właściciel znał znak szczególny. Rano Świtniewski został aresztowany i po jeszcze jednym przesłuchaniu, chociaż tłumaczenie jego było logiczne, że skarpetki kupił na czarnym rynku od nieznajomego, został osadzony w areszcie śledczym w Żninie razem z dwunastoma innymi, podejrzanymi za różne kradzieże. Policja na razie nie wysłała Świtniewskiego do obozu z braku dowodu i nadziei, że odzyskają ukradzione garnitury. Niemcy byli ludźmi oszczędnymi, toteż nawet w areszcie śledczym na próżno

darmozjadów trzymać nie chcieli, wykorzystywano ich więc do różnych robót na rzecz swych rodaków za byle jakie wyżywienie.

Pewnego dnia strażnik więzienny zaprowadził aresztantów na peryferie Żnina do willi niemieckiego dygnitarza, aby pod jego nadzorem przecinali i rąbali drewno na opał. Staszewi Świtniewskiemu przypadła funkcja przerąbywania przetrzętego drewna, toteż korzystając z nadarzającej się okazji uderzył strażnika obuchem w głowę ogłuszając go i kazał więźniom wiać, ale każdy w swoją stronę. Sam jeszcze tego dnia znalazł się w Rogowie w miejscu bardzo dobrze jemu znanym, znając wszystkie bezpieczne przejścia i kryjówki mógł przebywać tam, gdzie się go nie spodziewano. W najbliższą po ucieczce niedzielę rano, kiedy jego koledzy z pracy u Richarda Pfeifera poszli na śniadanie, on wszedł do stajni do pomieszczenia, aby przebrać się w swoje ubranie zrzucając więzienne. Okazało się na miejscu, że Niemcy jego ubrania zarekwirowali i nie miał w co się przebrać, a w ubiorze więziennym szybko by go żandarmi ujęli. Nie zastanawiając się wiele Staszek zdjął z wieszaka ubranie kolegi, ale nie zdążył się przebrać, bowiem wracający ze śniadania chłopcy wszczęli alarm i musieli uciekać.

Goniący go koledzy nie mieli zamiaru go schwytać, toteż kiedy zbliżyli się do niego półgłosem szepotali:

- Wyskakuj z tych więziennych trepów i uciekaj, bo cię dojdziemy.

Pościg był tylko pozorny, bo Józef Szafranski, który był najbliżej uciekiniera zwalniał swój bieg, aby zwiększyć dystans do Świtniewskiego. Okazało się, że gest kolegów był zbyt cenny, ponieważ drogę uciekającemu zagroził mieszkający w pobliżu pewien Polak o nazwisku Zygmund, który Świtniewskiego zatrzymał i oddał w ręce policji. Zygmund ze Świtniewskim znali się bardzo dobrze i byli nawet kolegami przed aresztowaniem, ale teraz nawet błagania Stasia nie pomogły, Zygmund go już z rąk nie wypuścił i zachował się jakby to on był poszkodowany.

Policja pojmanego zakuła w kajdany i dla przestrogi Polakom, jak i dla pohańbienia więźnia boso jak zwierzątko gnali go do miejscowości Gąsawa odległej od Rogowa o 9 kilometrów, pomimo że tam był tylko posterunek policji a nie komisariat, i żandarm był z Rogowa a nie z Gąsawy. Widok boso biegnącego więźnia o tej porze roku, zakutego w kajdany i jadącego za nim rowerem żandarma budził sensację wśród mieszkańców Gąsawy, którzy policjanta wypytawali kto to, co zbroił itd.

Wejście do posterunku w Gąsawie usytuowane było po przeciwnej stronie fasady budynku stojącego przy rynku miasta, do którego za furtką prowadził chodniczek. Kiedy Świtniewski znalazł się na chodniczku za furtką żandarm zatrzymał się przed furtką, aby zaspokoić ciekawość swych ziomków i jak rzecznik relacjonował.

Staszek tymczasem nie zatrzymując się zdążył chodniczkem do wejścia za budynkiem, do którego drzwi były całkowicie przymknięte. Obejrawszy się dookoła czy nikt go nie obserwuje, przesadził parkan okalający budynek i zniknął w zaroślach tam za ogrodzeniem umykając do pobliskiego lasu. Konwojujący więźnia żandarm, kiedy skończył jakoby „konferencję prasową” wszedł do posterunku rozglądając się za więźniem, ale daremnie, bo nigdzie go nie zauważył. Zdziwiona miejscowa policja czego może obcy żandarm szukać dowiedziała się, że chodzi tu o więźnia, którego w ogóle nie widzieli. Zorganizowanie pościgu zajęło trochę czasu, na tyle, że Staszek był już w odpowiedniej odległości i w miarę

bezpieczny. Do wieczora trwał pościg i obława, którą żandarmi musieli przerwać mając za mało ludzi i było bardzo ciemno. Poniedziałkowa obława z ogromną ilością ludzi ze sprzętem i psami nie przyniosła żadnych rezultatów, po Świtniewskim ani śladu. Tymczasem Stasiu niezwłocznie wrócił w okolice Rogowa i tu wcale nie musiał nikogo narażać, bowiem miał tyle tajemnych ukryć, gdzie Niemcy wcale się go tam nie spodziewali, np. w komórce na króliki u komisarza Policji, w oborach niemieckich gospodarzy itp. Pewnego razu zauważono go schodzącego po drabinie przeciwpożarowej na budynku magistratu wydostającego się ze strychu, ale zawsze był nieuchwytny, bo zanim policja przybyła już go tam nie było. Bezradność policji pogłębiało społeczeństwo niemieckie żyjące ciągłym strachem i zgłaszające obecność Świtniewskiego jednocześnie w dwóch, trzech różnych, odległych miejscach. Strachu szwabom dodawały pogłoski o pojawianiu się w okolicznych lasach oddziałów partyzanckich - bandytów, jak mawiali Niemcy, z którymi Świtniewski utrzymuje kontakt. Zdarzały się przypadki, że leśni osobnicy rzeczywiście pojawili się u niemieckiego gospodarza oddalonego od wioski zaraz po świniobiciu po to, aby zabrać mu mięso. Trzęsły się również portki ze strachu przed Świtniewskim Zygmondowi za przysługę, którą wyrządził Staszce w czasie pościgu i oddanie go w troskliwe niemieckie ręce. Później krążyły pogłoski, że policja niemiecka otrzymała list od Świtniewskiego, aby się o niego nie martwili, że zmarznie, bo ma buty lepsze od nich i jest dobrze ubrany.

W „Szkoła Pfeifera” natomiast w międzyczasie wszystko przebiegało normalnie, znaczyło to, że jeszcze kilku chłopców oberwało po buzi od szefa i chodzili z podbitymi oczyma, jak np. Rossa Edmund, Kęska Kaziu, Kaczmarek Marian i inni. Nowicki Kazimierz dostał również, ale miotłą po plecach od córki szefa Elizy i przy okazji naraził się na nasze drwiny. Chłopcy mówili:

- Można od szwaba oberwać i nie ważne to, że od kurdupla jakim Pfeifer był, ale oberwać od baby i to miotłą, a w dodatku po plecach - znak, żeś przed nią uciekał, to nie honorowo, to nie do przyjęcia. Kaziu, ty taki bohater, chłop 105 kg wagi?

Wiedzieliśmy wszyscy jednak, że na to rady nie było, a wypowiedzi kumpli to tylko żart dla podtrzymania humoru, ale jednocześnie przypomnienia Nowickiemu jego wcześniejszych słów buńczucznych, kiedy od szefa któryś z kolegów oberwał: „Ja bym nie pozwolił się dać bić!”

Wszyscy zresztą przekonani byliśmy, że Nowicki słusznie oberwał, zachowując się wobec koleżanki, pracującej jako służąca Zosi Majchrzak, jak cham ostatni. Zosia musiała pracować jak wół mimo młodego wieku i szczupłej budowy ciała, tyrała przez 14 godzin na dobę: nosiła pełne wiadra żarcia dla 80 sztuk świń, pełne kosze ziemniaków musiała nosić i wysoko dookoła wysypywać, doić 6-8 krów, sprzątać kuchnię i korytarz i pomagać przy gotowaniu posiłków dla 16 osób. We wspomniany wyżej dzień zdążyliśmy wszyscy chłopcy do kuchni na obiad, Nowicki jak zwykle na przedzie, przechodząc obok pompy z wodą, przy której Zosia czerpała wodę i miała już jedno wiadro pełne. Nowicki schwycił wiadro, napił się z niego wody, resztę wody wylał i puste wiadro postawił odchodząc do kuchni. Po jego odejściu od pompy pozostali chłopcy napompowali wiadra pełne wody i zanieśli do kuchni wyręczając Zosię. Zajście to zaobserwowała przez okno córka szefa Eliza, która z miotłą na plecach Nowickiego „wyjechała” z kuchni z krzykiem:

- Verfluchter Faulenzer!! (Cholerny leń!)

Od tej chwili Nowicki nie mógł stołować się u Pfeifera, bowiem Eliza nie zwlekając postarała się o kartki żywnościowe oddając mu je, aby sam mógł się żywić.

Rossa Edmund, którego wszyscy żartobliwie nazywali Edmondo Rosso z racji tej, że chwalił się tym, jakoby przodkowie jego z pochodzenia byli Włochami, oberwał lanie raz jeszcze, ale nie od szefa ino od klientów Pfeifera. Była niedziela, siąpił drobny deszczyk, przed południem do ogrodnictwa podjechały dwa wojskowe samochody, jeden osobowy z oficerami SS, a drugi ciężarowy pod plandeką z żołnierzami tej samej formacji. Przyjechali jak wstępnie zapowiedzieli po większą ilość kwiatów, zastając w pracowni trzech polskich ogrodników - Klemensa, Kęskę i Rossę. Jeden z oficerów podchodził blisko do każdego z ogrodników i zamieniał kilka słów, zrobił to z Klemensem, Kęską i Rossą ale tego ostatniego kopiąc w tak zwane cztery litery wyrzucił go z pracowni, z wiązką na pożegnanie:

- *Verfluchtes polnisches Schwein* (cholerna polska świnia)!

Nadchodzący w tym czasie z mieszkania szef był wydarzeniem tym mocno zaskoczony, ale spytał oficera:

- *Was wollen Sie von ihm* (co pan chce od niego)?

i usłyszał odpowiedź SS-mana:

- *Ich will nicht sehen diese Schwein* (nie chcę tej świni oglądać),

i chociaż Pfeifer próbował innego chłopca do pomocy przydzielić, oficer już nikogo nie chciał. Pfeifer z oficerami weszli do środka oranżerii wyszukując odpowiednich okazów kwiatowych, żołnierze donosili je do pracowni, gdzie Klemens z Kęską kwiaty pakowali układając w skrzyniach, a inni żołnierze odnosili do samochodu. W rzeczywistości nie o kwiaty tu chodziło, ale Klemens z Kęską zapakowali ukryty karabin maszynowy i środki opatrunkowe, które wojsko razem z kwiatami w skrzyniach zabrało. Karabin maszynowy ukryty był w tej kotłowni – pracowni w wymurowanym kanale z cegieł, który biegł wraz z rurą pod powierzchnią ziemi do kotła drugiej oranżerii. Po odjeździe obu samochodów Klemens z Kęską poczuli się swobodnie i poczuli ulgę, pozbywając się trefnego towaru, mieli miny bardzo zadowolone, a Rossa po powrocie do pracowni był wściekły. Przyjął postawę bokserką przed Kazikiem i Leonardem mówiąc:

- *Gdybym po wojnie tego szwaba dostał w swoje ręce, to nie zazdrościłbym mu tego rozkwaszonego nosa!*

i jeszcze dalej mówił:

- *A wy się nie uśmiechajcie, bo mogłoby i was to spotkać.*

Nie wyprowadzali go z błędu obaj chłopcy, bo wiedzieli że to czcze pogrożki, bo i tak by go bił, gdyby spotkał po wojnie. Później, kiedy już Rossa dowiedział się kto go kopniakiem poczęstował, to nie chciał wierzyć, że był to żołnierz AK przebrany za oficera SS, bo dlaczego tak mocno kopnął, że kość ogonowa jeszcze go boli. Rossa miał również żal do obu kolegów, dlaczego nie wtajemniczyli go w treść hasła i odzewu i za to że nie mógł dotknąć tego karabinu maszynowego.

Mijały tygodnie i powoli jesień się zbliżała, chociaż nikt z nas nie przypuszczał, że może to być już ostatnia jesień w okupowanej Polsce, ostatnia ale bardzo uciążliwa i niebezpieczna, szczególnie dla kwaterujących u Pfeifera.

Zmiana czasu policyjnego z letniego na jesienno-zimowy skróciła o godzinę wolny czas po pracy zmuszała chłopców udających się do miasta w celu załatwienia jakiejś sprawy do opuszczenia kolacji, aby w czasie wrócić z miasta.

Pewnego pochmurnego wieczoru jesienno-zimowego, a był to początek października 1944 roku, wracający z miasta Klemens i Kęska tuż przed godziną policyjną zauważyli przed sobą na szosie sylwetkę potężnego osobnika podążającego w tym samym kierunku. Człowiek ten zachowywał się dziwnie, bowiem kiedy chłopcy zbliżali się do tej postaci idąc po tej samej stronie szosy, osobnik ten przechodził na stronę drugą. W poblasku wychodzącego księżycza zza chmur choć na moment dostrzegli, że jest on ubrany w płaszcz wojskowy, kolorem podobnym do barw munduru polskiego. Przekonani obaj byli, że nie jest on Niemcem i wyraźnie unika zetknięcia się z ludźmi, więc idąc utrzymywali pewien dystans, ale w końcu przyspieszyli kroku dochodząc go bez słowa, z boku obserwowali. Po odezwaniu się tego człowieka chłopcy zorientowali się, że mówi po angielsku i nie reaguje na język niemiecki, z którego zna dwa słowa: „essen” i „schlafen”, o co chłopców prosił. Do pierwszej prośby nie mieli wątpliwości, aby jej nie spełnić, co się zaś tyczyło drugiej czyli spania, to nie było mowy, gdyż sami w tym zakresie byli kontrolowani. Po krótkim porozumieniu się chłopców Kęska przyspieszył kroku i zabierając chleb z kwatery, który koledzy z kuchni przynieśli, wręczył przybyszowi wracając na szosę i żegnając się z nim kazali iść mu dalej.

Po krótkim namyśle Klemens z Kęską doszli do wniosku, że muszą temu człowiekowi pomóc i spełnić jego drugą prośbę. Wystali rowerem za przybyszem młodszego od siebie kolegę, bo wówczas 18-to letniego Telesfora Grzeczkę, który przyprowadził do ogrodnictwa oddalającego się od miasta przybysza. Padła myśl, aby niepostrzeżenie wprowadzonego gościa na razie umieścić w szopie, która przeznaczona była do magazynowania mat słomianych do przykrywania okien inspektowych. Szopa była wysoka i miała jakby dwie kondygnacje, na dole znajdowały się taczki, skrzynie i narzędzia, a u góry na poukładanych drągach umieszczone były wspomniane maty. Miejsca było pod dostatkiem, bo szopa była obszerna, maty zaś leżały tworząc metrową przestrzeń do dachu, przy czym dostać się tam można było w narożniku szopy, po drabinie. Przez okres jesienno-zimowy szopa nie była prawie wcale odwiedzana przez pracowników, zamknięta na kłódkę, do której klucz znajdował się w kuchni pod pieczęcią pani Pfeiferowej, która klucz do kłódki wydała, jeżeli była uzasadniona potrzeba wejścia tam. Teraz po ukryciu w szopie oficera amerykańskiego, bo był to właśnie zbiegły z Oflagu Szubin Amerykanin, potrzeba wejścia do szopy była nawet kilka razy dziennie. Szefowa zaś zanim klucze wydała, musiała każdego kto po nie przyszedł tak przeegzaminować, że była potrzeba wejścia do szopy, która nie budziła wątpliwości, a następnie instruowała jak ją zamknąć i ile razy sprawdzić i że sama pójdzie skontrolować.

Nie było innego wyjścia, Klemens musiał wtajemniczyć w sprawę zbiegłego ślusarza Marcina Kaweckiego, który klucz do kłódki dorobił i była to czwarta osoba znająca tajemnicę ogrodników Pfeifera. Po pewnym czasie wtajemniczono osobę piątą, mianowicie siostrę moją Salomeę, która z domu przyniosła garnki, talerze i sztucce (nóż, widelec, łyżkę i łyżeczkę). Zaufanie Leonarda do mojej siostry było duże, bowiem Klemens do niej podchodził na poważnie, z zamiarem małżeństwa. Do tajemnicy dopuszczono i osobę

szóstą, którą był Bogdan Jułkowski, piekarz pracujący w ojca piekarni, którą Niemiec zabrał ojcu i Bogdan załatwiał nielegalną dostawę chleba. Siódmą osobą był gospodarz z Gałązewa, pod lasem mieszkający Nadolny, który dostarczał masło i miód.

W miejscowości Szubin był oficerski obóz wojenny dla jeńców alianckich, z którego przed kilkoma dniami zbiegli wszyscy oficerowie. Niemcy potrzebowali zaledwie trzech dni aby wszystkich zbiegów wyłapać, za wyjątkiem kapitana armii amerykańskiej, którego chłopcy w szopie u Pffeifera ukryli. Szubin to niewielkie miasto w połowie drogi między Bydgoszczą a Żninem, oddalone od Rogowa o około 40 kilometrów i do tego miejsca zdołał Amerykanin niepostrzeżenie dotrzeć. Szopa, w której ukrywany był oficer amerykański w pełnym obrysie znajdowała się w ogrodzie, ale jeden jej bok stanowił prostą linię z parkanem ogrodu, a narożnik jej stykał się z narożnikiem stodoły. Jeden bok szopy i jeden bok stodoły tworzyły połowę prostokąta, w którym znajdował się kierat do napędu maszyn w stodole, jak młocarnia lub maszyny do cięcia słomy na sieczkę.

Już wcześniej wspomniałem, że przerwa obiadowa trwała u Pffeifera godzinę i czas ten przeznaczony był na spożycie obiadu i odpoczynek, ale pod warunkiem, że szef nas nie spotkał po spożyciu obiadu na swej drodze, bo zaraz uszczęśliwiał jakimś zajęciem. Miał zawsze coś do przeniesienia, ułożenia lub porządkowania, najczęściej przerzucanie koku lub węgla.

Toteż po zjedzeniu obiadu każdy z nas starał się z kuchni jak najszybciej umykać i schować się do swojej kryjówki, aby można było resztę wolnego czasu spokojnie na wypoczynek wykorzystać. Moją kryjówką był właśnie narożnik szopy i stodoły, gdzie chowając się siałem na belce kieratu służącej do zaprzęgu koni i jego kręcenia. Miałem również sposób opuszczania tego miejsca bez spostrzeżenia ewentualnej osoby zbliżającej się do tej kryjówki. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że w szopie tej ukrywany jest oficer amerykański, któremu chłopcy musieli w jakiś sposób dostarczać żywność, a w tym przypadku obiad. Odbywało się to w taki sposób, że trzy porcje obiadowe, czyli Klemensa, Kęski i Grzeczki dzielono na cztery i ta dodatkowa - czwarta porcja przeznaczona była dla zbiega z obozu jenieckiego ukrywanego w szopie. Kazik Kęska starał się zawsze spożyć obiad najwcześniej i porcję tę niepostrzeżenie dostarczyć do szopy, a dwaj pozostali: Klemens i Grzeczka idąc z obiadu wstępowali po drodze do parownika ziemniaków, gdzie nabierali pełne kieszenie ziemniakami parowanymi dla świń i uzupełniali części obiadu oddanego dla utworzenia porcji czwartej dla Amerykanina.

Pewnego razu przed obiadem szefowa zaangażowała mnie do prac w kuchni, w której przenosiłem skrzynie z warzywami do robienia potraw i po skończeniu pracy postawiła obiad przed przygotowaniem porcji dla pozostałych chłopców. W tym dniu ja jako pierwszy obiad spożyłem i udałem się do swej kryjówki za stodołę, aby resztę czasu wolnego w spokoju wykorzystać. Nagle usłyszałem w ogrodzie czyjeś przyśpieszone kroki i w prześwicie między szopami dojrzałem sylwetkę Kazika zmierzającego w kierunku szopy łączącej się ze stodołą. Postanowiłem, jak to u nas było w zwyczaju, przestraszyć Kazika naśladując głos szefa, czekałem aby się jeszcze trochę zbliżył, ale zanim do tego doszło Kaziu półszepem zawołał:

- *August!*,

a w szopie zaszeleściła słoma i odezwał się męski głos:

- *Very much!*

Oczywiście natychmiast odstąpiłem od zamiaru wydobycia jakiegokolwiek dźwięku, aby nie popełnić jakiegoś głupstwa i opuściłem swą kryjówkę. Wiedziałem już, że szopie z matami słomianymi ktoś się ukrywa., ale również wiedziałem, że udział w tym ma na pewno mój przyszły szwagier- Klemens, który z Kęską trzymają się razem jak papużki nierozłączki, a w dodatku ostatnio dość dziwnie zachowując się.

Przy pierwszej okazji będąc z Leonardem sam na sam zapytałem go, kogo tam w szopie na maty przechowują. Chłop najpierw pobladał jak białe prześcieradło, a następnie poczerwieniał jak dojrzały pomidor i po chwili wystękał:

- *No tak, wiedziałem że baba tajemnicy nie utrzyma. Salcie ci powiedziała?*

Natychmiast wyprowadziłem go z błędu:

- *Nie obrażaj mojej siostry, bo od niej koźmi byś tajemnicy nie wyciągnął, a baty to wam, tobie i Kęsce się należą, za lekkomyślność.*

Ja o ukrywaniu kogoś w szopie dowiedziałem się przypadkowo od was, od Kęski przez waszą nieostrożność, i wam się porządne baty należą. Co by było, gdyby na moim miejscu „stary” był lub jego syn Kurt?

Przyznał mi Leonard rację, chociaż on nie był skory do przyznawania jej komuś, ale zaraz zaczął mnie pouczać, jak się mam zachować, aby tajemnicy dochować. Znowu mnie Leonard obraził tymi ostrzeżeniami, bo dopiero co dostał ode mnie reprimendę za lekkomyślność jaką okazali, a tu już próbuje mnie pouczać. Szybko się jednak Klemens zreflektował i tym razem naprawdę mnie przeprosił i dla udobruchania mnie, bo byłem wzburzony, zaproponował mi spotkanie z Amerykaninem. Tym sposobem stałem się ósmą osobą wtajemniczoną w sekret Klemensa i Kęski o przechowywaniu zbiega z oflagu szubińskiego.

Osobą dziewiątą wtajemniczenia naszego został „golibroda” z miasta, Tadeusz Strzelecki, który został zaproszony na jedną niedziel na godzinę 11.00, kiedy rodzina Pffeiferów udała się na nabożeństwo do kościoła ewangelickiego. Fryzjer przybył do ogrodnictwa, aby oficera amerykańskiego ostrzyć i ogolić, a ja również przyszedłem, aby się z nim spotkać, chociaż było to nieme spotkanie, owszem, toczyła się rozmowa, ale tylko między Polakami. Przyprohwadzony z szopy na „budę” Amerykanin, kiedy wszedłem przywitał się ze mną podając mi rękę z uśmiechem i słowami „Morning” czy coś w tym rodzaju i to była cała nasza rozmowa.

Krótko po tym spotkaniu ukrywającemu się w szopie oficerowi zaczęło dokuczać zimno i coraz bardziej skarżył się na chłód w czasie dostarczania mu posiłków przez Kęskę.

Nie pomogły dwa wełniane koce, które Amerykanin posiadał, kozuch który dostarczył gospodarz Nadolny oraz kilka płaszczy, które w rodzinach pozbierano i dostarczono. Chłopcy wiedzieli, że muszą znaleźć inną, cieplejszą kryjówkę dla swojego podopiecznego uciekiniera. Po krótkiej naradzie odbytej przez „radę starszych” postanowiono go na noce, które były bardzo chłodne umieszczać w oranżerii, w kąciu pod stelażem na przygotowanym legowisku. Pomysł ten miał żywot krótki, bowiem nasz szef Pffeifer kiedy cierpiał na bezsenność, wstawał, zapalał naftową latarkę przenośną i obchodził ogród, a przede wszystkim oranżerie, i tą, w której nocował Amerykanin. Zaczęto się również

zastanawiać nad tym co dalej czynić, aby zapewnić ciepło amerykańskiemu, ale też zabezpieczyć przed wykryciem go przez Niemców. Zastanawiano się również, w jaki sposób porozumieć się z Amerykaninem, kiedy nikt z nas angielskiego języka nie zna, a należałoby by z nim uzgodnić jednakową wersję tłumaczenia się na wypadek, gdyby Niemcy nas nakryli. Sposób na porozumienie się z nim ja znalazłem, przypominając sobie Miecia Kopeckiego, który się angielskiego języka uczył i teraz mógł pośredniczyć -tłumaczyć. Pomysł mój został przyjęty z entuzjazmem, ale przez Klemensa jeszcze ulepszony o to, że wszystko co do przekazania było Amerykaninowi Klemens na papierze spisał po polsku, Mieciu zaś na angielski przetłumaczył i to oddali oficerowi amerykańskiemu. Kopecki pisał literami drukowanymi i o takie litery prosił w odpowiedzi ukrywającego się, ten zaś poprawił wszystkie błędy i oba listy oddawał, ten który otrzymał, i ten który napisał. Problem porozumienia się został rozwiązany, ale dziesiąta osoba poznała naszą tajemnicę, a zbieg miał okazję do coraz większego narzekania na zimno i niewygodę. Linia obrony przed Niemcami na wypadek wpadki została uzgodniona, a ewentualną winę za ukrywanie zbiega przyjął na siebie Kaziu Kęska. On to zdecydował nie mając rodziny, która mogłaby być przez hitlerowców gnębiona, winę na siebie wziąć uciekając z ogrodnictwa, jak by pozostali konspiratorzy nic nie wiedzieli.

- Ja mogę - mówił Kaziu - takie ryzyko podjąć i gdyby zaszła potrzeba i drogę ucieczki wyrębać siekierką, którą na „budzie” zawsze pod ręką trzymam.

Zima do nas zbliżała się coraz bardziej wielkimi krokami i wszyscy przekonani byliśmy, że dłużej w szopie zbiega trzymać nie możemy, pytanie pozostało co dalej czynić, oddać go w ręce Niemców, czy ukrywać, a jeśli tak, to gdzie. Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna i ona malowała się na twarzach starszych kolegów - Leonarda i Kazika, bowiem między nimi dochodziło coraz częściej do „krótkich spięć” i z byle jakiej przyczyny pokazywali sobie zęby. Kazik nagle poweselał zaskakując wszystkich oświadczeniem:

- Zdaje mi się, że mam sposób rozwiązania problemu, ale muszę jeszcze coś sprawdzić!

Nastrój Kazika udzielił się nam wszystkim, chociaż nie mieliśmy pewności, że po sprawdzeniu Kazik nie zmieni zdania i nie pozostanie wszystko po starym, czyli nie znajdzie się miejsce dla umieszczenia amerykańskiego kapitana. Zaraz po pracy tego samego dnia Kazik opuścił ogrodnictwo za pomocą roweru nie czekając na kolację i wydając polecenie, abym nie wracał do domu, jeno na noc na ich „budzie” został. Ja z kolei poprosiłem siostrę, aby po powrocie do domu powiadomiła rodziców, że będę tej nocy z kolegami spał, bo mamy fajną zabawę - grę, w której i ja chcę wziąć udział. Kazik z drogi wrócił rozpromieniony i szczęśliwy mówiąc:

- No, chłopaki, dziś w nocy przeprowadzamy naszego kapitana do pewnej rodziny w Grochowiskach Książęcych, która zdecydowała się go ukrywać do końca wojny.

Nie znałem ich nazwiska, może i dobrze, ale wiedziałem że jest to bardzo liczna rodzina składająca się z 13 osób: dwoje dziadków, dwoje rodziców i dziewięcioro dzieci, a najmłodsza dziewczynka miała wówczas sześć lat.

Droga, którą przeprowadzaliśmy Amerykanina była w pewnych odcinkach drogą bardzo trudną i niebezpieczną, a w szczególności pierwsze dwa kilometry od ogrodnictwa do lasku, która była całkowicie odkryta i z daleka widoczna. Jedynym możliwym miejscem do ukrycia się były przydrożne rowy, suche, bezwodne. Cała droga od ogrodu Pfeifera do rodziny

w Grochowiskach Księżych liczyła 7 kilometrów, z tego dwa przez las, a za lasem trzy kilometry drogi porośniętej gęstymi krzewami, za wyjątkiem około jednego kilometra do domku pod lasem. Do akcji przeprowadzenia zbiega zostaliśmy wtajemniczeni wszyscy pracujący u Pfeifera, to znaczy cztery osoby, oraz kilka osób z rodziny przejmującej zbiega, zabezpieczając drogę za lasem.

Klemens z Kęską przez całą drogę wynoszącą 7 kilometrów prowadzili kapitana pod ramię, bowiem biedak od ciągłego leżenia kryjówce miał trudności w forsowaniu marszu mając nogi jak z waty. Ja z Telesforem Grzeczką zabezpieczaliśmy drogę do lasu, jeden obserwował drogę przed konwojem, drugi za konwojem i gdyby ktoś pokazał się na horyzoncie mieliśmy ostrzec konwój i chować się w rowie. Na szczęście nikt się nie pojawił i chować się nie było potrzeby, więc po dojściu do lasu wróciliśmy obaj na kwaterę - „budę” Leonarda i Kazika. Klemens z Kęską i Amerykaninem przebyli las bez ubezpieczenia wiedząc, że w tym czasie nawet drużyna niemiecka w nocy do lasu nie wejdzie ze strachu przed tzw. „banditen”. Drogę za lasem (3-4 km) ubezpieczali członkowie tej rodziny, którzy przygotowali schronienie zbiegowi.

Klemens z Kęską do rana pozostali w Grochowiskach Ks., a ja z Grzeczką po położeniu się do łóżek z wrażenia do godziny 5-tej nad ranem zasnąć nie mogliśmy, ale kiedy już zasnęliśmy to tak twardo, że Leonard z Kazikiem po powrocie z Grochowisk Ks. mieli trudności, by nas dobudzić.

Szczęśliwie się dla nas wszystkich stało, że na czas zmieniliśmy kryjówkę dla Amerykanina, bo po pierwsze przyszedł pierwszy i dość duży mróz, a po drugie coraz bardziej zaczęły krążyć plotki w mieście, że w ogrodnictwie Pfeifera działa międzynarodowa grupa operacyjna przeciw Niemcom. Mówiono, że alianci rzucili skoczków, oficerów angielskich i amerykańskich, którzy chętnych i odważnych chłopców polskich szkolą na dywersantów i do innych specjalnych zadań. Ochotnicy z miasta, co prawda skrycie, ale zaczepiali nas, prawie każdego ze „szkoły Pfeifera” o umożliwienie im dostania się do tej specjalnej grupy. Wieści takie i podobne krążyły w mieście, a i również dotarły do niemieckiej policji, która od tej chwili bardzo często zaczęła nawiedzać ogrodnictwo Pfeifera i węszyła, gdzie się dało. Żandarmi w dzień krążyli po całym ogrodnictwie, w szopach magazynowych i po oranżeriach, w nocy zaś przychodzili na kwatery chłopców i sprawdzali obecność. Kiedy spostrzegli wolne łóżko budzili wszystkich, pytając się po kolei gdzie jest chłopiec z tego łóżka i chociaż dowiedzieli się, że poszedł za potrzebą fizjologiczną, czekali tak długo aż wróci, aby o to samo spytać się przybyłego chłopca z ubikacji.

Niemcy stali się na plotki wrażliwi i każdą musieli sprawdzić, choć była czasem nedorzeczna, a pojawienie się w dodatku na tym terenie Świtniewskiego stawiało wszystkich Niemców na równe nogi i rewizję we wszystkich domach tej miejscowości.

Kęśce tymczasem po „wczasach” obozu Żabikowo włosy już normalnie odrosły, poszedł więc do fryzjera i kazał sobie wykonać ondulację na głowie ku ogromnemu zdziwieniu wszystkich kolegów z pracy i z miasta. I jak zwykle przy takiej okazji bywa, jedni twierdzili, że „szajba mu odbiła”, drudzy że zrobił to dla niepoznania go, a jeszcze inni, że po ondulacji mają go poznać osoby, które mają z nim nawiązać kontakt, pracujące w podziemiu. Kazik natomiast tym wcale się nie przejmował i nie dbał, co sądzą inni i znosił ironię otaczających go ludzi bez bólu i urazy, mówiąc:

- A mnie się takie włosy podobają.

Będąc niskiego wzrostu Kęska miał figurę bardzo szczupłą, a stopy tak małe, że każdy damski bucik mógł bez trudu na nie nałożyć. Toteż pewnej niedzieli po obiedzie ogolił sobie nogi, nałożył jedwabne pończoszki, damskie pantofle oraz suknię, a na głowę apaszkę z wypuszczonymi lokami. Późnym popołudniem, po umalowaniu ust zaproponował Klemensowi spacer z nim pod ramię po ulicach, tak aby znajomi mogli ich zauważyć, a szczególnie moja siostra Salomea, z którą na poważnie Leonard chodził. Tak się też stało, na rynku miasteczka doszło do spotkania tej pary z moją siostrą, która na ich widok przeżegnała się, mówiąc:

- Co się Wam zachciało? Kazik, sprzykrzyło się Tobie być chłopcem?

Zaskoczony tymi słowami Kaziu spytał:

- I ty mnie poznałaś, w tym przebraniu?

na co otrzymał odpowiedź:

- Twoja głębę poznałabym nawet o zmroku!

Kęska po dłuższej pogaduszce z moją siostrą i z Leonardem doszedł do wniosku, że eksperyment z przebraniem nie udał się mu i zniechęcony namówił Leonarda do powrotu na „bazę”.

Kiedy obaj powrócili do ogrodnictwa, przed swoją kwaterą spotkali kolegów, którzy jednak Kazika nie poznali, a Rossa podchodząc do zbliżającej się pary pocałował Kęskę w rękę mówiąc do Klemensa:

- Leonard, przedstaw mi tę panią.

Kazik zaś wysuwając swą rękę z uścisku Edmunda Rossy pośpiesznie opuścił towarzystwo wpadając na „budę”, a następnie wybuchnął głośnym śmiechem i krzykiem:

- Udało się, udało!!!

W międzyczasie reszta kumpli zbliżyła się do Leonarda z pytaniem, co to za „nitka” (w dzisiejszym czasie brzmiałoby to „co to za babka”). Odpowiedzią był potężny wybuch śmiechu Leonarda i powtórka jak echo -śmiechu Kazika dochodzącego z „budy” - kwatery. Ożywiony Kaziu wyskoczył z „budy” na ganek przed budynkiem jak z procy, na pół rozebrany z damskiej odzieży i wirując jak fryga z radości, że go chłopcy nie poznali. Przy następnych zetknięciach się Rossy z Kęską Kazik podstawił rękę Edziowi do całowania, a ten się złościł.

Mijały dni, tygodnie, przyszły następne, ale zbliżały się Święta Bożego Narodzenia już ostatnie w niewoli, choć wówczas jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Na święta część chłopców wyjechała do swoich rodzin, ci którzy mieli do domu bliżej, by razem z rodzicami lub rodzeństwem spożyć kolację wigilijną i razem spędzić kilkadziesiąt godzin. Inni, którzy do domu mieli bardzo daleko lub ci, którym w święta przypadły dyżury, pozostali na miejscu w ogrodnictwie.

W pierwszy dzień po świętach, kiedy wszystko do normy powróciło i chłopcy wymienili między sobą wieści, pełni nadziei spokojnego doczekania się końca wojny, do ogrodnictwa

przyszła mała dziewczynka szukająca pana Kęski. Dziewczynka była bardzo mała, miała zaledwie sześć lat i wchodząc do ogrodu natknęła się na Pfeifera, który spytał ją:

- *Czo szczechsz ?*

Nie wiedziała co ma powiedzieć, ale kiedy Niemiec pytanie powtórzył, odpowiedziała:

- *Kapustę.*

Pfeifer wziął dziewczynkę za rączkę, wyprowadził przez furtkę z ogrodu na podwórze i wskazując na budynek powiedział:

- *Icz tam, do kichni,*

co miało znaczyć „idź tam, do kuchni”. Tam rzeczywiście szefowa miała do sprzedaży warzywa na stelażu w korytarzu.

Szef nie potrafił po polsku rozmawiać, ale bardzo starał się, chociaż wychodziło mu to śmiesznie, na przykład mówił:

- *Choity pladek, lub Regowane,*

kiedy deszcz padał. Mnie kiedyś posłał do stodoły po siano, mówiąc:

- *Marok, nyjm koszuk, bryng glina!*

ale szefowa poprawiła go:

- *On głupi jest, przynieś siana, a nie gliny!*

Ale do rzeczy - dziewczynka schowała się za furtkę ogrodu i kiedy Pfeifer oddalił się w głąb ogrodu powróciła, pytając przechodnia o pana Kęskę, którego przywołano. Dziewczynka wręczyła mu karteczkę i ulotniła się z ogrodu. Kazik czytając przez nią doręczony liścik nagle zbladł, a następnie krew zaczęła mu napływać do twarzy, a ręce się tak trzęsły, że karteczki nie mógł utrzymać. Wieści były bardzo złe, bowiem z liściku wynikało, że w drugie święto Bożego Narodzenia Niemcy zrobili całych Grochowiskach Księżych rewizje, przetrząsając dokładnie wszystkie mieszkania i budynki, szukali prawdopodobnie Świtniewskiego, którego rzekomo ktoś w wiosce zauważył. Mama dziewczynki schowała i zaścieliła oficera u nich ukrywającego się w jednym z dziewięciu posiadanych łóżek. Kiedy szwabi przetrząsali dom tej rodziny rozwalili pościel na sześciu łóżkach pozostawiając trzy nietknięte, z których w jednym był schowany amerykański kapitan. Przeżycie tej rewizji przez rodzinę spowodowało napięcie nerwów na granicy wytrzymałości i doprowadziło panią domu do chwilowej utraty przytomności. Drugiej rewizji prawdopodobnie pani tej rodziny nie zdołałaby wytrzymać, dlatego przysłała Kęsce „ultimatum”:

- *Zabierzcie do jutra oficera z mego domu, albo go oddam w ręce szwabom.*

W przerwie obiadowej po otrzymaniu listu, po krótkiej debacie nad jego treścią starsi chłopcy - Leonard i Kazik postanowili jeszcze tej nocy przetransportować Amerykanina z powrotem do ogrodnictwa Pfeifera, ale tym razem umieścić go razem nimi, na ich kwaterze.

Pomieszczenie to miało okienko od strony głównego ganku i do pokoiku tego przez nie mogło o wnętrza zajrzeć nawet małe dziecko, bo osadzone było na wysokości 70 cm od

podłóża. Na szczęście okienko to miało wewnętrzne okiennice, które na okres zimowy chłopcy wewnątrz zamykali na haczyk i nie budziło to żadnych podejrzeń. Wejście na kwaterę prowadziło przez kotłownię kanałową ciepłarni, do której schodziło się po pięciu stopniach w dół i kierując się w lewo, trzy stopnie w górę prowadziły do drzwi wejściowych. Wnętrze kwatery było nie duże, od drzwi 50 cm w prawo stał okrągły, żelazny piecyk zwany u nas „kurierkiem”, a metr na wprost pierwsze i drugie razem zestawione łóżka, a za nimi 35 cm ganek, licząc od ściany. Po lewej stronie od wejścia ławka i stół stojący pod oknem niedużej wielkości, kwadratowy, za nim zaś szafa sięgająca prawie do przeciwległej od wejścia ściany, do której prowadził drugi ganek szerokości 30 cm między szafą a szczytami łóżek.

Decyzja powrotnego przetransportowania obozowego zbiega do ogrodnictwa z Grochowisk Ks. była nieodwołalna jeszcze tej nocy przeprowadziliśmy go bez przeszkód, umieszczając w kwaterze wyżej opisanej. Tak więc trzech mężczyzn : Leonard, Kaziu i Amerykanin spali na dwóch łóżkach i nie było to największym problemem, ale chowanie się oficera pod łóżko, wciskającego się na ganku 35 cm szerokości przy ścianie naprzeciwko drzwi wejściowych – w przypadku zbliżania się do kwatery osoby niepożądaney. Kiedy Leonard z Kazikiem opuszczali rano swą kwaterę udając się do pracy drzwi wejściowe kwatery zamykali na kłódkę od strony kotłowni, czego dotychczas nie czynili i to również mogło być podejrzanym. W przypadku, gdy do tego pomieszczenia musiał ktoś niewtajemniczony wejść, drzwi otwierano dopiero wówczas, gdy Amerykanin wcisnął się już pod łóżko, bo drzwi zamykali na skobel od środka będąc na kwaterze również. Tak więc życie całej trójki od tego czasu było bardzo trudne, ale kiedy obaj Polacy byli w pracy zbieg miał większą swobodę, ale ciszę zachować musiał, aby ktoś nie posłyszał. W wolnych po pracy chwilach Leonard z Kazikiem najczęściej przebywali na kwaterze ogólnej pozostałych pracowników Pffeifera, dając możliwość swobody Amerykaninowi. Stale przebywanie obu chłopców - Klemensa i Kęski na kwaterze ogólnej, gdzie miało swe pomieszczenie sześć osób, powiększało ciasnotę i zaczęło prawnych tubylców denerwować. Dochodziło z tego tytułu do częstych spięć, a czasem i kłótni, co zresztą Klemensowi było na rękę, bowiem szukali oni obaj z Kęską zaczepki, aby się pogniewać i pozbyć się wizyt na swojej „budzie”, Pewnego razu na tej ogólnej sali doszło do poważnego spięcia pomiędzy Rossą a Klemensem, który sztucznie awanturę wywołał i któremu Edmund zarzucił, że mając swoją „budę” bez przerwy u nich przebywają robiąc im bałagan i ciasnotę, sami zaś swoje pomieszczenie zamykają. Oprócz mnie i Telesfora nikt więcej nie miał prawa wiedzieć i znać prawdziwą przyczynę awantury wywołanej przez Leonarda.

Nadszedł nowy rok 1945, rok pełen nadziei i oczekiwań lepszego jutra dla Polaków, dla nas wszystkich, chociaż dla Leonarda i Kazika święta te były smutne, bowiem obaj musieli pozostać na miejscu z racji kwaterowania na swej „budzie” zbiega. Klemens i Kęska, choć poróżnieni z pozostałymi kolegami, zaoferowali w święto Nowego Roku przyjęcie dyżurów, choć przypadają one innym chłopcom, wiedząc że ruszyć się nie mogą. Propozycja została chętnie przyjęta i oprócz wszystkich wolnych i ci dwaj do swych domów udali się, a gniew jak mgła rozproszył się i znowu nastąpiła jedność.

Do bazy po świętach wszyscy zdrowi powrócili, pełni wrażeń i wieści w swych stronach uzyskanych, którymi z wszystkimi chętnie się dzielili, snując swe marzenia na przyszłość po wojnie. Wrażenia te zatarły całkowicie pamięć o niesnaskach, które dzieliły mieszkańców

obu kwater i znowu bez przeszkód Leonard z Kazikiem mogli przebywać teraz na kwaterze ogólnej.

W dniu 7 stycznia, a była to niedziela, w oczekiwaniu na kolację zebraliśmy się wszyscy razem w ogólnej kwaterze pracowników siadając gdzie kto mógł. Jedni na ławach przy stole grając w karty, inni siadali na łózkach opowiadając różne anegdoty, kiedy nagle drzwi się otwały na oścież, a na „budę” wpadł syn Pfeifera - Kurt, który kręcił się niecierpliwie i wreszcie spytał się Klemensa, kiedy pójdzie do siebie. Klemens grając w karty odpowiedział, że teraz nie pójdzie, bo zaraz będzie kolacja, a on musi grę dokończyć.

Rzeczywiście, jakby na zawołanie Zosia Majchrzak nie wchodząc na „budę” za drzwiami głośno zakomunikowała: „KOLACJA!” i całe to towarzystwo z miejsca ruszyło w stronę kuchni. Kurt również udał się razem z nami do budynku mieszkalnego swych rodziców i po chwili wszedł do jadalni. Po kolacji ja wspólnie z dziadkiem Andrzejewskim udaliśmy się do miasta, każdy do swego domu, idąc po miękkim, świeżo padającym śniegu, nie wiedząc co się w ogrodnictwie u Pfeifera dzieje. Tymczasem po kolacji Kazik z Leonardem wrócili już na swoją „budę” i siadając spokojnie przyglądali się oficerowi amerykańskiemu spożywającemu przyniesioną przez nich kolację. Po pewnej chwili usłyszeli pisk zawiasów otwierającej się furki ogrodowej i czyjeś kroki zmierzające do ich kwatery. Amerykanin wcisnął się niezwłocznie pod łóżko na przeciwległym od drzwi przyściennym ganku, Kazik wysunął ławę zza stołu tarasując ganek doprowadzający do drugiego ganku za łózkami, udając pisanie listu, a Leonard przegrzebywał haczykiem w piecu. W otwierających się drzwiach do izby ukazał się Kurt, który zaczął się rozglądać po kątach, a nawet pod stół zajrzał, dziwnie zachowując się. Leonard nie zwlekając spytał się Szwabka:

- Szukasz czegoś Kurt?, a ten przeciągając rękę;

- Cooo? Prawideł do butów chciałem pożyczyć, bo buty w śniegu trochę się zdeformowały.

Klemens precyzyjnie się obok niego do szafy i otwierając przyziemną szufladę wyjął prawidła i kładąc je przed Kurtem powiedział:

- To powiedz, pożyczę. Zawsze ci je pożyczałem, to i teraz. A przecież pod stołem nie leżą tylko są ułożone w szufladzie.

Kurt wysłuchał Klemensa morały, ale nie kwapił się do wyjścia, tylko na ławie usiadł i zachodziła obawa, że może oddech oficera leżącego pod łóżkiem usłyszeć. Zaniepokojony tym faktem Kęska zaproponował chłopcu grę w karty, która była Kurta ulubionym zajęciem, przy czym mocno ręką w stół uderzał, aby oddech oficera zagłuszyć. Gra trwała niedługo, bo przerwało ją głośne wołanie zza okna szefa, czyli ojca chłopca:

- Kchort! (Kurt!)

i Pfeifer junior zabierając z ławy prawidła wyskoczył z izby jak z procy. Minęło jeszcze kilka minut od odejścia Kurta, zanim Amerykanin wyszedł spod łóżka, ucichł również gwar z drugiej izby ogólnej znajdującej się za cieplarnią i wszyscy zaczęli przygotowywać się do snu. Po chwili, po schodach do piecowni usłyszeli wszyscy troje kroki czyjeś i z przerażenia zrobiło im się gorąco i powstał wielki ruch. Amerykanin wciska się pod łóżko, Klemens chwycił miotłę do zamiatania, a Kęska buty jakby do czyszczenia i zaczęli się przed drzwiami kręcić utrudniając Kurtowi widok wciskającego się za łóżko oficera. Kurt zbliżając się do stołu zdjął z parapetu okna kijek z leszczyny, który będąc to wcześniej zostawił i szybko

z izby wyskoczył. Duszno się w izbie zrobiło i wszyscy zaniemówili, czekając z jaką misją naprawdę Kurt przyszedł i narzuciło się pytanie, czy zdążył się kapitan ukryć, czy Szwabek dojrzał go czy też nie, czy celowo zostawił kijek i wreszcie czy przed kolacją nie był pod drzwiami i mimo zamkniętych nie usłyszał w izbie szmeru lub hałasu. Klemens nie czekając na rozwiązanie tych zagadek wyszedł z izby do kotłowni podzucić koks, mając w tym dniu dyżur, do Kazika powiedział:

- *Rób teraz, coś zamierzał.*

Przy otwartych drzwiach kotłowni oranżeryjnej katem oka Leonard dostrzegł zmierzającego w jego kierunku Pfeifera, który jeszcze przed progiem kotłowni rzucił pytanie:

- *Klemens, ist hier ein Fremde?* (czy jest tu ktoś obcy?),

ale Leonard odpowiedział:

- *Nein, ich weiss nicht.* (nie, ja nic nie wiem).

Pfeifer chwycił Klemensa za rękę i pociągając go za sobą ruszył w kierunku ich kwatery mówiąc:

- *Ja, ist!* (tak, jest!)

Po drodze Leonard zasugerował coś szefowi, mówiąc:

- *Ja nie wiem, może Kęska kogoś przyprowadził?*

Pfeifer wszedł do pomieszczenia, wcisnął się ganeczkiem między szafą a szczytami łóżek na ganek poza łóżko i szarpiąc za ramię ukrytego tam Amerykanina wołał:

- *Ej! Chocz!*

a kiedy oficer wyszedł i stanął obok szwaba Pfeifer odskoczył, jak od ludojada. Przy wysokim potężnym chłopisku szef nasz wyglądał jak Dawid przy Goliacie, bo różnica wzrostu między nimi wynosiła około 40 cm. Na widok munduru wojskowego, który ukrywający się miał na sobie, Pfeifer wycofał się dalej do tyłu i chwyciwszy Klemensa za rękę wyciągnął go na zewnątrz budynku. Próbującego wydostać się za nimi z izby Kęskę Pfeifer wepchnął z powrotem do pomieszczenia i drzwi przed nim zatrzasnął. Następnie szef zbudził całą swą załogę z drugiej izby i porozmieszczał ich dookoła „budy”, w której Kęska z Amerykaninem siedział, kazał chłopcom drzwi wyjściowe mocno trzymać mówiąc:

- *Fest halten!*

Szefowa przyniosła mężowi fuzję myśliwską a sama ujęła dłońmi bryłę szlaku stając w narożniku budynku, córka szefa Eliza poszła do mieszkania telefonować na policję. Tymczasem biedny Kazik Kęska z zachowania szefa zrozumiał, że jest podejrzanym i musi wiać zanim policja przyjedzie. Czas upływał, policji nie widać, a Pfeifer coraz bardziej zdenerwowanie swe okazuje i kiedy Kęska próbował drzwi uchylić szef zawsze przyciskał je do ościeży, krzycząc na chłopców:

- *Fest halten!*

Nie mógł jednak Pfeifer w miejscu ustać i dreptał, to metr drogi w lewo od drzwi, to w prawo i wreszcie oddalił się. Wystarczyło to aby chłopcy mogli lekko uchylić drzwi, a Kazik

zostawiając oficera wewnątrz sam wymknął się i udał niepostrzeżony przez Pfeifera w głąb ogrodu mając na nogach tylko ranne pantofle. Po kilkunastu minutach do ogrodnictwa przybyło z miasta sześciu żandarmów i w tym gronie również sam komisarz, którzy z pomieszczenia wyprowadzili zakutego w kajdany oficera amerykańskiego udając się z nim do miasta. Klemens w czasie oczekiwania na policje również mocno denerwował się, ale dla zabicia czasu chodził od kotłowni do kotłowni przegarniając żar i dorzucając pod kocioł koks. Nie widział kiedy Kazik uciekł z izby, jak również kiedy żandarmi wyprowadzili Amerykanina i poprowadzili go do miasta na komisariat. Klemens wrócił na swą kwaterę już po wszystkim, kiedy panowała zupełna cisza, pozostał w pomieszczeniu zupełnie sam. Początkowo przypuszczał, że Kazik gdzieś poszedł, ale kiedy minęło więcej czasu, zaczął się zastanawiać, zbiegł czy też aresztowano go. Nie wiedział co ma czynić, pytać się szefa gdzie jest Kazik, czy też milczeć. Jeżeli Kazika aresztowano to lepiej byłoby nie pytać, aby się nie zainteresowali nim, jeśli zbiegł i on tego nie zgłosi to będzie miał ogromne przykrości. Długo jeszcze czekał na Kazika przypuszczając, że nie mógł uciec, bo jego kurtka wisi na wieszaku a buty stoją pod ławą toteż nie mógł w laczkach uciekać ani aresztowany zostać. Umył się Klemens i pacierz odmówił kładąc się do snu, ale bardzo długo zasnąć nie mógł.

Na drugi dzień rano, a był to już 8 stycznia 1945 roku, na wszelki wypadek Leonard zgłosił szefowi nieobecność Kęski, ale nie zrobiło to na Pfeiferze najmniejszego wrażenia, jakby nie słyszał. Upewniło to Klemensa, że Kazika aresztowano, ale za kilkadziesiąt minut szef zbliżył się do Leonarda z pytaniem:

- *Klemens, wo ist die Kęska?* (gdzie jest?)

Odpowiedź Klemensa brzmiała:

- *Ich weiss nicht.* (ja nie wiem).

Pytanie szefa o Kęskę upewniło Leonarda, że Kazik musiał jak widać zwać, bez użycia siekiery, którą wygrażał, tylko w czym - buty jego stoją a kurtka wisi. Leonard postanowił w przerwie obiadowej dokładnie sprawdzić, co Kazik zabrał uciekając, tymczasem Rossa poinformował go, że przy parkanie w ogrodzie leżą Kazika nocne pantofle, a za parkaniem widać boso ślady na śniegu w kierunku lasu. W przerwie obiadowej Leonard dopatrzył się, że owszem Kazika kurtka wisi, ale jego tej lepszej kurtki nie ma, czyli Kęska jego kurtkę zabrał, a buty wziął swoje, te świąteczne z szafy. Swoje spostrzeżenia Leonard postanowił przed wszystkimi zataić, niech chłopcy oraz szwaby myślą że Kazik boso i na wpół ubrany zbiegł z firmy. Dla Klemensa od wieczoru tego dnia rozpoczął się okres prawdziwej gehenny zgotowany przez żandarmów, bowiem przez okres prawie dwóch tygodni trzy razy dziennie był „krwawo” przesłuchiwany, rano od godziny 5.00 do 7.00, w południe od 12.00 do 14.00, a wieczorem od 18.00 czasem nawet do godziny 23.00, z tym, że wieczorem żandarm go do ogrodnictwa odprowadzał.

Metody przesłuchiwania szwabi stosowali różne: raz rozpoczynali przesłuchanie w sposób bardzo łagodny kończąc je biciem, drugi raz poprzez mocne uderzenie u progu komisariatu. Za każdym prawie razem przesłuchiwała inna osoba, raz w języku niemieckim z tłumaczem, innym razem w języku polskim, raz osoba w mundurze, drugi raz w cywilnym ubraniu.

Klemens choć słał się na nogach od bicia i przedłużających się pytań i był u kresu sił, zawsze trzymał się jednej wersji w odpowiedziach. Po tygodniu przesłuchań Leonarda trudno było poznać, przede wszystkim był u kresu sił, nerwowo wyczerpany, w samotności

mamroczący coś pod nosem, stojącego na nogach trzeba było budzić jak ze snu, czasem szedł w kierunku miasta, aby z drogi wracać się do ogrodu.

W drugim tygodniu przesłuchania były rzadsze, ale Leonard i tak, choć nie wzywany, szedł do miasta i kiedy sobie uświadomił, że niepotrzebnie - wracał do pracy. Było widać, że Klemens potrzebuje pomocy, opieki i wsparcia od kogoś z dużym autorytetem, jak pan Śledziński, ale kontakt z nim był w ogóle niemożliwy i niebezpieczny, bo Leonard był obserwowany.

Najbliższą mu w tym środowisku osobą byłem ja, przyszły szwagier, ale dla niego, jak mu się wydawało, młokos o 7 lat od niego młodszy, więc czego może się spodziewać. Kiedyśmy jednak znaleźli się sam na sam, żalił się przede mną i mówił:

- Maryś, ja już nie wytrzymam. Chyba ze sobą skończę, bo nerwy już mi nie wytrzymują chwilami dostają „świdra”. Nie wiem co mam robić.

Ze łzami w oczach, a chwilami z łkaniem, powiedział:

- Mam tylko dwa wyjścia: przyznać się albo odebrać życie, bo nie chcę rodziny narażać. Do nich również się dobiorą.

Ja natychmiast mocno nim potrząsnąłem i krzyknąłem:

- Co ty wygadujesz! Masz i trzecie wyjście, najskuteczniejsze - trzymać się tak dalej! A o tym wcale nie myśleć. Co ty wygadujesz - prawiem dalej - O czym ty myślisz! Teraz, kiedy już wygrateś? Niemcy już nic zrozumieć nie mogą. Twoja wersja i Amerykanina zgadza się, a przecież porozumieć się nie mogliście, bo ty tylko język polski znasz i słabo niemiecki, a on angielski i francuski!

Niemcy nie trudziliby się z tobą męczyć w tak długim przesłuchaniu. Gdyby cokolwiek wiedzieli, to „w czapę” i basta, nie musieliby szukać twego przyznania się lub potwierdzenia ich wiedzy. Jak widać, nie wiedzą jak sprawę tę załatwić aby wyjść z niej z twarzą i zakończyć, tymczasem Kaziu zwał i do dziś go nie mają na co chyba najbardziej liczyli.

Dowodem na to, że chcą sprawę zakończyć jest fakt, że rzadziej już cię na komisariat wzywają więc trzymaj się, a przekonasz się, że wyjdiesz z tego wolny! Klemens po tej rozmowie ze mną odżył, nabrał ochoty do życia, poweselał, a nawet zaczął czasem sobie w pracy pogwizdywać modne szlagiery, uśmiechał się oraz wszczynał z kolegami rozmowy, zaś do mnie Leonard nabrał szacunku i już nie traktował mnie jak gówniarza.

Policja istotnie jeszcze tylko kilka razy Klemensa przesłuchiwała, ale już łagodnie, grając na uczuciach religijnych, że nie powinien kłamać, bo spotka go za to kara Boża. Wreszcie przeprowadzili rozmowę przy pomocy tłumacza, że im w ogóle nie o amerykańskiego oficera chodziło, ale o prawdę, i jeśli się dowiedzą że Leonard kłamał choćby w jednym słowie, to będzie biedny. Spisany protokół przesłuchania tłumacz po polsku zinterpretował i przetłumaczył, a po podpisaniu kazali Leonardowi iść do pracy, życząc mu aby się więcej z nimi nie spotkał.

Intensywne poszukiwania Kęski w tym czasie nie ustały i nadal trwały, policja zaś często gościła u Pfeifera wypytując innych kolegów, czy Kazik miał jeszcze innych znajomych.

Kazik natomiast w tę tragiczną noc na bosaka dotarł do lasu, gdzie obuł buty i założywszy kurtkę, jeszcze tej nocy dotarł do Grochowisk Księżych do znajomej rodziny, u której przez pewien czas ukrywał się Amerykanin. Miał chłopak wielkie szczęście, bowiem trafił na czas kończącego się okresu przepustki jednej z córek tej rodziny wywiezionej na Pomorze do kopania okopów i umocnień wojskowych, tzw. EINSATZ. Kiedy Kazik pojawił się w mieszkaniu tej rodziny dziewczyna ta przygotowywała się do drogi powrotnej na Pomorze, aby wrócić do pracy z przepustki.

Martwiła się, jak samotnie w nocy dotrze do Żnina do pociągu, który znajdował się 8 kilometrów od jej rodzinnego domu, bo na przepustkę przybyła z koleżanką z tej samej miejscowości, która zachorowała i zabrano ją do szpitala. Przepustka i bilet kolejowy wystawione były na dwie dziewczyny, a wracać musiała obecnie Renata sama - takie było imię dziewczyny. Kazik problem Renatki rozwiązał przebijając się za dziewczynę w ubiór otrzymany od jednej z sióstr Renaty, zajął miejsce koleżanki przebywającej w szpitalu. W drodze na ENSATZ Renata zapoznała Kazika z sytuacją jaka panowała tam, na budowie tych umocnień i kto robotami kieruje, mianowicie jest to polski inżynier Rembacz, spec od fortyfikacji, który również przymusowo robotami kieruje. Niemieccy oficerowie projektują te umocnienia i raz w tygodniu lub w dwóch tygodniach przyjeżdżają na budowę sprawdzać prawidłowość i terminowość wykonywanych robót oraz dostarczają następną część dokumentacji. Rembacz jest gorącym patriotą Polski i bardzo dobrym człowiekiem, troszczącym się o nich, polskich robotnic i robotników, ale i pomaga w czym może miejscowej ludności polskiej. Renata wiedziała, że na pewno przyjdzie z pomocą Kazikowi. Po przybyciu na miejsce „obu dziewczyn” Renatka udała się oddać przepustkę i zdać relację kierownikowi robót Rembaczowi i poinformowała go o Kaziku. Uprzedzony kierownik wezwał Kęskę do swego biura, wydał męski ubiór nakazując mu się przebrać i zrobił z niego stangreta, który woził Rembacza po budowie i dbał o sprzęt i czystość konia.

U Pfeifera natomiast życie toczyło się dalej, choć widać już było, że Niemcy z tonu spuścili, a szczególnie) widać to było w zachowaniu się naszego szefa, który chodzi trochę przygłuszony, choć do pracy nas po staremu gonił. Syn jego natomiast, Kurt, po aresztowaniu Amerykanina już nigdy z nami razem nie pracował i unikał z nami spotkania, kogokolwiek z nas spotkał na swej drodze, wołał z niej zawrócić. Nie przychodził już na „budę” ani przed kolacją, ani po, czasem spoglądał skrycie przez okno spoza firan.

Ucieczka dwóch mężczyzn - Świtniewskiego i Kęski - z jednej tak niewielkiej miejscowości oraz bezskuteczne ich poszukiwania napędziły Niemcom nie mało strachu. Pewnego dnia kolega nasz pracujący w gospodarstwie u Pfeifera Florian Gramza, który już dość dobrze język niemiecki opanował, miał za zadanie oskrobywać z piasku partię buraków pastewnych brukwi do poszatkowania dla bydła. Czynności te wykonywał w piwnicy pod budynkiem mieszkalnym Pfeiferów i przez uchylone drzwi piwniczne posłyszał rozmowę szefowej z zakonnicą niemiecką w korytarzu. Rozmowa toczyła się między tymi kobietami na temat zbiegów, to jest Świtniewskiego i Kęski i o niemocy niemieckiej policji oraz zuchwalstwie obu mężczyzn. Mówiły również o pojawieniu się w lasach, jak się wyrażały „bandytów”, rabujących niemieckich gospodarzy, najczęściej zabierając cielęta i świnie. Policja jest za słaba, aby z lasów ich przepędzić lub wyłapać i zlikwidować, a tymczasem oni napadają na komisariaty w miasteczkach zabierając im broń, a nawet na niewielkie oddziały wojskowe.

Przyjemnie nam było słuchać takich wieści, których słuchaliśmy z opowiadań czy relacji Florka, a które on podsłuchał z opowiadań Niemek, które ubolewały, co ich dalej czeka. Oczywiście były to wieści niejedne, które do nas docierały i były dla nas Polaków miłe, bo dopatrywaliśmy się końca wojny, np. klęska afrykańskiego korpusu, klęska stalingradzka i inne. Wojna trwała jednak dalej, myśmy musieli pracować, słuchać niemieckich szefów aby przeżyć, chociaż wielu jeszcze rodaków życie swe straciło, czasem bez potrzeby, z lekkomyślnego działania, jak chociażby Świtniewski Stasiu.

W dniu 18 stycznia 1945 roku w godzinach wieczornych ukrywający się skutecznie dotąd Stanisław Świtniewski zakradł się do stajni niemieckiego gospodarza Konkola Karola w Rogowie, gdzie jego parobcy mieli kwatery. Stach wyczekał chwilę kiedy dwaj parobcy udali się na kolację i wówczas próbował przebrać się w świąteczne ubranie jednego z nich. Ofiarami tej kradzieży mieli być, a raczej jeden ze Stacha kolegów Danelski, nie pamiętam imienia, i Janek, którego nazwiska nie znałem, bo nie był on z Rogowa. Do kradzieży nie doszło, bo spłoszyli go obaj powracający z kolacji chłopcy i chociaż nic im nie zginęło postanowili Świtniewskiemu nie darować. Gonili go po polach tak długo, aż dopadli go zmęczonego w pobliskiej stercie słomy i trzymając go za oba ramiona wywlekli ze sterty. Świtniewski był jak już wspomniałem ich dobrym kolegą, ale mimo to i mimo błagania jego, aby puścili go, siłą zawlekli do komisariatu i oddali w ręce żandarmów, którzy bez wyroku, na ulicy go niezwłocznie zastrzelili.

Jak się później okazało policja pośpiesznie przygotowywała się do ewakuacji komisariatu i z braku czasu na zajęcie się nim dokonali na Świtniewskim bestialskiego mordu strzelając w bok głowy i zostawiając swa ofiara ulicy.

W piątek 19 stycznia, czyli w dniu następnym, nad ranem żandarmi cichaczem opuścili komisariat udając się samochodem w kierunku zachodu, nie informując nawet swoich współziomków o niebezpieczeństwie nadciągającego frontu. Powiadomiona o śmierci Staszka jego siostra i o tym, że zwłoki leżą na ulicy, przybyła z ręcznym wózkiem pod komisariat i zabrała ciało, chowając je na cmentarzu w zbitej z desek skrzyni, bez księdza, którego nie było w okolicy.

Po wkroczeniu armii radzieckiej do Rogowa obaj zdrajcy i kolaboranci Stasia Świtniewskiego z miasta zbiegli i dopiero po kilkunastu dniach Danelski wrócił, ale już jako funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa. Siostra zamordowanego była bezradna w dochodzeniu sprawiedliwości, bo zgłoszenie przestępstwa Danelskiego i tego drugiego chłopaka nie miało znaczenia bez świadków. Owszem, świadkowie byli, którzy widzieli obu sprawców wlekących na komisariat policji Świtniewskiego, ale po powrocie Danelskiego „ubowca” zaprzeczali, że byli świadkami tego wydarzenia, choć ona próbowała ich o to uprosić i do sądu podać.

U Pfeifera natomiast w dniu tym, czyli 19 stycznia, od samego rana zaraz po śniadaniu zostałem wysłany na furze pełnej obornika powożonej przez Sylwestra Gramzę na łąki oddalone o 1 km od gospodarstwa do roztrząsania obornika. Organizacja tego zadania była następująca: Florian Gramza i Kazimierz Nowicki nakładali w podwórzu obornik na wozy, Sylwester powoził końmi i hakiem ściągał obornik na kupki, a ja roztrząsałem z kupek po całej łące. Jeden taki kurs od podwórza na łąkę i powrót na podwórze trwał około 45-50 minut. Niemiec miał nadmiar obornika, którego na ornych polach zużyć nie był w stanie, wobec czego całą nadwyżkę zużywał do nawożenia łąk. Czynił to bardzo późną jesienią albo

zimą, aby na wiosnę wyplukany obornik i wysuszoną mierzwę zagrabić i zabrać do ponownej ściółki pod krowy lub świnie. Pamiętam ten dzień, który był bardzo pogodny i słoneczny i jak na tę porę roku bardzo ciepły, a była to druga połowa stycznia. Około godziny 10.00, po kilku takich kursach fur na łąkę i z powrotem spodziewałem się, że Sylwester przywiezie dla mnie drugie śniadanie, ale czekałem bezskutecznie. Oczekiwanie moje na przyjazd fury i na otrzymanie posiłku wydłużało się i minęła godzina, dwie godziny, a Sylwestra nie było widać. Rozgrzane moje ciało na skutek intensywnej pracy zdążyło już mocno ochłodzić się i mimo założenia na siebie kurtki, którą w czasie pracy zdjąłem, zacząłem pomału marznąć. Zastanawiałem się, co mogło się stać, że czasem tym można by prawie trzy kursy obdzielić, a tu Sylwestra jak nie widać, tak nie widać i bez przyczyny Pfeifer nie dopuściłby do takiego opóźnienia.

Było już blisko południa kiedy w oddali na szosie spostrzegłem szybko jadący wóz, ale załadowany niewielką ilością obornika. Kiedy fura zbliżała się coraz bardziej do łąki dostrzegłem tajemniczą ale uśmiechniętą twarz Sylwestra, który widać, że chce się z kimś podzielić jakąś wieścią i to mnie jeszcze bardziej zadziwiło. Po przybyciu na łąkę Sylwester podał moje śniadanie mówiąc:

- Jedz spokojnie, ja ten gnój rozrzucę i zaraz wracamy do bazy. Koniec z nawożeniem łąki! Chłopaki smarują osie wozów i zakładają pałki i plandeki. Mamy rzekomo odstawić zboże do Janowca Wlkp., tak stary powiedział, ale po co plandeki przy takiej pięknej pogodzie? Wszystko wskazuje na to, że szwabi będą pośpiesznie uciekać, ruch taki panuje u wszystkich bauerów na całej kolonii.

Stary kazał mi powiedzieć tobie, że po przyjeździe do bazy masz się udać do domu i przygotować do drogi, będziesz powoził w jednego konia wóz resorak (rolnswagen), a ja dwoma końmi furę z plandeką. I tu znowu widać, że stary nie mówi prawdy! Do Janowca Wlkp. odległość wynosi zaledwie 13 km, więc po co się do drogi przygotowywać w bieliznę, ręczniki i ty m podobne rzeczy? Po powrocie z łąki zauważyliśmy furę i resorak już całkowicie oplandekowane i równolegle ustawione obok siebie. Mnie osobiście jednak martwiła podróż, która mnie czekała w nieznanym kraju i że muszę się rozstać z rodzicami i rodzeństwem nie wiadomo na jaki okres, a co dalej będzie Bóg jeden wie. Obawy moje były jednak płonne, sam do domu przygotowywać się nie poszedłem czekając aż dostanę od Pfeifera polecenie, tymczasem szef swoją pierwszą decyzję zmienił i zamiast mnie do powożenia wyznaczył Telesfora Grzeczkę.

W czasie obiadu, który był mocno opóźniony wszyscy chłopcy zostali zaangażowani do podtoczenia wozów przygotowanych pod dwa okna mieszkania, umożliwiając załadowanie ich przez okno od tyłów wozów całego dobytku przygotowanego do ewakuacji. Kiedy kończyliśmy spożywanie obiadu z pokoju wyszedł nasz szef, który oświadczył uroczyście, że on wraz ze swoją rodziną opuszcza swój dom i miasto na kilka dni, bowiem tutaj będzie front wojny i przybędzie tu niemieckie wojsko. Jest to działanie taktyczne, przez wojsko z góry zaplanowane po to, by wciągnąć w pułapkę, a następnie zadać ostateczny cios bolszewickiej armii i zakończyć wojnę. Na miejscu zostanie tylko „Fräulein Marie”, która będzie opiekowała się całością i jej trzeba słuchać, była to siostra naszej szefowej, stara panna, gruba, po czterdziestce.

Przy tym oświadczeniu Pfeifer ostrzegł nas, abyśmy zachowali się spokojnie i uczciwie pracowali, nie robiąc jakichkolwiek głupstw, bo możemy to przypłacić życiem, wojsko nie

będzie winy udowadniać, tylko wykona wyrok wojenny. Następnie Pffeifer wyznaczył tak zwanych „Vorarbeiterów”, czyli brygadzystów do kierowania pracami, których reszta pracowników musi bezwzględnie słuchać. Domem, kuchnią i sprawami ogólnymi kierować będzie Fräulein Marie, ogrodem i pracownikami ogrodu senior Grześkowiak, a pracownikami gospodarstwa rolnego i gospodarstwem Florian Gramza, i polecenia tych osób wykonane musi być jak polecenia szefa. Pffeifer wydał jeszcze osobiście każdemu wiele poleceń do wykonania pilnego i wszedł do pokoju. Około godziny 16-tej wozy ruszyły w kierunku zachodnim, istotnie w kierunku Janowca Wlkp., ale nikt ze zbożem, oprócz woźniców cała rodzina Pffeiferów, za wyjątkiem Marii. Stary również pozostał, bo dojazdy przygotował sobie rower. Wyjeżdżający na wozach żegnali się z nami machaniem rąk, za wyjątkiem Kurta, który głęboko zaszył się pod plandekę ani nosa swego nie wytykając i widać go nie było. Szef po wyjeździe jego rodziny rower swój za bramę wyprowadził dyskretnie i dobytek swój - ogrodnictwo, budynki gospodarcze i inwentarz obleciał, jakby się ze wszystkim żegnał i niezauważalnie odjechał.

Wszyscy odczuliśmy wielką ulgę po wyjeździe Pffeifera i wszyscy zebraliśmy się w ogólnej pracowni przy oranżerii razem z oboma Grześkowiakami, ojcem i synem, i nikt obecnych w tym dniu już nie zamierzał ani palcem ruszyć, za wyjątkiem obrzędu bydła i koni. Na spotkaniu tym omówiono działania jakie podjąć trzeba, aby utrzymać wszystko w należytym stanie, ale wyrażono również obawy, czym nas będzie Marie karmić, skoro wszystką żywność załadowano na wozy, a znając siostrę szefowej ze skąpstwa, będzie nas chciała zbyć byle czym. Obawy nasze zostały szybko potwierdzone, bo już na pierwszej po wyjeździe Pffeiferów kolacji, która składała się tylko z chleba posmarowanego margaryną i marmoladą z marchwi, a może być jeszcze gorzej, co powiedziała nam Zosia Majchrzak, która widziała pustą spiżarnię. Jeszcze w czasie tej kolacji starsi chłopcy zrobili Fräulein małą awanturę, której na pewno Marii się nie spodziewała, trzeba jednak przyznać, że zrobili to z dużą kulturą. Stara panna próbowała się dość ostro przeciwstawić i tłumaczyć wojną biedą, ale wreszcie się rozptakała i udając męczennicę udała się po pomoc do Grześkowiaka. Kierownik ogrodu senior Grześkowiak przybył niezwłocznie do kuchni i po wysłuchaniu argumentów naszych i obejrzeniu porcji kolacyjnej powiedział w języku polskim:

- No wie Pani? To są młodzi mężczyźni ciężko pracujący, którzy muszą dobrze zjeść, a nie chleb z marmoladą z marchwi.

Niemka знаła język polski bardzo dobrze, więc zrozumiała, że nie tylko jej Grześkowiak nie poparł, ale skrytykował przyznając nam rację, zrozpaczona szybko opuściła kuchnię i z głośnym łkaniem weszła do pokoju.

Po kolacji, kiedy ja udałem się do domu Grześkowiak wraz ze swym synem Jerzym przyszedł do chłopaków na „budę” i odbyli wspólną naradę, na której uchwalono, że jutro w sobotę 20-go stycznia rano ubijemy tuczniaka, z którego trzy części dla nas, a część czwartą dla rodziny Grześkowiaków przeznaczymy. Uboju dokonają Florek Gramza i ja jako chłopak z praktyką, której przez pięć lat nabyliśmy dostatecznie przy rzeźniku Bernardzie Antonim.

W sobotę rano kiedy do pracy przyszedłem dowiedziałem się o przydzielonej mi funkcji rzeźnika, byłem mocno zaskoczony z obdarowania mnie najmłodszego tak wielkim zaufaniem, oczywiście na życzenie „Mistrza Florka”. Jeszcze większą satysfakcją było przydzielenie nam jako pomocników do prostej roboty największych fachowców ogrodniczych i oni muszą nam być posłuszni.

Dużo było uciechy przy tej robocie, wszyscy dowcipkowali, ale najwięcej cieszyło to, że mogliśmy wydawać polecenia ogrodnikom i to dużo starszym wiekiem, jak na przykład w stosunku do mnie średnio o 8 lat.

Myśmy robili swoje zadanie a front wojenny zbliżał się do nas wielkimi krokami. Pracy przerwać nie mogliśmy, mogliśmy ją tylko przyspieszyć, ale meldunki o zbliżającym się froncie mieliśmy na bieżąco, bowiem w chwilach wolnych ogrodnicy wychodzili przed dom na szosę i dowiadawali się od przejeżdżających osób rowerami. Na przykład: Rosjanie są już w Łysininie, za chwilę Rosjanie w Gąsawie, potem w Szelejewie, Grochowiskach Szlacheckich i tak dalej. Nie wszystkie meldunki były prawdziwe, bo Grochowiska Szlacheckie znajdowały się od nas o 3 kilometry, a do wieczora od tej wiadomości czekaliśmy 5 godzin zanim Rosjanie weszli do miasta i to z innej strony.

Do godziny 11 -tej zakończyliśmy świniobicie i pozostały do wykonania tylko prace porządkowe, ale nie usłyszeliśmy ani jednego strzału, nie zobaczyliśmy ani niemieckich, ani rosyjskich żołnierzy. Obiad zjedliśmy już znakomity, ze świeżego mięsa, który przygotowała nam Zosia Majchrzak, bo Szwabka nie chciała ani przyrządzić, ani jeść tego obiadu. Na pewno myślała sobie:

- No, poczekajcie, ino szef wróci, to się z wami rozprawi,

bo tak się zachowywała obojętna była, kiedy przekazywaliśmy jej i Zosi wieści o Rosjanach. Marie nie doczekała się jednak swego szwagra Otto Pfeifera, który już nigdy do Rogowa Żnińskiego nie powrócił, a ją razem z innymi jej rodakami wywieziono po wojnie do Niemiec.

Po obiedzie ja z Florkiem mieliśmy jeszcze trochę prac porządkowych po uboju świni, wobec czego kręciliśmy się przy budynku parownika, gdzie się całą pracę wykonywało. Pod wieczór usłyszeliśmy kilka ciężkich wystrzałów z broni pokładowej czołgów i serie z broni maszynowej, wówczas przez otwartą furtkę między budynkami mieszkalnymi a parownikiem zobaczyliśmy uciekających do lasu żołnierzy niemieckich w białych kombinezonach. Za każdym takim wydarzeniem wbiegałem do kuchni informując Zosię, no Marie również to słuchała, a tym razem wieści o uciekających Niemcach. Na wieść o tym Zofia Majchrzak, a za nią Marii wyszły przez furtkę zobaczyć, jak przez pola do lasu, za którym była wieś Łaziska, żołnierze Wehrmachtu uciekali. Szwabka na widok ten przypuszczała, że są to rosyjscy żołnierze i powiedziała:

- Mein Boże, już na Johannisgrün lecq!

i rozplakawszy się do mieszkania wróciła.

Johannisgrün Niemcy nazywali wieś Łaziska, gdzie jej i Pfeiferowej brat miał gospodarstwo i nazywał się Dusterheft.

Po kolacji, która w tym dniu była o godz. 18.00 udałem się do domu, ale drogą okrężną, ulicą prowadzącą do rynku, aby coś zobaczyć lub się dowiedzieć o Rosjanach. W mieście nie spotkałem ani jednego żołnierza rosyjskiego, nie było również niemieckich, ale było wielu kolegów, którzy „zasypywali mnie” wieściami. Opowiadali mi, że po oddaniu kilkunastu wystrzałów do miasta wjechało osiem czołgów, które w rynku się zatrzymały i wyszli z nich radzieccy żołnierze, Rosjanie spostrzegli ich wyglądających zza uchylonej bramy i zaraz ich przywołali, a następnie spytali:

- *German jest?*

i po usłyszeniu, że Niemcy uciekli we wskazanym kierunku wsiedli do czołgów i odjechali. W naszej rozmowie koledzy mówili, że na czapkach Rosjanie mieli pięcioramienne gwiazdy czerwone, a na czołgach takie same gwiazdy ale białe i zastanawialiśmy się dlaczego? Po kilku dniach, kiedy przybyły do nas następne pojazdy, czołgi i samochody na dłuższy postój sprawa się wyjaśniła, bowiem pod białą gwiazdą dostrzegliśmy drobne litery - napis „U.S. Army” i to był dowód, że w ramach pomocy amerykańskiej ZSRR pojazdy te otrzymał.

Zanim do miasta dotarła druga partia rosyjskich sił wojskowych zmotoryzowanych, społeczeństwo polskie Rogowa najadło się bardzo dużo strachu i omal nie zapanowała panika. Otóż w sobotę po przejechaniu szpicy składającej się z ośmiu czołgów, część młodzieży starszych osób rozprawili się ze szwabskimi symbolami, tłukąc i łamiąc swastyki i niemieckie gapy oraz napisy. W mieście zapanowało bezkrólewie, bez wojska i władzy administracyjnej, tymczasem późnym wieczorem od strony zamrożonego jeziora doszło do huraganowego ognia z broni maszynowej, automatycznej i ręcznej oraz wybuchy granatów. Większość społeczeństwa wyszła na ulice, aby zobaczyć co się dziaje i kto atakuje miasto od strony zachodu, ktoś krzyknął:

- *Wracają Niemcy! Będzie rzeź!*

Ludzie rozbiegli się do mieszkań, wielu rozpoczęło pakowanie dobytku szykując się do ucieczki. Okazało się jednak, że ani Niemcy, ani Rosjanie nie urządzali takiej kanonady, lecz miejscowa młodzież dowiedziała się o porzuceniu przez żołnierzy Wehrmachtu broni i amunicji w dość dużych ilościach i oni urządzali taką kanonadę.

Niedziela 21 stycznia minęła spokojnie i bez napięcia, ale wszyscy wyglądali, czy nie zbliża się wojsko polskie lub Rosjanie, które powinno przyjść lub przejść miasteczko, aby zabezpieczyć społeczeństwo przed hitlerowcami. Całkowity spokój zapanował dopiero w poniedziałek, kiedy przez miasteczko ze wszystkich trzech stron przeciągnęły ogromne ilości wojska – czołgi i samochody, zaprzęgi konne, piesi a nawet na wielbłądach - wojsk radzieckich i poszły w kierunku zachodu, dało to pewność, że tej siły Niemcy nie są w stanie przełamać. Dzień 22 stycznia 1945 roku został wpisany do kroniki wyzwolenia kraju jako wyzwolenie niewielkiego miasteczka na Pałukach, czyli Rogowa Żnińskiego w województwie poznańskim, obecnie Bydgoszcz.

ROZDZIAŁ V. WYZWOLENIE

W dniu wyzwolenia Rogowa, to jest w poniedziałek 22 stycznia 1945 roku, w budynku magistratu miejskiego zebrało się grono starszych, doświadczonych i szanowanych obywateli miasta na naradzie poświęconej utworzeniu tymczasowej władzy, w celu utrzymania prawa i porządku powołano tak zwany Obywatelski Komitet Prawa, Porządku i Bezpieczeństwa mieszkańców. Sporządzono listę mężczyzn od 18-tu lat życia wzywając do pełnienia patroli i wart w celu zapewnienia spokoju, ładu i utrzymania porządku publicznego mieszkańcom miasta i gminy. Powołano Komendanta i dowódców wart, którzy mieli za zadanie rozplanować posterunki stałe i patrole, wyznaczyć czas i miejsce służby oraz ludzi, zgromadzić odpowiednią ilość broni i amunicji niezbędnej do wyposażenia służb oraz zabezpieczyć konserwację broni i jej naprawę. Obywatelski Komitet Prawa i Porządku wyznaczył specjalnych kurierów do roznoszenia kurendum osobom wyznaczonym do pełnienia służb. Wyznaczono i przejęto budynek na urządzenie w nim wartowni, magazynu broni i rusznikarni oraz pokój odpraw służb. Powołano zbrojmistrza dla konserwacji, naprawy, wydawania i przyjmowania broni, wyznaczono kwatermistrza i pomocników dla przygotowania izb noclegowych i kwater dla żołnierzy i oficerów dowożących zaopatrzenie frontowe.

Ja również otrzymałem wezwanie do pełnienia służb i to już od 23 stycznia, które pełniłem co drugą dobę aż do zakończenia wojny, to jest do 8 maja 1945 roku w cyklu 24 godziny służby na 24 godziny wolne. Podczas trzymiesięcznego pełnienia służby wartowniczej lub patrolowej przeżyłem wiele przygód śmiesznych wesołych, ale zdarzały się również przygody groźne, a czasem dramatyczne. Do wesołych mogę zaliczyć jedną z pierwszych służb wartowniczych, którą pełniłem z nieco starszym od siebie, bo o 6 lat, kolegą Zdzisławem Piniarskim w miejscowej mleczarni. W obiekcie tym na pierwszym piętrze kwatrowali czasowo Rosjanie, z których jeden żołnierz zza Uralu nawiązał z nami przyjacielską rozmowę, owszem sympatyczny i życzliwy chłopak, który pod koniec naszej służby wmusił nam wypicie po 100 gram okowity o zawartości 90%, a może i ponad, alkoholu. Skutki wypicia tego spirytusu były takie, że Piniarski po zdaniu swej broni na wartowni, choć wyglądał na trzeźwego człowieka, upadł na podłogę i w ogóle się nie ruszał, leżał jak manekin. Zaznaczyć tu trzeba, że tak ja jak i on po raz pierwszy wzięliśmy do ust alkohol i to w tak dużej dawce. Przestraszony dowódca warty pan Grabarczyk i jego pomocnicy zaczęli pilnie poszukiwać lekarza, ponieważ Piniarski zrobił się całkowicie sztywny i trzeba było chłopca ratować. Kiedy lekarz pośpiesznie przybył Zdzichu już sobie smacznie spał przy akompaniamencie własnej czkawki i pomoc lekarza była zbędna, a doktor Glass zażartował, że na recepcie przepisze mu wiadro. Ubaw był świetny, a historyjka ta miała od tej pory swoje echa, bowiem kiedykolwiek na wartowni spotkano osobę podchmieloną natychmiast wszczynano alarm:

- Lekarza! Panie Grabarek, lekarza !!!

Denerwował się dowódca warty na takie dowcipy, ale wszyscy obecni na wartowni śmiali się do łez. Drugie z moich wesołych wydarzeń - przygód to służba patrolowa ze starszym panem o nazwisku Schulc, która przebiegała szosą gnieźnieńską od miasta do miejscowości Wiktorowo, obok cmentarza ewangelickiego, i to po północy. Wracając nad ranem z patrolu w stronę miasta, po minięciu cmentarza doszedł nas dziwny dźwięk, który zatrzymał nas

w miejscu, ale Schulca ten dźwięk tak przestraszył, że zostawiając mnie na szosie ruszył jak pośpieszny pociąg do miasta. Porzucony na szosie zdjąłem broń z ramienia i oparłszy się o drzewo nasłuchiwałem do czasu powtórzenia się dźwięku, okazało się, że dochodzi on z nasypu szosy gdzieś przede mną. Powoli przesuwalem się do przodu od drzewa do drzewa, będąc już blisko wiaduktu pod szosą kiedy dźwięk powtórzył się, ale jeszcze bardziej dziwnym brzmieniem. Wiadukt pod szosą był bardzo wysoki ale wąski, że żaden pojazd by się tam nie zmieścił, zresztą był on usytuowany nad potokiem, który tam przepływał. Pod wiaduktem, tuż nad potokiem znajdowała się betonowa posadzka i kiedy po nasypie szosy zszedłem od zachodniej strony, w prześwicie na betonie ujrzałem ogromną ropuchę siedzącą na tylnych nogach. W poświacie na niebie przed wschodem słońca widać było zbliżającą się w podskokach do wiaduktu drugą ropuchę, która wydostała się z potoku. Nagle siedząca na posadzce żaba nadęła się i wydobyła przedziwny rechot, który pod wiaduktem wydobył się nad łąki dziwnym echem.

Po powrocie na wartownię zameldowałem dowódcy o zachowaniu pana Schulca i co było przyczyną jego ucieczki z posterunku, sugerując co by było, gdyby sytuacja była poważna. Od tego czasu żaden dowódca warty Schulca nie wyznaczał do służby poza obręb miasta, a koledzy każdego, który kierowany był na patrol szosy gnieźnieńskiej straszili ropuchą. Komicznych przykładów mógłbym przytoczyć dużo więcej, ale nie o to w tym opowiadaniu chodzi. Były również jak już wspominałem sytuacje groźne, o których muszę chociaż wspomnieć dla pełnego obrazu przeżyć w czasie wyzwania naszego kraju.

Dramat taki przeżyłem razem z innymi kolegami na wartowni, gdzie duża nas grupa mężczyzn została sterroryzowana przez jednego ruskiego „bojca”. Zawsze na wartowni, której pomieszczenie (pokój) było bardzo obszerne, przez całą dobę znajdowało się wielu mężczyzn, którzy siedzieli na krzesłach za plecami dowódcy warty, lub przy długim stole bokiem do dowódcy, ale przed nim, bowiem stoły ustawione były w kształcie litery „T”. Jeden z żołnierzy radzieckich był bardzo niezadowolony z kwatery, którą otrzymał, jak mówił „bez dziółszek”, toteż z rozpaczą mocno „zalał robaka” i ledwo trzymał się na nogach. W pewnym momencie wtargnął na wartownię z wymierzonym w nas gotowym do odpalenia „pancerfaustem” (pięć przeciwpancerna), nakazując wszystkim podnieść ręce w górę. Ultimatum, które postawił brzmiało:

- Albo kwatera z dziółszką, albo bum!

i trzymał nas tak około 15 minut. Nie wiem jak by się to zakończyło, gdyby nie spryt, odwaga i przytomność umysłu naszego zbrojmistrza Szczepana Stasiaka, który mu uniemożliwił dokonanie tego zamiaru, bo „bojec” był zdesperowany. Na bocznej ścianie wartowni, na wprost końca stołu, gdzie stał uzbrojony w pancernię żołnierz, były drzwi prowadzące do zbrojowni, w której znajdował się Stasiak. Przez lekko uchylone drzwi Szczepcio widział terrorystę, ale nie miał możliwości strzelania do niego, zaś „bojec” pijany Szczepcie nie widział i tam go się nie spodziewał. Okno zbrojowni było okratowane i uniemożliwiało wyjście przez nie Stasiakowi, a oprócz tego musiał on zachować bezwzględna ciszę, aby nie zdradzić swej obecności. Stasiak kombinował jak by go obezwładnić ale sposobu nie znalazł, zauważył jednak, jak żołnierz położył na stół głowicą skierowaną w naszym kierunku swą groźną broń, aby zrobić „skręta” i zapalić. Wystarczyło, że któryś z nas się ruszył a Rosjanin ujmował „pancerfaust” do ręki. W poprzek wartowni położony był chodnik, na którego jednym końcu stał zdesperowany żołnierz, drugi zaś koniec sięgał do zbrojowni, w której był

Stasiak. Pomysłowy Szczepan wyczekał momentu kiedy Rosjanin odłożywszy na stół tę groźną broń i rozpoczął formowanie papierosa, wówczas szarpnął chodnik tak mocno, że pijany żołnierz przewrócił się na dużą stosunkowo odległość od stołu. Stasiak jak tygrys wyskoczył ze zbrojowni przyciskając do podłogi swoim ciałem terrorystę, wołając na nas o pomoc, którą oczywiście otrzymał błyskawicznie i to w nadmiarze. Po ujęciu terrorysty zaalarmowano Komendanta Wojennego, który wysłał dwóch żołnierzy radzieckich ze swej obstawy zjawiających się u nas błyskawicznie.

Oni rozprawili się ze swoim „towaryszczem” tak, że aż zęby mu wylatywały, kopiąc go po twarzy, i nasz dowódca warty musiał go bronić, aby go nie zatłukli, a następnie tak zmaltretowanego wrzucili po schodach do piwnicy. Dowódca warty wezwał lekarza, który biedaka opatrzył, a nam wszystkim zrobiło się szczerze żal, bo mogliśmy sami z nim sprawę załatwić nie zgłaszając wojennemu komendantowi. Na drugi dzień jeden Rosjanin i dwóch naszych wartowników specjalną podwodą pobitego terrorystę zawieźli do Komendy Wojennej w Żninie.

Bardziej groźne przeżycia trafiały się wartownikom przy gorzelni, gdzie prawie każdej nocy Rosjanie ten obiekt atakowali, tam też wzmocniono służby wyznaczając po trzech mężczyzn. W czasie jednej nocy oddział żołnierzy rosyjskich napadł na polską wartę rozbijając ich przy gorzelni aby nacerpać okowity, przechodzący patrol zgłosił ten fakt dowódcy, a ten Komendantowi Wojennemu. Komendant Wojenny zebrał całą swą obstawę żołnierzy, ochotników polskich i nacierając na opanowaną gorzelnię przez amatorów okowity wywołał prawdziwą bitwę. W walce tej użyto granatów ręcznych oraz dwóch karabinów maszynowych (CKM-ów). Po walce komendant zebrał wszystkich żołnierzy rosyjskich kwaterujących w Rogowie i dla przykładu rozstrzelał jednego z napastników sierżanta oraz jednego żołnierza.

W pierwszych dniach wyzwolenia Rogowa Żnińskiego zgłosiło się do polskich władz miasta dziewięciu żołnierzy Wehrmachtu - dezertersów, którzy w pełnym uzbrojeniu oddali się w ręce Polaków. Jak się później okazało byli to Polacy z Śląska Górnego przymusowo wcieleni do niemieckiej armii i kiedy nadarzyła się okazja zbiegli z niej. Miejscowy Komendant Straży Obywatelskiej nazwiskiem Madaj Marcin, mimo sprzeciwu pozostałych członków komitetu i społeczeństwa, wsadził ich do aresztu traktując jak hitlerowców. Sposób na ulżenie tym chłopom znalazł Klemens Leonard - ogrodnik z byłej „szkoły Pfeifera”, który prawie wymusił zezwolenie na pracę tych „biedaków” w ogrodnictwie, w którym dalej kierował Grześkowiak Franciszek. Ogrodnictwo to potrzebowało siły roboczej minimum osiem osób, a z chwilą wyzwolenia tej miejscowości wszyscy chłopcy rozjechali się do swych rodzin pozostawiając Grześkowiaka z synem Jerzym, owszem Klemens pomagał im w fachowych pracach z obawy przed zmarowaniem się niektórych kwiatów. Znał on też potrzeby tego ogrodnictwa i dlatego przekonał członków K.S.O. o wykorzystaniu tych jeńców i ulżeniu dwóm stronom - miastu, któremu odpadło żywienie i jeńcom, którzy mieli lepsze życie i lepsze wyżywienie. Rano każdego dnia wartownik zaprowadzał ich do ogrodnictwa, a wieczorem powrotem do aresztu, z tym że w pracy nie trzeba było ich pilnować, bowiem uczciwie pracowali i czując się bezpiecznie nie myśleli o ucieczce, zresztą sami się zgłosili.

Pewnego dnia do Rogowa przybył mieszkaniec miejscowości wiejskiej Zalesie odległej o 5 kilometrów z wiadomością że pod lasem u gospodarza polskiego zatrzymało się około 40

SS-manów, którzy sterroryzowali gospodarza i nie pozwalają nikomu z domowników oddalić się od domu. Komitet S.O. przeprowadził nabór ochotników do zlikwidowania tej bandy, organizując wyprawę do Zalesia. Okazało się, że z kwaterujących radzieckich żołnierzy przyłączyło się 15 żołnierzy i jeden oficer, który objął dowództwo wyprawy. Na miejscu w Zalesiu doszło do potężnej wymiany ognia z użyciem przez SS-owców moździerzy, w wyniku czego dwóch radzieckich żołnierzy zostało ciężko rannych, jeden w płuco, który w powrotnej drodze zmarł, drugi w miednicę.

Po odstąpieniu od działań bojowych w Zalesiu dowódcy radzieccy wycofali cywilów, wysyłając cztery czołgi, które w drodze na front zatrzymały się w Rogowie w celu odpoczynku ich załóg i zabierając na nie cztery drużyny wojska - żołnierzy ruszyli ponownie do Zalesia. Na miejscu okazało się, że hitlerowcy zbiegli do lasów „Królewskich” zabierając gospodarzowi polskiemu bardzo dużo żywności, chleba, wędlin, drobiu itp., i nie było możliwości ścigania ich tymi pojazdami w gęstym lesie. Rosjanie zażądali wydania im dziewięciu Ślązaków pracujących u Grześkowiaka w ogrodnictwie w celu dokonania zemsty. Wszyscy członkowie Komitetu S.O. byli przeciwni wydaniu Rosjanom swoich jeńców, tylko komendant Madaj wyraził zgodę i mimo protestu Klemensa i Grześkowiaka wydał ich. Rosjanie zaprowadzili ich do schronu pod Bankiem Rolnym i tam rozstrzelali i natychmiast opuścili miasto udając się w kierunku toczącego się frontu wojennego. W podwórzu banku w małym domku mieszkała pewna rodzina – Morkowscy, z mieszkania których wyszedł 21-letni Witold, spotykając wychodzącego ze schronu rannego w szyję Ślązaka, proszącego o pomoc.

Witold wziął pod rękę rannego i prowadził do placówki Czerwonego Krzyża, gdzie był lekarz udzielający pomocy medycznej, ale nie zdołał go do celu doprowadzić. Po drodze w rynku napotkał go Komendant Madaj, wyjął z kabury pistolet, próbował go wręczyć Witoldowi, aby dobił rannego. Witold protestował, mówiąc że po wyroku nie wolno rannych dobijać, bowiem zabrania tego Konwencja Międzynarodowa i ostrzegł Komendanta, że będzie karany, a poza tym jest to Polak, któremu szczególnie trzeba pomóc. Madaj odepchnął od rannego Witolda i poprowadził go z powrotem na miejsce egzekucji i mimo błagania rannego Ślązaka strzelił mu w głowę dobijając jak ranne zwierzę. Incydent ten na tym się nie zakończył, bo po zakończeniu wojny rodzina jeńca mieszkająca na Śląsku Górnym poszukiwała syna mając list wysłany z Rogowa dowiedziała się o jego śmierci. Okazało się, że Nowakowie w Rogowie byli krewnymi Nowaków ze Śląska i zamordowany również. Oskarżyli oni Madaję o morderstwo, który wyrokiem sądu otrzymał karę jednego roku więzienia. Sąd, a raczej obrona oskarżonego motywowała czyn ten okresem jeszcze toczącej się wojny i niewiedzą oskarżonego o przymusowym wcielaniu Polaków do armii niemieckiej oraz niemożnością przeciwstawienia się Rosjanom. Madaj mógł jednak przeciwstawić się Rosjanom, bowiem nie byli to jeńcy, a dobrowolnie oddani w „azyl” Polski, natomiast odwetu za rannego i zabitego żołnierza przez SS-manów mogli dokonać w normalnej walce na froncie, a nie na niewinnych. W międzyczasie wrócił do Rogowa z „banicji” Kaziu Kęska, który życie swe ratował ucieczką i zgłosił się do ogrodnictwa po swój dobytek, ale również i po to, aby spotkać się ze znajomymi i kolegami, a poza tym nie posiadał domu rodzinnego. W spotkaniach z kolegami i znajomymi Kazika odżyły stare wspomnienia wojenne, przeżyte chwile grozy przy aresztowaniu oficera amerykańskiego i inne wyczyny chłopców ze „Szkoły Pfeifera”, obóz w Żabikowie. Odżyły mity i legendy o odwadze chłopców i rosły do coraz większych rozmiarów wśród opowiadających i dotarły do Urzędu Bezpieczeństwa, a funkcjonariusze zaczęli wzywać i przesłuchiwać Klemensa i Kęskę. Najpierw aresztowano

w Żninie Śledzińskiego, drogerzystę przebywającego w czasie okupacji w Rogowie, następnie ostrzeżony został przed aresztowaniem Miecio Kopecki, zbiegł i przepadł do dziś. Urząd Bezpieczeństwa zaczął coraz częściej przesłuchiwać Kęskę i Klemensa, prawie każdego dnia, dopatrując się w nich wrogów PRL-u, ale wyniki przesłuchań nie dały podstaw do aresztowania ich. Mimo to UB nie rezygnowało z nękania chłopców nakazując innym funkcjonariuszom poufną obserwację ich, a od czasu do czasu męczyli dodatkowymi wyjaśnieniami. Klemens, już jako mój szwagier, bo pojął mą siostrę za żonę, opuścił Rogowo udając się do Węglińca, na tak zwane ziemie odzyskane, gdzie moi rodzice wyjechali. Pracował w Hucie Szkła „Kaławsk” ale nie długo, bo po roku przywlokła się zanim opinia „akowska” i następne podejrzenia, toteż nie zwlekając opuścił Węglińca udając się do Poznania z całą swą rodziną i tam na Starołęce założył własne ogrodnictwo.

W Rogowie tymczasem rozwiązano Straż Obywatelską, a na jej miejsce utworzono Milicję Obywatelską, do której werbowano kandydatów i to musieli być ludzie pełni zaufania. Kęska w dalszym ciągu nie zaznawał spokoju i funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa wmawiali mu działalność przeciwko PRL i przeciw władzy, żądając jego przyznania się. Kazik miał już tego wszystkiego dość i odważył się na „warknięcie” przeciw funkcjonariuszom, mówiąc:

- Kim wy jesteście, że mnie męczycie, jak to robili Niemcy? Czy wy naprawdę Polakami jesteście?

Szwabi to byli wrogowie, a wy? Gdzieście byli jak ja walczyłem z wrogiem, choć wielkich szans nie miałem? Gdzieście byli, jak mnie gnębili szwabi w obozie żabikowskim, jak boso po śniegu uciekałem? Gdzieście bohaterowie byli wówczas?

Polak patriota służy swojej ojczyźnie jak może, a wy mnie za to potępiacie, wroga ze mnie robicie!!! Dajcie mi spokój, ja nie zajmowałem się i nie zajmuję się polityką.

Jeden z funkcjonariuszy UB uspokoił swego kolegę, który pieniał się ze złości na Kazika, jak on śmiał głos tu podnosić i zwróciwszy się do Kęski powiedział:

- To dobrze, że broniliście ojczyzny we wojnę, ale teraz możecie dalej to robić, aby nas przekonać, że racji nie mieliśmy.

- Jak to - odrzekł Kazik - teraz przed kim bronić, jak Niemcy zostali pobici i wojna się skończyła?

- To prawda, - powiedział ubowiec - wojna skończyła się, ale wrogów nam nie brakuje i trzeba młodą władzę bronić, dlatego udowodnijcie nam, że Polskę kochacie i wstąpcie do Milicji Obywatelskiej.

Kaziu, zaskoczony tym obrotem sprawy powiedział:

- Tak, ale ja mogę ojczyźnie służyć pracując jako ogrodnik, bo w tym jestem dobry, a bronić mogą inni, którzy nie mają zawodu i nie będą przydatni w fachowych sprawach.

Ubowiec znowu zaczął swe wywody:

- Widzicie, że dobro młodej ojczyzny jest wam obce, bo się wymawiacie. Niech inni jej bronią byle nie wy, a przecież do swego zawodu zawsze możecie wrócić! Więc co? Nie macie ochoty jej bronić?

Kazik nie miał już żadnych wykrętów, brakło mu argumentów i mimo woli został milicjantem. Wyfasowali z demobilu mundur z opaską M.O. na rękawie, spodnie z owijaczami, służbowy rower, pistolet typu „pepesza” i przydzielono mu podopieczny rejon Gościeszyna, miejscowości odległej od posterunku w Rogowie o 15 kilometrów. Tam też każdego dnia przebywał od rana do wieczora udając się rowerem Kęska i pełnił swą służbę jak umiał, ale również czasami pozostawiano go w mieście.

Pewnego majowego czy czerwcowego popołudnia Kazik wracając dość wczesnie z objazdu swego rejonu zatrzymał się pod lasem przy stawie, aby nad wodą, na świeżym powietrzu odpocząć. Zaczął się do takiej pracy przyzwyczajać i polubił ją i położywszy swój rower na ziemi, odłożył pepeszę i rozłożył się na kopczyku twarzą w kierunku lasu i stawu, plecami ku zachodzącemu słońcu. Po pewnej chwili zauważył dwa ludzkie, nasuwające się ku laskowi cienie. Kęska zerwał się na równe nogi i odwróciwszy się ujrzał wycelowane w siebie dwa otwory luf pistoletów maszynowych i dwóch osobników w mundurach wojskowych oraz usłyszał komendę:

- Ręce do góry!

Zdenerwowany Kazik szybko uspokoił się i opuszczając ręce powiedział:

- A, to panowie żołnierze!,

ale usłyszał głośny okrzyk:

- Łapy do góry, ty kundlu!

Kazik posłusznie dostosował się do rozkazu i powiedział:

- Panowie, nie poznajecie? Ja jestem milicjantem.,

ale usłyszał:

- i owszem, poznajemy ty pajacu! I po to tu jesteście.

Następnie zaraz Kęska usłyszał uroczyste:

- W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, oraz zgodnie z decyzją Komendanta Obwodowego Armii Krajowej ogłaszam wyrok śmierci na Ciebie, ruski pachółku, z natychmiastowym wykonaniem jego!

Zrozpaczony Kazik z rezygnacją ręce opuścił i rzekł:

- Panowie, popełniacie straszną pomyłkę i bierzecie mnie za kogoś innego.

Usłyszał natychmiast:

- Trzymaj łapy w górze jak proszący o ochłap pies, ty sowiecki sługusie, zdrajco narodu polskiego, ty bolszewicka szmato, kanalio stalinowska, ty NKWD-owska świnió!

i tak dalej, cała litania epitetów.,

Nie wymkniesz się nam, nie unikniesz wyroku, bo się żadnymi sztuczkami nie wykręcisz. Miło nam patrzeć, jak wielki bohater spod Stalingradu ze strachu w pory robi i dlatego cię jeszcze trzymamy przy życiu.

Śmiertelnie przerażony Kazik padł na kolana, ręce jak do modlitwy złożył i powiedział:

- Na Boga żywego, robicie wielki błąd! Ja jestem żołnierzem Armii Krajowej, uwierzcie mi zanim zrobicie to głupstwo.

Odpowiedzią był najpierw soczysty śmiech, a potem:

- Ty żołnierzem AK? Ty na Boga masz odwagę się powoływać, towarzyszu? Nas chcesz oszukać i uniknąć śmierci?

Kęska odpowiedział:

- Przysięgam, że mówię prawdę. Śmierci się w walce nie bałem i teraz się nie boję, ale zginąć przez pomyłkę, i to od swoich, kiedy w walce z wrogiem śmierci uniknąłem?

Pozwólcie wstać, wszystko Wam opowiem, kim jestem i dlaczego tu jestem.

- Klęcz! - odpowiedzieli przybysze - Grasz na zwłokę, że cię twoi towarzysze uratują. Nic z tego, odmów swoją partyjną modlitwę na sierp i młot, a potem robaki się ci do pupcy dobiorą, zanim cię twoi znajdą!

Kazik głowę opuścił, zza koszuli wyjął płócienny szkaplerz zawieszony na tasemce na swej szyi, ucałował go, a następnie powiedział unosząc głowę górę:

- Mamo, jeśli mnie tam w niebie słyszysz, wybacz, że synowi swojemu go nie przekażę. Obronił mnie on od wrogów, ale nie miał siły na swoich. Amen.

i przeżegnawszy się powiedział:

- Jestem gotów. Strzelajcie!

Zaskoczeni tym obrotem sprawy AK-owcy kazali mu powstać z kolana i wysłuchali części jego życiorysu i dlaczego został milicjantem, a następnie mu oświadczyli:

- Wyrok został zawieszony do drugiego spotkania. Jeśli już pan prawdę mówił, to zdejm pan te szmaty, bo drugi raz spotkania nas w nich na panu nie przyniesie nic dobrego dla kolegi AK-owca.

Następnie kazali Kazikowi pozostać na miejscu, zabierając ze sobą jego automat i po przejściu odpowiedniej odległości w kierunku lasu położyli go za stawem, znikając w lesie.

Kęska długo jeszcze siedział w miejscu, gdzie go zostawili i rozmyślał nad tym wydarzeniem zanim się pozbierał i ruszył w kierunku swej bazy w Rogowie. Był tak zamyślony i roztargniony, a zarazem zrezygnowany z sensu życia, że nie pamiętał przebytej drogi, kiedy znalazł się pod drzwiami posterunku M.O. Następnie udał się do pokoju komendanta, który jeszcze przy swym biurku siedział i tam przed nim złożył ustną rezygnację ze służby w milicji. Długo obaj się nawzajem przekonywali, Kazik że nie nadaje się do tej służby, a komendant, że dobrze służbę pełnił, że jest z niego zadowolony i to, że on nie może go zwolnić, ale może to zrobić komendant powiatowy w Żninie.

Kazik przebrał się w cywilne ubranie, złożył przed swoim szefem mundur swój i broń, powiedział gdzie rower postawił i oświadczył, że w ogrodnictwie Grześkowiaka będzie czekał na komendanta powiatowego M.O., jeżeli będzie potrzebny na rozmowy. Kęska tymczasem nie czekał na decyzję szefa powiatowego, ale jeszcze tego wieczoru opuścił

Rogowo udając się w nieznanne strony i nikt go już więcej w Rogowie nie zobaczył. Jak się okazało Kazik wyjechał do Szczecina i dopiero ja po kilku latach niespodziewanie zetknąłem się z nim w dziwnych okolicznościach.

Jeżeli zaś o mnie chodzi to w pierwszych dniach maja 1945 roku zostałem zwolniony z pełnienia służb patrolowych i wartowniczych razem z całą młodzieżą i osobami starszymi, którzy nie przeszli do służby w milicji. Zaraz też zgłosiłem się z innymi kolegami i koleżankami na kurs ukończenia szkoły podstawowej, zwanej wówczas powszechną. Następnie zdałem egzamin do drugiej klasy Gimnazjum w Żninie, gdzie naukę rozpocząłem. Szkołę jednak przerwałem za namową szkolnego kolegi Józefa Mroza, który zwerbował mnie do pracy w Urzędzie Skarbowym w Żninie, gdzie on już pracował. Mieszkając w Rogowie bez rodziców, którzy wyjechali na ziemie odzyskane, musiałem do pracy dojeżdżać rowerem. Żniński Urząd Skarbowy odległy był od mego mieszkania o 22 kilometry i pracowałem tam do końca 1946 roku. Od 1 stycznia 1947 roku zostałem przeniesiony do pracy w Hucie Szkła „Kaławsk” w Węglińcu, gdzie rodzice moi i jedna z siostr mieszkałi, a ojciec mój również w tej hucie pracował.

W tym miejscu mojego opowiadania można by zakończyć relację o przeżyciach wojennych, ale byłoby ono niepełne i niektóre wątki z przeżyć kolegów i znajomych nie dokończone, a mają one ważne powiązania z okresem okupacji hitlerowskiej.

W czerwcu 1948 roku zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej w jednostce Wojsk Ochrony Pogranicza w Szczecinie i tam zostałem skierowany do Szkoły Podoficerskiej. W czasie trwania szkoły musieliśmy odbyć kilka praktyk służby na granicy i odbywały się one w różnych okresach, bez awiza i przygotowań, najczęściej w formie alarmu i wypadu na granicę.

Jedna z takich praktyk miała miejsce na święta Bożego Narodzenia w 1948 roku, zaraz po wigilijnej kolacji, która po raz ostatni w W.O.P.-ie miała charakter tradycji religijnych z łamaniem się opłatkiem. Zaraz po wigilii podjechały wozy ciężarowe, odkryte, bez plandek, którymi przewieziono nas na placówkę do Międzyzdrojów, miejscowości odległej od Szczecina około 100 km. Pełniąc tam służbę patrolową z doświadczonym w służbie granicznej żołnierzem z miejscowej strażnicy, jako słuchacz szkoły podoficerskiej zostałem wyznaczony dowódcą patrolu. Patrolując nadbrzeże morskie wzdłuż plaży napotkaliśmy „starego” rybaka klarującego swe sieci po połowie ryb w stojącej na brzegu łodzi. Zgodnie z regulaminem służby granicznej obowiązkiem naszym było sprawdzić dokumenty tożsamości i prawa przebywania rybaka w strefie nadgranicznej. Miejscowy żołnierz, choć z dużą praktyką i rutyną do tych czynności się nie kwapił i jak widać było z jego zachowania nie zamierzał tego dokonać. Ja, jako odpowiedzialny za patrol żołnierz, nie mogłem pominąć tej części regulaminu i przystąpiłem do rutynowej kontroli prosząc rybaka o okazanie dokumentów. Rybak mocno zdziwiony moim zachowaniem oświadczył:

- Staszek mnie przecież bardzo dobrze zna ,

wskazując ręką na kolegę, ale wyjął posłusznie swą legitymację rybacką i bez protestu mi ją wręczył. W czasie sprawdzania dokumentów zaskoczyło mnie zdjęcie, które mocno różniło się od wyglądu, a zarośnięta twarz rybaka wskazywała na ogromną różnicę wieku z wyglądem na zdjęciu. Poza tym twarz na zdjęciu była mi bardzo znana, czego powiedzieć nie było można o „oryginale”, również nazwisko Drożdż było mi znane. Następnie rok

urodzenia 1915 w Żninie, zawód pielęgniarz przekonywało mnie, że rybak nie jest tym, na kogo wskazywała legitymacja, bowiem różnicę wieku oceniałem przynajmniej na około 30 lat. Znałem Drożdża doskonale z dwukrotnego pobytu w żnińskim szpitalu i uratowania przez niego mojego ucha, więc pomyślałem sobie: „acha! mam cię szwabie”. W pierwszym odruchu chciało się krzyknąć:

- *Ręce do góry! - i - Mam cię oszuście, a może morderco Drożdża -* lecz rozsądek wziął górę nad emocją i spokojnie jak kot bawiący się myszą ja raczyłem się widokiem domniemanego przestępcy. Przypuszczałem, że mylić się nie mogę, bowiem prawdziwy Drożdż winien mieć 33 lata, a ten osobnik podający się za niego ma minimum lat 70, i dalej myślę: „łatwo ci brachu nie przejdzie, może to SS-man posługujący się dokumentami swej ofiary”. Spokojnie patrząc starcowi w oczy spytałem:

- *Pan się nazywa Drożdż?*

Odpowiedź rybaka brzmiała:

- *Oczywiście, tak.* Dalej ja:

- *Pielęgniarz ze Żnina?* Odpowiedź:

- *Tak.*

- *Gdzie pan pracował w czasie okupacji?* - pytałem dalej, on:

- *W szpitalu w Żninie.*

- *A kogo pan tam zna?* - spytałem. Odpowiedział:

- *Prawie wszystkich*

i wymienia nazwiska, których ja nie znam w ogóle, z resztą znać ich nie mogłem, bo skąd, w Żninie przebywałem tylko w szpitalu. Miejscowy żołnierz oczy na mnie wybałuszył i broń pomału z ramienia zaczął zdejmować ujmując ją w dłonie, dla ubezpieczenia mnie. Ja tymczasem egzaminuję rybaka dalej:

- *Znał pan Szybatkę?* Odpowiedział:

- *Którego?*

i wymienia trzy imiona, a ja znałem tylko nazwisko tego, co ze mną razem w szpitalu przebywał. Wówczas spytałem o następnego współpacjenta szpitala:

- *A tego z pistoletem pamięta pan?*

a chodziło o faceta mającego na wskazującym palcu zastrzał i tak rękę zabandażowaną trzymał ją na temblaku, jakby z wycelowanym pistoletem. Kiedy pan ten wchodził na salę wszyscy unosili ręce w górę, tak dla żartów i mieliśmy wielki ubaw - Drożdż czasem również.

Wreszcie spytałem go wprost:

- *Pamięta pan Malchusa?* Odpowiedział:

- *A, Malchusa? A jakże, pamiętam, ja mu ucho uratowałem po błędzie chirurga. Pamiętam jak biedak martwił się.*

- *Malchus to ja* - powiedziałem.

Rybak aż podskoczył, aby wydostać się z łodzi i mnie uściskać, z uśmiechem pełnym szczęścia, a na policzkach pojawiły się charakterystyczne dołki, po których bez wątpienia Drożdża poznałem. Rybak rozpląkał się ze szczęścia spotkania „rodaka” i prosił, bym jego i żonę odwiedził podając mi swój adres. Ja obiecałem i również cieszyłem się z odwiedzin, ale obietnicy nie dotrzymałem, bowiem po powrocie ze służby został odwołany wypad graniczny i samochody zabrały nas do koszar w Szczecinie. Zanim jednak nasza służba patrolowa skończyła się, spytałem Drożdża co się z nim stało, że aż go po pięciu latach nie poznałem i dokumenty ma „młode” - 33 lata, a wygląd „starego dzida” około 70 lat. Wyjaśnił:

- *Zgadza się, ale po naszym rozstaniu się w żnińskim szpitalu, kilka miesięcy później zostałem aresztowany i wywieziony do obozu w Oranienburgu, potem przerzucano mnie jeszcze do innych i ledwie żyw wolności doczekałem. Długo chorowałem lekarze zalecili mi przebywanie nad morzem z dużą ilością jodu w atmosferze, więc tu z żoną zamieszkałem i taki zawód objąłem.*

Po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej i wyszkoleniu wojskowym przeze mnie następnego poboru, oczywiście wraz z kolegami, zostałem skierowany na placówkę graniczną. Z braku odpowiedniej ilości oficerów w W.O.P.-ie w tamtych czasach otrzymałem stopień plutonowego i stanowisko zastępcy Dowódcy Strażnicy, ponieważ służbę oficera pełnić na strażnicy mogli tylko dowódcy, zastępcy dowódców i szefowie, i oni odprawiali graniczne służby. Przez cały okres pełnienia funkcji zastępcy dowódcy strażnicy byłem w załogach wielu placówek - w Braniewie, Buku, Dobrej Szczecińskiej, Dołujach, Kołbaskowie, Podjuchach i jeszcze innych miejscowościach. Nie pamiętam więc na której, ale obok strażnicy znajdowało się również Państwowe Gospodarstwo Rolne i kiedy pełniłem służbę oficera dyżurnego strażnicy, kapral wszedł do pokoju operacyjnego zgłosić przybycie uczniów i profesora na praktykę do PGR-u. Nakazałem kapralowi wprowadzić profesora z listą uczniów w celu dokonania na niej adnotacji o pozwoleniu na przebywanie osób tych w strefie nadgranicznej i potwierdzenia adnotacji podpisem i pieczęcią. Kiedy kapral Musialik wprowadził profesora i odmeldowawszy się wyszedł z pokoju, usłyszałem będąc pochylonym nad wypełnianą księgą służby granicznej znajomy głos ; „*dzień dobry...*”. Po podniesieniu głowy znad książki ujrzałem znaną mi postać Kazika Kęski, który przedstawił się mi jako profesor Kamiński i po ujrzeniu mej twarzy ogromnie się zmienił, najpierw zbladła mu twarz, a następnie nabrała koloru purpury. Byłem w mundurze i czapce wojskowej z paskiem pod brodą ale Kazik trudności z rozpoznaniem mnie nie miał, bo zresztą na chwilę zamilkł całkowicie. Odezwałem się spokojnie i zwyczajnie, jakbyśmy na co dzień widzieli się:

- *Ale my to chyba znamy się, prawda?* Odpowiedział:

- *Skąd!* - a ja zaś:

- *Kaziu, ze „szkoły Pffeifera”!* On wyjąkał:

- *Ach, to ty Maryś?*(bo tak mnie tam wszyscy wołali zdrobniale z racji, że byłem najmłodszy)

i zrobił minę jeszcze bardziej zakłopotaną. Przerwałem wówczas milczenie jego niezręczną sytuację mówiąc głośno:

- *Wszystko w porządku panie profesorze Kamiński!*,

bo takie nazwisko widniało również na wykazie ze szkoły i przyłożywszy pieczęć z adnotacją i podpisem wykaz oddałem. Kazik zawahał się jakby coś nie było jeszcze dopełnione lub chciał się przede mną tłumaczyć, ja zaś nie chciałem nawiązywać dialogu, spodziewając się lada moment wejścia dowódcy. Powtórzyłem:

- Wszystko jest w najlepszym porządku.

Znając Kęskę nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ukrywając prawdziwe nazwisko tak postępować musi, bo innego wyjścia nie ma, i na pewno nie jest to przestępstwem ino pechem, bo całe życie pecha miał, szkoda że tak się nie nazywał. Wiedziałem, że na wyjaśnienie tej zagadki czas przyjdzie, ale nie teraz na (granicy) strażnicy.

Po zakończeniu mojej służby wojskowej i powrocie do cywila przyszedł czas na odpoczynek i odwiedziny mojej siostry w Poznaniu i szwagra Klemensa Leonarda. Klemens prowadził ogrodnictwo na własny rachunek wraz z moją siostrą Salomeą i chętnie gościli oni kogoś z rodziny i nie tylko. W czasie mojego pobytu u Klemensów pewnego dnia zjawił się również Kazik, powitany przeze mnie:

- Dzin dobry profesorze Kamiński, witam, witam i o zdrowie pytam.

Kazik szybko przerwał moją „błazenadę” i powiedział:

- Już nie, już nie. Ani Kamiński, ani profesor ino po prostu Kęska., i po chwili dodał:

- Muszę przyznać przy okazji, że tam na strażnicy, jak cię zobaczyłem, to miałem takiego pietra jakiego w życiu nie miałem nigdy. Nogi mi się ugięły pode mną, ciemno w oczach zrobiło i zobaczyłem siebie już w lochu za kratami. Gorzej się poczułem widząc ciebie w mundurze, jak w urzędzie bezpieczeństwa.

I tu Kazik otrzymał ode mnie reprimendę:

- i ty mogłeś o mnie tak myśleć? Że ja po tylu latach wspólnych przeżyć w okresie okupacji mógłbym być takim draniem, karierowiczem, judaszem?

Przeprosił Kazik mnie, ale powiedział:

- Ludzie w biedzie pomagali sobie, ale w czasie okupacji, po wyzwoleniu niektórzy woleli karierę.

Szwagier Leonard stolik w ogrodzie postawił z krzesłami, alkohol z dobrą zakąską i trzech wojennych druhów rozpoczęło wspominki ze starych dziejów, ale Kazik najpierw dokończy swą historię z dezercji milicjanta i z awansu na profesora. Najpierw przypomniał swój dramat ze spotkania jako milicjant z AK-owcami i rozstanie się z M.O. w Rogowie oraz ucieczkę tej nocy. Zamierzał udać się na Pomorze, gdzie ukrywał się przed niemieckimi policjantami i tam nawiązał wiele znajomości. W drodze zmienił kierunek podróży udając się do Szczecina, skąd zamierzał na zachód prysnąć. Ostatecznie zgłosił się w Polskim Urzędzie Repatriacyjnym (PUR), gdzie zgłosił się jako Kazimierz Kamiński bez dokumentów, które uciekający Niemcy zabrali mu. Urzędnicy PUR-u skierowali go do pracy w technikum ogrodniczym, jako ogrodnika, do prowadzenia przyszłolnej szklarni. Tam również w budynku szkoły otrzymał mieszkanie w sąsiedztwie mieszkania dyrektora tego technikum. Dyrektorem był starszy samotny pan i czasem z nudów odwiedzał Kazika w pracy w szkolnej oranżerii, wdając się w dyskusje na tematy roślin i kwiatów. Kazik oczywiście całe

popołudnia aż do zmroku przebywał w oranżeriach szkolnych pielęgnując kwiaty i inne rośliny, o czym dyrektor technikum dobrze wiedział, toteż kiedy zaczął nudzić się w mieszkaniu, spieszył na pogaduszki z ogrodnikiem. Dyrektor lubił kwiaty i znał nazwy polskie wielu z nich i kiedy wziął doniczkę do ręki i powiedział na przykład : fiołek alpejski, Kazik dopowiedział: cyklamen. Dyrektor spytał:

- *Jak pan na fiołka powiedział?*

- *Cyklamen, - powtórzył Kazik i powiedział - to łacińska nazwa.*

Tu trzeba dopowiedzieć, że Kęska Kaziu miał ogromnie dużą wiedzę, jak zresztą wszyscy pracujący u Pfeifera ogrodnicy, na temat łacińskich nazw kwiatów i roślin.

Następnego dnia, kiedy dyrektor przyszedł do oranżerii, zabrał ze sobą słownik polsko-łaciński nazw kwiatów i roślin i kiedy przeczytał polską nazwę głośno, Kazik powiedział nazwę łacińską. Nie mógł dyrektor wyjść z podziwu nad wiedzą pana Kamińskiego - bo pod tym nazwiskiem Kęska ukrywał się w technikum - i za każdym razem sprawdzał, czy dobrze nazwę łacińską kwiatu Kazik wypowiada. Zaczął więc pan dyrektor namawiać ogrodnika, aby przyjął funkcję wykładowcy - profesora, bowiem z jego wiedzą żaden z obecnie uczących mu nie dorówna, poza tym praktycznych zajęć nie ma kto prowadzić. „Kamiński” długo bronił się przed objęciem nowej funkcji, aż wreszcie uległ namowie i rozpoczął nowe, inne zajęcie. Jak już wcześniej wspomniałem, zajęcia praktyczne i praktyki w innych zakładach, ze wszystkimi klasami teraz prowadził profesor Kamiński. Stąd doszło do naszego spotkania na jednej ze strażnic WOP w czasie mojej służby wojskowej, kiedy był z młodzieżą w PGR.

Wśród uczniów technikum, w klasie której Kamiński był opiekunem była również dziewczyna, 15-letnia Elżunia, miłośniczka roślin, bratnia dusza profesora w zainteresowaniu botaniką. Wykłady profesora Kamińskiego chłonęła jak gąbka wodę, co nie uszło uwadze Kazika, który polubił ją stawiając innym uczniom za wzór. Elżunia z kolei wszystko co najlepsze widziała zawsze w profesorze Kamińskim i to było wyłącznie jej tematem w domu przy rodzicach. Ojciec i matka Elżuni, choć nigdy profesora Kamińskiego nie widzieli, znali jego dobrze z charakteru, a nawet z wyglądu, jak by on był stałym bywalcem w ich domu. Pewnej wiosennej niedzieli wyszedł pan profesor Kamiński na spacer po „Jasnym Błoniach” (jeden ze szczecińskich parków), w czasie którego spotkał Elżunię spacerującą w towarzystwie dwóch dystyngowanych osób, pani i pana, jak się słusznie domyślał Kazik, rodziców Elżuni. Przechodząc tuż obok tej trójki Kamiński uchylił kapelusza i powiedział:

- *Dzień dobry.,*

udając się w dalszą swą drogę. Mężczyzna z napotkanego towarzystwa zatrzymał go jednak słowami:

- *Przepraszam pana, jeśli się nie mylę zapewne pan profesor Kamiński, czy tak?*

- *Tak -* odpowiedział skromnie nagabywany Kazik - *nazywam się Kamiński i uczę Elżunię.*

Jest ona bardzo pilną i zdolną uczennicą chciałbym mieć wszystkich takich uczniów. Może pan być z niej dumny.

- *Jak pan widzi -* ciągnął dalej mężczyzna - *znam pana i wszystko o panu doskonale wiem, chociaż widzimy się po raz pierwszy, ale to dzięki mojej Elżuni mamy coś panu do*

zapropionowania. Zbliża się Wielkanoc, nie mam tu w Szczecinie znajomych ani rodziny, a spędzanie świąt we dwoje to nie ciekawe, więc umówiliśmy się z żoną co bardzo córkę ucieszyło, że musimy pana wraz z żoną zaprosić i dziećmi, jeśli państwo macie.

Zaskoczony propozycją Kazik zaczął się wymawiać, że nie może z zaproszenia skorzystać, zresztą nie ma ani żony ani dzieci, bo jest kawalerem i tak dalej.

- Jeśli pan kawaler - powiedział ojciec Elżuni - to wymówki nie ma, żona mogłaby mieć inne plany, i to bym zrozumiał, ale kawaler nie będzie miał innego wyjścia.,

i podał Kazikowi adres swój, mówiąc:

- Czekamy w święto pierwsze. Następnie dodał:

- Co to by były za święta we dwoje z żoną nudne, smutne, bo nie miałbym z kim kielicha wychylić, ponieważ małżonka moja jest kompletną abstynentką. To do zobaczenia!

Kazik poszedł pod wskazany adres, ale dopiero w drugi dzień świąt, przywitany:

- No wreszcie, już myśleliśmy, że nas pan zawiedzie, ale i z tego jesteśmy zadowoleni, choć wczoraj bez przerwy pana wyczekiwaliśmy.

Świetnie Kazik się czuł w towarzystwie rodziców Elżuni. Stół był obficie zaopatrzony, popijali, jedli i swobodnie dyskutowali. Temat podtrzymywali panowie, bo pani domu od czasu do czasu wychodziła z pokoju do kuchni, mając coś zawsze do zrobienia. W pewnym momencie mama Elżuni otworzyła szafę ubraniową w której na górnej półce Kazik zauważył czapkę kapitana milicji i mimo woli drgnął. Nie uszło to uwadze bystrookiemu kapitanowi, który prowadził wydział śledczy w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie. Od tego momentu gospodarz zaczął dyskusję skierowywać na inne tory, klucząc wokół przestępców i zbrodniarzy ukrywających się pod innymi nazwiskami. Mówił dalej:

- Gdybym mógł zajrzeć do serc i sumień ludzkich, to ilu drani, morderców i zbrodniarzy wykryłbym, którzy udają teraz ludzi uczciwych, a mają na sumieniu niejedno draństwo.

Kapitan stawał się coraz bardziej agresywny, twierdząc, że również hitlerowscy mordercy ukrywają się pod personaliami swoich ofiar i to najbardziej go złości. Kazik słuchając jakby oskarżeń jego osoby szybko zareagował, mówiąc:

- Całkowicie się z panem zgadzam, bo takich wielu jest, ale są również osoby bardzo uczciwe, które muszą się ukrywać nie z własnej winy.

Tu zaczął opowieść, jakoby miał ukrywającego się kolegę i tu Kazik zaczął w szczegółach opowiadać swój okupacyjny i w czasie wyzwolenia życiorys. Nic nie ukrywał, mówił co czynił („kolega”) za niemieckiej niewoli, obóz, ucieczkę na Pomorze, wstąpienie po wojnie do milicji bez własnej woli oraz spotkanie z AK-owcami. Wypowiedział wszystkie epitety, których użyli, aby pognać pojmanego, strach, który „kolega” przeżył i tak dalej resztę przeżyć. Po skończeniu opowiadania Kazika kapitan chwilę zamyślił się i sposepniał, a następnie powiedział:

- *Wierzę, więc niech pan przyprowadzi swego kolegę do komendy wojewódzkiej, to ja mu pomogę wrócić do swego nazwiska i czci, i nie będzie musiał ukrywać się pod innym, cudzym nazwiskiem.*

Zmieszany tym obrotem sprawy Kazik zaczął się „sianem wykręcać”, mówiąc:

- *Tak, ale ja nie wiem gdzie on się teraz znajduje, bo nie mamy kontaktu.*

Uśmiechnięty kapitan powiedział:

- *Wie pan, wie pan gdzie jest kolega, bo to jest pan, ale ja słuchałem uważnie pańskiej opowieści i to wszystko co pan mówił jest prawdą. Wierze panu naprawdę, że ani słowa pan nie skłamał, za wyjątkiem tego, że to kolega, więc niech pan tym razem nie stchórzy i przyjdzie zaraz po świętach.*

Przy pożegnaniu, które było bardzo przyjacielskie, kapitan powtórzył:

- *Tylko przyjdź człowieku, na Boga, przyjdź i nie stchórz, bo drugiej takiej okazji pan nie będzie miał.*

Istotnie, tak się stało jak kapitan powiedział. Kazik siedział w jego gabinecie w fotelu, nie ruszając się z miejsca oddał tylko swój prawdziwy „ausweis”, to był jakby dowód osobisty i czekał. Kapitan dla swoich podwładnych był surowy, popędzał ich, ale dla Kęski był bardzo miły. Kęska otrzymał swoje prawdziwe nazwisko w dowodzie osobistym, z którym wyszedł z komendy. Od tej chwili obaj panowie stali się bardzo bliskimi przyjaciółmi. Opowiadanie Kazika Kęski w ogrodnictwie mego szwagra Leonarda wyjaśniło mi wszystko, czyli dlaczego Kazik raz był Kamińskim, a teraz znowu Kęską. Spotkanie nasze z druhem niedoli przeżytej w czarne dni okupacji hitlerowskiej, z Kazimierzem Kęską, było ostatnim jak dotychczas, od tej pory już nigdy nie miałem okazji się spotkać.

Ostatnią osobą, z którą łączyło mnie coś w okresie okupacji, nie licząc szwagra mojego Leonarda Klemensa, a mam możliwość przedstawić czytelnikowi jego dalsze dzieje, to oficer amerykański ukrywany przez nas w ogrodnictwie Pfeifera. Myślę, że należy przedstawić czytelnikowi, co działo się z nim po aresztowaniu, a szczególnie czy wrócił on do domu, do Ameryki, po wojnie. Od momentu zabrania go przez niemieckich żandarmów do zakończenia wojny, oprócz tego, że wrócił on do oflagu w Szubinie, nic konkretnego nie wiedzieliśmy, bo kontaktu nie mieliśmy. Jak już wcześniej wspominałem krążące w miasteczku plotki w czasie okupacji o grupie dywersyjnej działającej w ogrodnictwie Pfeifera spowodowały nasilenie kontroli niemieckiej policji i stwarzały pewne zagrożenie dla polskich chłopców pracujących w ogrodnictwie. W każdej chwili można było spodziewać się rewizji osobistej i pomieszczeń kwaterowych chłopców i zawsze mogliby coś znaleźć, za co można było porządnie oberwać lub nawet dostać się do obozu. Klemens wówczas starał się pozbyć jakichkolwiek drobiazgów i oznak świadczących o przebywaniu w ogrodnictwie dłuższy okres zbiega oflagu szubińskiego - oficera amerykańskiego. Znalazł Leonard wizytówkę Amerykanina, która kiedy od niego otrzymał, kiedy jeszcze zbieg ukrywał się. Byłem obecny akurat na „budzie”, kiedy Leonard robił ten przegląd i zamierzał ją wrzucić do płomieni palącego się piecyka i wstrzymałem go. Wziąwszy tę wizytówkę udałem się do szopy magazynowania narzędzi z ołówkiem i na belkach dookoła szopy, na różnych wysokościach adres przeliterowałem. Następnie oddałem wizytówkę do spalania, a Leonarda wtajemniczyłem o sposobie odszyfrowania całej treści wizytówki.

Po wyzwoleniu Rogowa ja natychmiast opuściłem ogrodnictwo zapominając o zaszyfrowanym adresie. Leonard jeszcze kilkanaście dni w ogrodnictwie pozostał i on o adresie nie zapomniał. Mieszkając już w Poznaniu mój szwagierek nie znając dalszych losów amerykańskiego oficera napisał kartkę świąteczną z życzeniami na któreś z ważniejszych świąt. Na następne święta Klemens otrzymał od Amerykanina również życzenia w języku angielskim, bez jakichkolwiek wspomnień z okresu niewoli. W następny okres świąteczny Leonard życzenia powtórzył, ale bez odpowiedzi i bez echa już na żadne święta, bo po prostu Amerykanin przestał się Klemensem interesować. Klemens nie dał za wygraną, pisał dalej, aż w jednej wspomniał, że tyle trudu i ryzyka, jakie podjęli w czasie okupacji dla niego, zasługuje choć na zwykłe podziękowanie. Po dłuższym milczeniu Amerykanin przysłał list w języku polskim, mniej więcej następującej treści: „Dziękować to on nie wie za co by mógł i komu, bo jeśli już o to chodzi to jemu należą się przeprosiny za to, że go tak męczyli Polacy, a Niemcy byli dla niego lepsi. On w oflagu to miał o dwa nieba lepiej jak u nas, bo było mu ciepło, mógł się myć kiedy chciał i kąpać się, mógł spacerować, jedzenie miał lepsze, dostawał paczki z łakociami, w nich czekoladę, papierosy, gumę do żucia, kawę a nawet konserwy i owoce cytrusowe. Komu więc należą się przeprosiny, a jak dotąd ich nie widzi z naszej strony, tylko dopominanie się o podziękowania”. List ten również ja czytałem, który tak wysuszył me gardło, że nie miałem na niego czym splunąć i tylko mogłem swemu szwagrowi powiedzieć:

- *Masz swoich miłych i uczciwych amerykańskich dobrodziej, którzy są jedynymi w świecie sprawiedliwymi.* Leonard, choć wcześniej ode mnie znał treść amerykańskiego listu i podając mi go do czytania był bardzo spokojny, teraz rozgrzał się do białości, kiedy ja go skomentowałem, usiadł do napisania odpowiedzi. Na kancelaryjnym arkuszu A-3 napisał:

„Oto wdzięczność za trud, ryzyko i poświęcenie, wystraszonego wówczas „robaczka” błagającego o pomoc i litość, a teraz wielkiego pana. My, wówczas bardzo młodzi chłopcy wchodzący dopiero w życie ryzykowaliśmy swoje życie i życie naszych rodzin, odejmowaliśmy sobie od ust jedzenie, aby wyżywić jak się nam wydawało bohatera. Po co taki jak pan tchórz uciekał, jeżeli miał tak dobrze? Czego się od nas spodziewał, jeżeli myśmy smaku owoców cytrusowych w ogóle nie znali, nie mieliśmy żadnych łakoci-słodczy czy kawy i wydzielone papierosy? Czy widział pan plecy „biczem pieszczone”, jakie ja za pana miałem, chociaż żandarmi nie wiedzieli, że ja miałem z panem coś wspólnego i teraz mam przeproszać za pocięta skórę na plecach? PRZEPRASZAM więc i wyrzekam się pana i pańskiej znajomości na zawsze, nie chce z takimi obłudnikami jak pan mieć coś wspólnego i chce wymazać z pamięci te przeszłość. Ja głoszący wśród bliskich o Amerykanach "tylko dobro, uczciwość i kulturę, teraz zaprzeczę uważając za samolubów, w dużej mierze tchórzów i niewdzięczników”.

Istotnie po tym Klemensa liście odpowiedzi już nie było, ani listu, ani kartki i wszystkie kontakty zostały zerwane. Leonard całkowicie zmienił swe zdanie o Amerykanach i choć czasem był w najlepszym humorze, na wspomnienie o tym kapitanie dostawał „gęsiej skórki”, a z jego ust płynęły przekleństwa na co dzień u niego nigdy nie słyszane.

W opowiadaniu tym przedstawiłem tylko pewne fragmenty przeżyć części młodzieży polskiej w czasie drugiej wojny światowej i niewoli hitlerowskiej. Nie były to przeżycia specjalnie wyszukane spośród najokropniejszych dla uwypuklenia cierpień, jakie młodzież, notabene i starsi, przeżywali, ale zwykłe, przypadkowe środowisko wzięte pod uwagę. Nie dotykam tu spraw ludzi w wieku dojrzałym, którzy przeżywali gehennę trudną do opisanego i oddania w pełni jej rzeczywistości, jaką musieli przeżyć lub przyniosła kres ich życia. Nie wspominam cierpień i poniżenia doznanego przez członków mojej rodziny, bo mógłby ktoś odczytać to za tendencyjne przedstawianie faktów, mocno przesadzonych.

Myślę, że w każdej polskiej rodzinie znalazłaby się dramatyczna historia lub dramat, który można by opisać na bardzo wielu stronicach. Nie wspominam o osobach cierpiących na robotach przymusowych lub wywiezionych do obozów koncentracyjnych, bo to jest działka historyków zawodowych.

Nie zamierzałem również w opowiadaniu tym przedstawiać młodzież polską jako bohaterów, chociaż w tamtych czasach młodzieży takiej nie brakowało, świadczyć może bardzo wiele pomników w postaci mogił rozsianych po całej naszej polskiej ziemi i nie tylko.

Ja przedstawiłem życie jednego tylko chłopca polskiego, przymusowo znajdującego się w pewnym środowisku i jego przeżycia, z myślą o współczesnych chłopcach, do rozważenia jak oni by się zachowali podobnych okolicznościach. Oczywiście nie życzę naszej i przyszłej młodzieży, aby ich takie lub podobne okoliczności spotkały.

Napisałem również wspomnienia te po to, aby młodzież miała jakąś wyobraźnię o niewoli, którą znają z opowiadań osób trzecich i to opowiadane w różnej formie, ale również po to, aby nigdy nie musieli jej zaznać.

K O N I E C